

Opowieści z dziesięciu światów

Clarke Arthur C.



calibre 0.9.43

ARTUR C. CLARKE

OPOWIEŚCI Z DZIESIĘCIU

ŚWIATÓW

Pamiętam Babilon

Nazywam się Arthur C. Clarke i nie mogę odżalować, że dałem się wplątać w tę ponurą aferę. Ale skoro w grę wchodzi moralne - powtarzam, moralne - oblicze Stanów

Zjednoczonych, poczuwam się do obowiązku dać wiarygodne świadectwo swej przeszłości.

Tylko tym sposobem zrozumiecie dlaczego, z pomocą błogosławionej pamięci doktora

Alfreda Kinseya, wywołałem nieopatrznie lawinę, która może pogrzebać ogromne obszary zachodniej cywilizacji.

W 19445 roku, kiedy służyłem jeszcze jako oficer radarowy w Królewskim Lotnictwie

Brytyjskim, przyszedł mi do głowy jedyny oryginalny pomysł w życiu. Dopiero za dwanaście lat miał się pojawić pierwszy sputnik, a ja już ubzdurałem sobie, że sztuczny satelita byłby

wymarzonym miejscem na nadajnik telewizyjny, z wysokości kilku tysięcy mil bowiem stacja objęłaby swym zasięgiem bez mała pół globu. Spisałem swój pomysł tydzień po Hiroszimie,

proponując utworzenie sieci satelitów przekaźnikowych dwadzieścia dwa tysiące mil nad

równikiem; na tej wysokości w ciągu jednego dnia wykonywałyby pełny obrót, a tym samym utrzymywałyby się ponad stałym punktem na Ziemi.

Artykuł ukazał się w październikowym numerze "Wireless World" z y45 roku; nie

przewidując, iż mechanika kosmiczna skomercjalizuje się za moich dni, nie starałem się

opatentować pomysłu, a i tak wątpię, czy wówczas by mi się to udało. (Jeśli się myślę, wolę o

tym nie wiedzieć.) Ale wizja ta uporczywie powracała w moich książkach, a dziś idea

satelitów komunikacyjnych tak już spowszedniała, że nikt zgoła nie wie, skąd wzięła

początek.

Owszem, na prośbę Komitetu Izby Reprezentantów Do Spraw Astronautyki i Badania Przestrzeni Kosmicznej podjąłem żalostną próbę wyjaśnienia, jak się rzecz ma naprawdę; znajdziecie moje świadectwo na stronie trzydziestej drugiej raportu tegoż Komitetu, zatytułowanego Dziesięć następnych lat w kosmosie. I jak zobaczycie niebawem, końcowe słowa mej wypowiedzi zawierały ironię, której sam w owych czasach nie doceniałem: "Żyjąc na Dalekim Wschodzie, jestem na co dzień mimowolnym świadkiem walki pomiędzy światem zachodnim a ZSRR o nie zaangażowane po żadnej ze stron miliony mieszkańców Azji... Gdy możliwe będą teletransmisje po torze optycznym z satelitów umieszczonych bezpośrednio ponad danym obszarem, korzyści propagandowe mogą okazać się rozstrzygające..."

Słowa te nadal pozostają dla mnie aktualne, choć o pewnych niuansach wówczas nie pomyślałem - a które, niestety, w lot pojęli inni.

Wszystko zaczęło się na jednym z owych przyjęć oficjalnych, które .stanowią nieodłączny element życia towarzyskiego wschodnich metropolii. Zgoda, może są i powszedniejsze na Zachodzie, ale w takim Colombo trudno o konkurencyjne rozrywki. Przynajmniej raz w tygodniu, jeśli jesteś kimś, dostajesz zaproszenie na cocktaile w ambasadzie czy innym poselstwie, British Council, amerykańskiej misji wojskowej, L'Alliance Francaise albo jednej z nielicznych agencji, które spłodziła Organizacja Narodów Zjednoczonych.

Z początku, gdy mój współnik i ja czuliśmy się bardziej u siebie pod wodami Oceanu Indyjskiego niż w kręgach dyplomatycznych, nikt się z nami nie liczył i mieliśmy święty spokój. Ale wystarczyło, że Mike zorganizował pobyt na Cejlonie Dave'owi Brubeckowi, a wkrótce zaczęliśmy zwracać na siebie uwagę - szczególnie od czasu, kiedy tenże Mike poślubił jedną z najślynniejszych piękności na wyspie. Teraz naszą konsumpcję cocktaili i wykwinnych kanapek ogranicza głównie wstręt na samą myśl, że trzeba zrzucić z siebie

wygodne sarongi, by przywdziać takie zachodnie idiotyzmy jak spodnie, smokingi czy krawaty.

Po raz pierwszy gościliśmy w ambasadzie sowieckiej, gdzie wydawano przyjęcie na cześć ekipy rosyjskich oceanografów, którzy właśnie zawinęli do portu. Pod nieodłącznymi portretami Lenina i Marksa kłębiło się z dwustu gości, reprezentujących wszelkie kolory skóry, wyznania i języki, którzy jeśli nie rozprawiali z przyjaciółmi, to rozprawiali się bez skrupłów z wódką i kawiozem. Oddzielony byłem od Mike'a i Elisabeth, ale widziałem ich po drugiej stronie salonu. Mike odgrywał swój popisowy numer "I ja tam byłem, w przepastnych głębinach oceanu" przed zafascynowanymi słuchaczami, podczas gdy Elisabeth wpatrywała się z figlarnym niedowierzaniem - a bodaj czy nie więcej osób wpatrywało się w Elisabeth.

Od kiedy pękł mi bębenek w trakcie poławiania pereł na Wielkiej Rafie Koralowej, czułem się szczególnie upośledzony na takich wytwornych imprezach; panujący na nich hałas o jakieś dwadzieścia decybeli przekracza znośną dla mnie dawkę. Niebłaha to ułomność, zwłaszcza gdy przedstawiają mi osobistości o takich nazwiskach jak Dharmasiriwardene, Tissaveerasinghe, Goonetilleke czy Dżajawikrema. Toteż kiedy decyduję się odejść od bufetu, szukam względnej ciszy, gdzie mogę spokojnie włączyć się do rozmowy, z której bodaj co drugie słowo jestem w stanie zrozumieć.

Stałem więc sobie w akustycznym cieniu dużej, ozdobnej kolumny, obserwując sytuację z dystansem w stylu Somerseta Maughama, gdy kątem oka spostrzegłem, że ktoś mi się przygląda, jakby pytał "Skąd my się znamy?"

Postaram się opisać go w miarę dokładnie, bo zapewne znajdzie się wiele osób, którym postać ta wyda się znajoma. Był po trzydziestce i wyglądał na Amerykanina. Gładko ogolona, wypucowana buzia, króciutko przycięte włosy i prezencja bywalca Centrum Rockefeller -

jeszcze do niedawna nieomylnie cechy gatunkowe, póki z powodzeniem nie zaczęli imitować ich młodzi rosyjscy dyplomaci i doradcy techniczni. Miał na oko sześć stóp wzrostu, bystre piwne oczy i czarne włosy, przedwcześnie posiwiałe na skroniach. Choć byłem niemal pewien, że nie spotkaliśmy się wcześniej, jego twarz mi kogoś przypominała. Dopiero po dwóch dniach mnie oświeciło: pamiętacie nieodżałowanej pamięci Johna Garfielda? To przecież, wypisz wymaluj, właśnie on, jakby wstał z grobu.

Ilekoć spotykam na przyjęciu wzrok nieznanego, automatycznie włącza się mój wypróbowany program działania. Jeśli mam do czynienia z osobnikiem w miarę sympatycznym, ale nie chce mi się zawierać znajomości, stosuję Zwiad Neutralny, a więc przebiegam po nim błyskawicznie wzrokiem, nie okazując choćby mgnieniem oka sympatii, ale i bez wyraźnych oznak wrogości. Obleśnych cwaniaczków załatwiam przez Coup d'oeil, czyli przeciągłe, niedowierzające spojrzenie, po którym niespiesznie ukazuje się widok mego karku. W przypadkach krańcowych włącza się na parę milisekund wyraz obrzydzenia. Sygnał zazwyczaj dociera do adresata.

Ale ten gość sprawiał interesujące wrażenie, a że zaczynałem się nudzić, odpowiedziałem mu Przystępnym Skinieniem. Po kilku minutach przebrnął przez tłum, skierowałem więc ku niemu moje zdrowe ucho.

- Hello - powiedział (tak, istotnie był Amerykaninem). - Nazywam się Gene Hartford. Mam wrażenie, że się już gdzieś spotkaliśmy.

- Niewykluczone - odpowiedziałem. - Dużo czasu spędziłem w Stanach. Arthur Clarke, bardzo mi miło. Zazwyczaj moje nazwisko trafia w próżnię, ale zdarza się też inaczej. Widać było niemal, jak za tymi skupionymi, brązowymi oczyma migoczą karty IBM; schlebił mi krótkim czasem potrzebnym na zaczerpnięcie informacji.

- Pisarz?

- Zgadza się.

- Ależ to wspaniale.

Najwyraźniej był szczerze zdziwiony. - Teraz już wiem, gdzie pana widziałem. Byłem raz w studio, kiedy występował pan w programie Dave'a Garrowaya.

(Może i warto pójść tym śladem, ale wątpię; zresztą głowę daję, że "Gene Hartford" to wymyślone imię i nazwisko nieco za gładkie połączenie).

- To pan pracuje w telewizji? - spytałem. - Co pan tu robi - zbiera materiał czy na wakacjach?

Odpowiedział szczerym, poufnym uśmiechem kogoś, kto ma wiele do ukrycia.

- Mam oczy i uszy otwarte. Co za niespodzianka; czytałem pańską książkę Odkrywanie kosmosu, jak tylko się ukazała w... zaraz...

- Pięćdziesiątym drugim; narobiła dużo szumu w Klubie Książki Miesiąca.

Cały czas bacznie mu się przyglądałem, i choć coś mi się w nim nie podobało, nie potrafiłem rozgryźć przyczyny. Bądź co bądź gotów byłem na poważne ustępstwa wobec kogoś, kto czytał moje książki, i na dodatek jest z telewizji. Wciąż szukaliśmy z Mikiem kontrahentów na nasze filmy podwodne. Jednak nie była to, mówiąc oględnie, specjalność Hartforda.

- Niech pan posłucha - powiedział z zapałem. - Mam na oku projekt wielkiej sieci telewizyjnej, który i pana zapewne zainteresuje - prawdę mówiąc, to właśnie pan poddał mi pomysł.

Propozycja brzmiała obiecująco i mój współczynnik pazerności podskoczył o kilka punktów.

- Bardzo mnie to cieszy. Jaka tematyka pana interesuje? - Wolałbym tutaj o tym nie rozmawiać, ale może się umówimy u mnie w hotelu jutro koło trzeciej?

- Chwileczkę, spojrzę do kalendarza; tak, jestem wolny.

W Colombo są tylko dwa hotele, w których zatrzymują się Amerykanie, i za pierwszym razem trafiłem w dziesiątkę. Mieszkał w "Mount Lavinia"; chyba nawet nie wiecie, że już

widzieliście raz miejsce naszej poufnej rozmowy. Mniej więcej w połowie Mostu na rzece Kwai jest krótka scena w lazarecie, gdzie Jack Hawkins pyta napotkaną pielęgniarkę o Billa Holdena. Mamy słabość do tego epizodu, bo jednym z kurujących się oficerów marynarki, widocznych na drugim planie, był Mike. Jeśli dobrze wytyżycie wzrok, zobaczycie go całkiem po prawej stronie, jak obrócony brodatym profilem zapisuje na rachunek Sama Spiegła szóstą kolejną drinków. Jak się później okazało, Sama było na to stać.

Właśnie tutaj, na tym wąziutkim płaskowyzu górującym wysoko nad milami obramowanej palmami plaży, Gene Hartford przeszedł do rzeczy, a moje skromne nadzieje na godziwy zarobek szybko się ulotniły. Jakimi naprawdę pobudkami się kierował, jeśli w ogóle on sam to wiedział, nie jestem pewien po dziś dzień. Niespodziewane spotkanie ze mną i wymuszony dług wdzięczności (bez którego chętnie bym się obszedł) zapewne częściowo to tłumaczą; mimo obnoszonej pewności siebie musiał być rozgoryczonym, samotnym człowiekiem, który rozpaczliwie pragnął podziwu i przyjaźni.

Poskąpiłem mu jednego i drugiego. W duchu zawsze żywiłem współczucie dla Benedicta Arnolda, jak każdy, kto poznał wszystkie szczegóły jego sprawy. Ale Arnold tylko zdradził ojczyznę; nikomu przed Hartfordem nie przyszło do głowy, żeby ją uwieść.

Ze snu o worku dolarów obudziła mnie wiadomość, że współpraca z amerykańską telewizją urwała się, w dość gwałtownych okolicznościach, na początku lat pięćdziesiątych. Było dla mnie jasne, że wykopali go z Madison Avenue za stronnictwo partyjne, i równie jasne, że w tym przynajmniej wypadku nie popełniono rażącej niesprawiedliwości. Wprawdzie z opanowanym wzburzeniem opowiadał o swych bataliach z tępą cenzurą i opłakiwał fenomenalną ponoć - acz nie wymieniony z nazwy - cykl programów kulturalnych, którego realizację rozpoczął, zanim wyrzucono go ze studia, ale sprawa już na tyle wydała mi się śmierdząca, że miałem się na baczności. O ile jednak topniało moje finansowe

zainteresowanie panem Hartfordem, o tyle rosła moja ciekawość. Kto za nim stał? Bo zapewne nie BBC...

Przystąpił wreszcie do rzeczy, gdy już wyrzucił z siebie wszystkie żale.

- A teraz zdradzę panu coś, co pana poderwie na nogi powiedział zadowolony z siebie. -

Amerykańskim sieciom telewizyjnym wyrośnie niebawem groźny konkurent, i to dokładnie według pańskiego własnego pomysłu; ci sami ludzie, którzy posłali nadajnik telewizyjny na Księżyc, mogą wprowadzić znacznie większy na orbitę okołozemską.

- Chwała im za to - odparłem powściągliwie. - Zdrowa konkurencja jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Kiedy start?

- Lada chwila. Pierwszy nadajnik zostanie ulokowany w stosownej odległości na południe od Nowego Orleanu na równiku, rzecz jasna, czyli kawał drogi od lądu na otwartym Pacyfiku; nie znajdzie się nad niczym terytorium, więc nie ma mowy o politycznych komplikacjach na tym tle. I chociaż zawisnie sobie wysoko na niebie i daleko od brzegu, będzie widoczny jak na dłoni dla wszystkich od Seattle do Key West. Pojmuje pan? - jedyna stacja telewizyjna, którą odbierać mogą całe Stany Zjednoczone! Tak, nawet Hawaje! I żadnym sposobem nie da się jej zagłuszyć; po raz pierwszy czyściutki odbiór będzie miał każdy amerykański dom. I chłopcy z drużyny J. Edgara nic nie wymyślą, żeby go zablokować.

Tędy cię wiedli, pomyślałem; przynajmniej jesteś szczery. Już dawno temu postanowiłem nie wdawać się w dyskusje z marksistami i wyznawcami płaskiej Ziemi, ale jeśli Hartford nie zmyślał, chciałem wyciągnąć z niego co się da.

- Zanim poniesie pana entuzjazm - wtrąciłem - chciałbym zwrócić panu uwagę na kilka niejasnych punktów.

- Na przykład?

- Druga strona odpowie pięknym za nadobne. Nie jest żadną tajemnicą, że lotnictwo, NASA,

Bell Labs, ITT, Hughes i kilkadziesiąt innych agencji pracują nad podobnym przedsięwzięciem. Cokolwiek Rosjanie zrobią swoją propagandą Amerykanom, wróci do nich z nawiązką.

Hartford uśmiechnął się z politowaniem.

- Doprawdy, Clarke! - powiedział. (Całe szczęście, że nie zwrócił się do mnie po imieniu.) -

Jestem trochę zawiedziony. Przecież nie jest tajemnicą, że Stany Zjednoczone pozostają o całe lata w tyle w ładowności użytecznej! A chyba nie sądzi pan, że stary ;T. to ostatnie słowo Rosjan.

Tu już zacząłem traktować go bardzo poważnie. Miał świętą rację. Tu mógł wprowadzić co najmniej pięciokrotnie większy ładunek użyteczny niż jakakolwiek amerykańska rakietka na tę krytyczną orbitę dwadzieścia dwa tysiące mil nad Ziemią jedyną pozwalającą na geostacjonarne położenie satelity. A kiedy już Stanom uda się osiągnąć takie wyniki, Bóg w niebie raczy wiedzieć, gdzie wówczas będą Rosjanie. Tak, w niebie będzie wiadomo na pewno...

- No dobrze - przyznałem mu rację. - Ale dlaczego pięćdziesiąt milionów Amerykanów miałoby naraz przełączyć kanały na program z Moskwy? Szczerze podziwiam Rosjan, ale z rozrywką idzie im gorzej niż z polityką. Co mają do pokazania oprócz baletu Bolszój? A mnie skromna dawka baletu wystarczy na bardzo długo.

Ponownie skwitował moje uwagi tym szczególnym, beznamiętnym uśmiechem.

Wstrzymywał się z nokautującym ciosem, by zadać mi go dopiero teraz.

- To pan pierwszy wspomniał Rosjan - powiedział. Owszem, biorą udział w przedsięwzięciu, ale tylko jako wykonawcy. Niezależna agencja, dla której pracuję, zawiera z nimi umowy na konkretne usługi.

- Nie byle jaka agencja - zauważyłem sucho.

- Owszem, może i najpotężniejsza. Mimo że Stany Zjednoczone wolą udawać, że nie istnieje.

- Aha - odezwałem się głupawo. - Domyślam się, kto jest pańskim chlebobawcą.

Słyszałem już pogłoski, że ZSRR ma wystrzelić satelity dla Chińczyków; teraz okazało się, że owe pogłoski były nader powściągliwe w porównaniu z prawdą. Ale na ile bardziej powściągliwe, trudno mi było ocenić.

- Podzielam pańską opinię - ciągnął Hartford z widocznym rozbawieniem - na temat rosyjskiej rozrywki. Po pierwszej fascynacji nowością wyniki sondażu Nielsena spadną do zera. Ale nie po emisji programu, którym ja się zajmuję. Moim zadaniem jest znalezienie takiego materiału, który po wejściu na antenę zrujnuje wszystkich konkurentów. Sądzi pan, że to niemożliwe? Niech pan wypije i przejdzie do mojego pokoju. Mam rewelacyjny film o sztuce religijnej, który chciałbym panu pokazać.

Jednak nie był pomyłony, choć przez kilka minut miałem wątpliwości. Mało przychodziło mi do głowy tytułów, które w jeszcze bardziej wymyślny sposób skłaniałyby widza do przełączenia kanału. A taki właśnie ukazał się na ekranie: NIEKTÓRE ASPEKTY RZEźBY TANTRYCKIEJ Z TRZYNASTEGO WIEKU.

- Nie ma powodu do obaw - zachichotał Hartford ponad terkotem projektora. - Taki tytuł oszczędzi mi przepraw z natrętnymi celnikami. Jest całkowicie zgodny z treścią, ale w odpowiednim czasie zmienimy go na coś bardziej chwytliwego dla szerokiej widowni.

Dwieście stóp taśmy później, po kilku niewinnych ujęciach architektury z dużej odległości, zrozumiałem, o co mu chodzi. Wiecie zapewne, że istnieją w Indiach świątynie pokryte mistrzowsko wykonanymi rzeźbami o treści, którą nam na Zachodzie trudno skojarzyć z religią. Określenie ich jako swobodne byłoby śmiesznym niedomówieniem; nie pozostawiają nic dla wyobraźni - choćby najbujniejszej wyobraźni. A przy tym są autentycznymi dziełami sztuki, co również można powiedzieć o filmie Hartforda.

Jeśli was to interesuje, został nakręcony w Świątyni Słońca, Konarak. Znajduje się ona, jak zdążyłem od tej pory sprawdzić, na wybrzeżu w stanie Orisa, około dwadzieścia pięć mil na północny wschód od Puri. Autorzy opracowań robią uniki; niektórzy przepraszają za "oczywistą" niemożność zamieszczenia ilustracji, jednakowoż Percy Brown w swej Architekturze indyjskiej nie przebiera w słowach. Rzeźby te, powiada z napuszeniem, "mają bezwstydnie erotyczny charakter i nie znają odpowiednika w żadnej innej znanej budowli". Mocne to stwierdzenie, lecz nie sposób odmówić mu racji, zwłaszcza po obejrzeniu filmu. Praca operatora i montaż były wręcz znakomite; starodawne kamienie ożywały pod wędrującym obiektywem. Ogromne wrażenie robiły zdjęcia w przyspieszonym tempie, na których promienie wschodzącego słońca przepędzały cienie z ekstatycznie splecionych ciał. Nagłe szokujące zbliżenia scen, które zrazu wydawały się niepojęte dla umysłu; nieostre obrazy kamienia ukształtowanego ręką mistrza we wszelkie kaprysy i dewiacje miłości; niepokojące podjazdy kamery i panoramiczne ujęcia scen, których znaczenie oko pojmowało dopiero, gdy zastygły w konfiguracjach ponadczasowego pożądania i wiecznego spełnienia. Muzyka - głównie perkusja, której towarzyszył cienki, płynny dźwięk nie znanego mi instrumentu strunowego - wspaniale odpowiadała rytmowi obrazu. To zawodziła w leniwym rozmarzeniu, jak początkowe takty Debussy'ego L'Après-midi; to znów bębny doprowadzały się zapamiętałe do szaleńczej, nieznośnej już kulminacji. Kunszt starożytnych rzeźbiarzy i sztuka współczesnego kamerzysty połączyły się nad przepaścią wieków, by stworzyć studium orgazmu na celulooidzie, i ręczę, że nikt nie obejrzy tego filmu obojętny.

Zapanowała długa cisza, gdy ekran rozbłysł światłem, a muzyka przygasła z wolna.

- Mój Boże! - powiedziałem, gdy tylko odzyskałem równowagę. - Pan chce to puścić?

Hartford zaśmiał się.

- Słowo daję - odrzekł - to jeszcze małe piwo, po prostu jedyna szpula, z którą mogę

bezpiecznie podróżować. Zawsze da się obronić argumentem autentycznej sztuki, wiedzy historycznej, tolerancji religijnej - wzięliśmy pod uwagę wszystkie możliwości. Ale to i tak nie ma znaczenia; nikt nas nie powstrzyma. Po raz pierwszy w historii wszelka forma cenzury stała się wręcz niemożliwa. Nie da się jej po prostu egzekwować; człowiek we własnym domu może sobie oglądać, co zechce. Zamknie drzwi, włączy telewizor - rodzina i przyjaciele nawet się nie domyślą.

- Sprytna robota - powiedziałem - ale nie sądzi pan, że taka dieta szybko się ludziom znudzi?

- Jasne; najzdrowsze są posiłki urozmaicone. Znajdzie się i sporo konwencjonalnej rozrywki;

już moja w tym głowa. A od czasu do czasu będziemy nadawać programy informacyjne - nie

cierpię słowa "propaganda" - by przedstawić naszej zaściankowej amerykańskiej

publiczności, co naprawdę dzieje się na świecie. Nasze specjalne programy rozrywkowe będą jedynie wabikiem.

- Nie obrazi się pan, jeśli zaczerpnę nieco świeżego powietrza? - spytałem. - Duszno się tu robi.

Hartford odsunął zasłony i na powrót wpuścił do pokoju dzieńne światło. W dole ciągnęła się długa krzywizna plaży, na której pod palmami stały łodzie rybackie, a drobne fale rozbijały się pianą u kresu swego mozolnego marszu z Afryki. Jeden z najwspanialszych widoków na świecie, ale nie potrafiłem teraz skupić na nim uwagi. Wciąż miałem przed oczami te wijące się w upojeniu kamienne ciała, zastygłe w namiętności twarze, których całe wieki nie zdołały ugasić.

Zza pleców dochodził do mnie znów ten obleśny głos. - Zdziwiłby się pan, gdyby pan wiedział, ile mamy materiału. Bo, rzecz jasna, nie istnieje dla nas żadne tabu. Co się da sfilmować, my możemy pokazać.

Podszedł do biurka i sięgnął po opasły, zaczytany tom. - Oto moja Biblia - rzekł. - Lub, jeśli

pan woli, mój Sears i Roebuck. Gdyby nie ta książka, nie sprzedałbym tej serii programów swoim sponsorom. Wierzą bowiem bezgranicznie w naukę i połknęli cały towar, do ostatniego miejsca po przecinku. Poznaje pan tę książeczkę?

Skinąłem; ilekroć wchodzę do czyjś pokoju, robię szybkie rozpoznanie literackich gustów gospodarza.

- Raport Kinseya, jak mniemam.

- Mam wrażenie, że nikt prócz mnie nie przeczytał go od deski do deski, a nie poprzestał na porównaniu siebie z doniosłą statystyką. Niech pan wie, że jest to jedyny sondaż rynku z prawdziwego zdarzenia w tej dziedzinie. Póki nie pojawi się nic lepszego, wyciągamy z tego, co się da. Z raportu można się dowiedzieć, czego chce klient, a naszym zadaniem jest dostarczenie mu towaru.

- Chcecie zadowolić wszystkich?

- Zależy, jak liczna będzie nasza widownia. Nie mamy zamiaru przejmować się wiejskimi głupkami, którzy są zbyt zżyci ze swym środowiskiem. Ale czterem głównym płciom zapewnimy pełną obsługę. Na tym polega urok filmu, który pan właśnie obejrzał - znajdzie się tam coś dla wszystkich. - Zdążyłem zauważyć - wymamrotałem.

- Nieźle się ubawiliśmy podczas pracy nad programem, który ochrzciłem mianem Homorama. Nie ma w tym nic śmiesznego - żadna postępową agencja nie może zlekceważyć tej widowni. Co najmniej dziesięć milionów, licząc też i panie błogosławione niech będą ich chodaki i tweedy. Jeśli sądzi pan, że przesadzam, proszę tylko spojrzeć na te męskie czasopisma artystyczne, którymi zavalone są stoiska z prasą. Wystarczył drobny szantaż, żeby skłonić kilku muskularnych piękniśców do udziału w naszych programach.

Zauważyłem, że zaczynam się nudzić; są rodzaje maniactwa, które działają na mnie przygnębiająco. Ale Hartforda oceniłem niesprawiedliwie, czego nie omieszkał natychmiast

dowieść.

- Niech pan broń Boże nie myśli - powiedział z zapalem - że seks jest naszym jedynym orężem. Sensacja sprawdza się równie dobrze. Czy widział pan robotę Eda Murrowa na temat kanonizowanego ostatnio Josepha McCarthy'ego? A to tylko mleko z wodą w porównaniu z życiorysami, które chcemy przedstawić w naszej serii Waszyngton za zamkniętymi drzwiami. Mamy też cykl pod tytułem Ile wytrzymasz?, który ma oddzielić prawdziwych mężczyzn od osesków. Nadamy tak dużo ostrzeżeń przed programem, że każdy szanujący się osiłek w Ameryce podejmie wyzwanie. Zacznie się niewinnie, na ścieżce przetartej przez Hewingwaya. Zobaczy pan takie scenki z walki byków, że spadnie pan z krzesła - albo czym prędzej pobiegnie do łazienki - bo pokazują te wszystkie szczególiki, których nie uświadczysz w tych wypacykowanych filmach z Hollywood.

Po tym pójdzie naprawdę unikalny serial, który nie kosztował nas złamanego centa. Pamięta pan może fotograficzny materiał dowodowy procesów norymberskich? Nie widział pan tych zdjęć, bo ich publikacji zakazano. W obozach koncentracyjnych było sporo fotoamatorów, którzy chcieli w pełni wykorzystać niepowtarzalną okazję. Niektórych własne zdjęcia zaprowadziły na stryczek, ale dzieło ich się nie zmarnuje. Trudno o lepsze wprowadzenie do naszego cyklu Tortury przez wieki - z godną oprawą naukową, a przy tym atrakcyjnego dla szerokiej widowni...

Mamy jeszcze dziesiątki innych pomysłów, ale już przecież ma pan ogólne wyobrażenie. Na Madison Avenue myślą, że zjedli wszystkie rozumy na temat Ukrytej Perswazji - nic z tego. Najlepsi psychologowie praktycy są dziś na Wschodzie. Pamięta pan Koreę i pranie mózgow? Wiele się nauczyliśmy od tego czasu. Przemoc już nie zdaje egzaminu; ludzie z przyjemnością poddają się praniu mózgow, trzeba tylko umiejętnie się do tego zabrać.

- A pan - wtrąciłem - zabiera się do przeprania mózgow w Stanach Zjednoczonych. Ciężki

orzech do zgryzienia.

- Właśnie - moi rodacy będą zachwyceni, mimo wrzasków Kongresu i kościołów. Nie mówiąc już o sieciach telewizyjnych. Narobią wrzawy, gdy tylko spostrzegą, że nie wytrzymają konkurencji.

Spojrzał na zegarek i gwizdnął z niepokojem.

- Czas zbierać manatki - powiedział. - Muszę do szóstej zdążyć na to wasze niemożliwe do wymówienia lotnisko. Nie mogę żywić nadziei, jak sądzę, że przyleci pan kiedyś odwiedzić nas w Makao?

- Nie ma mowy; ale mam już całkiem niezłe pojęcie o pańskich planach. A, przy okazji, nie obawia się pan niedyskrecji z mojej strony?

- Bynajmniej. Im większy rozgłos nada pan sprawie, tym lepiej. Chyba nasza kampania reklamowa ruszy pełną parą dopiero za kilka miesięcy, uważam, że kto jak kto, ale pan zasłużył na wczesną informację. Jak już wspomniałem, to pańskie książki poddały mi pomysł. Głowę daję, że jego wdzięczność była całkiem szczerą; zaniemówiłem z wrażenia.

- Nic nas nie zdoła powstrzymać - oznajmił. Po raz pierwszy fanatyzm, dotychczas skrzętnie skrywany za fasadą oglądy i cynizmu, wymknął się spod kontroli. - Historia jest po naszej stronie. Wykorzystamy dekadencję Ameryki jako broń skierowaną przeciwko niej samej, a jest to broń, na którą nie ma sposobu. Lotnictwo nie zdobędzie się na akt piractwa powietrznego i nie zestrzeli satelity z dala od amerykańskiego terytorium. Federalna Komisja Telekomunikacji nie może nawet zgłosić protestu przeciwko państwu, które w oczach Departamentu Stanu przecież nie istnieje. Jeśli ma pan inne sugestie, chętnie posłucham. Nie miałem już nic do powiedzenia, i nadal nie mam. Być może te słowa posłużą jako zwięzłe ostrzeżenie, zanim pierwsze prowokacyjne reklamy ukażą się w fachowych pismach i wywołają popłoch wśród telewizyjnych gigantów. Ale czy to się na coś zda? Hartford był

przekonany, że nie, i chyba ma rację.

"Historia jest po naszej stronie". Te słowa utkwiły mi w głowie. Ojczyzno Lincolna, Franklina i Melville'a, kocham cię i życzę ci jak najlepiej. Ale do mego serca przenika mroźny wiatr z przeszłości; jako że pamiętam Babilon.

Lato na Ikarze

Kiedy Colin Sherrard ocknął się po katastrofie, nie potrafił uprzytomnić sobie, gdzie się znajduje. Zdawało mu się, że leży, uwięziony w jakimś wehikule, na wierzchołku zaokrąglonej u szczytu góry o zboczach stromo opadających we wszystkich kierunkach. Powierzchnia jej była popękana i poczerniała, jakby przeszedł tędy gigantyczny pożar. W górze czerniło się zatłoczone gwiazdami niebo. Jedna z nich, lśniąca niczym miniaturowe słońce, zwieszała się nisko nad horyzontem.

Czyżby to rzeczywiście było Słońce? Czyżby był aż tak daleko od Ziemi? Nie - wykluczone. Jakieś mgliste wspomnienie natrętnie podpowiadało mu, że Słońce jest bardzo blisko - koszmarne blisko - w każdym razie nie na tyle daleko, by skurczyło się do rozmiaru gwiazdki. Wraz z tą myślą w pełni odzyskał świadomość. Teraz już doskonale wiedział, gdzie jest, i wiedza ta poraziła go tak, że nieomal znowu stracił przytomność.

Znajdował się bliżej Słońca, niż ktokolwiek przed nim. Jego rozbity kosmopod nie leżał na żadnym wzgórzu, lecz na stromym łuku powierzchni świata, którego średnica nie przekraczała dwóch mil. Ta promienna gwiazdka, nieubłagane tonąca na zachodzie, to przecież Prometeusz, statek, który przyniósł go tu przez całe miliony mil przestrzeni. Prometeusz tkwił teraz zawieszony pośród gwiazd, dziwiąc się, czemu jego kosmopod nie powraca jak pocztowy gołąb do swego gołębnika. Za kilka minut zniknie mu z oczu, zapadłszy się pod horyzont w swej nigdy nie kończącej się zabawie w chowanego ze Słońcem.

Dla Sherrarda wynik gry ze Słońcem był już przesądzony. Wciąż jeszcze krył się po nocnej stronie asteroidu, bezpiecznie otulony chłodem cienia, ale krótka noc rychło się skończy. Rozpędzona karuzela czterogodzinne go dnia Ikara zanieśie go niebawem na spotkanie z potwornym świtem, kiedy Słońce, trzydziestokrotnie większe niż to, które dane było mu

oglądać z Ziemi, zaleje ogniem tę kamienną pustynię. Sherrard wiedział już nazbyt dobrze, dlaczego wszystko, co go otaczało, jest spalone i poczerńnię. Wprawdzie od peryhelium dzielił Ikarę jeszcze tydzień, ale temperatura w południe osiągała już tysiąc stopni Fahrenheita.

Choć czas nie nastrajał do żartów, przypomniły mu się dokładnie słowa, którymi kapitan McClellan opisał Ikarę: "Najgorętsza parcela w układzie słonecznym". Trafność tego żartobliwego osądu została udowodniona przed zaledwie kilkoma dniami za pomocą prostego i wcale nie naukowego doświadczenia, o ileż jednak bardziej przekonującego niż setki wykresów i pomiarów.

Przed samym świtem ktoś wbił drewniany palik na wierzchołku jednego z małych wzniesień. Sherrard obserwował, bezpiecznie ukryty po nocnej stronie, jak pierwsze promienie słoneczne muskają szczyt. Kiedy już oczy zdążyły się oswoić z raptowną detonacją światła, zobaczył, że drewno czernieje i zwęgla się. Gdyby Ikarę otoczony był atmosferą, palik stanąłby w płomieniach; tak wyglądał świt na Ikarze...

Jednak upał nie był aż tak nieznośny podczas ich pierwszego lądowania, kiedy przed pięcioma tygodniami przekraczali orbitę Wenus. Prometeusz zostawił asteroid za sobą w początkowej fazie swego porywu na Słońce, po czym dostosował prędkość do tego małego świata, by wreszcie miękko osiąść na jego powierzchni jak płatek śniegu. (Płatek śniegu na Ikarze - to dopiero wspomniały dowcip...) Naukowcy zaraz rozpoczęli penetrację piętnastu mil kwadratowych zjeżonych niklo-żelaznymi skałami, ustawiając swoje instrumenty i punkty kontrolne, zbierając próbki i czyniąc niezliczone obserwacje.

Wyprawę poprzedziły lata drobiazgowych przygotowań w ramach międzynarodowej Dekady Astrofizycznej. Oto bowiem pojawiła się unikalna szansa, by statek badawczy zbliżył się na bagatelną odległość siedemnastu milionów mil do Słońca, kryjąc się przed jego ślepą furią za

dwumilowej grubości tarczą skały i żelaza. W cieniu Ikara statek mógł bezpiecznie krążyć wokół centralnego ogniska, które ogrzewało wszystkie planety i od którego zależało wszelkie życie. Tak jak ów mityczny Prometeusz, który obdarzył ludzi ogniem, statek noszący jego imię miał powrócić na Ziemię z innymi tajemnicami niebios.

Nie brakowało czasu na ustawienie przyrządów i wstępne badania, nim Prometeusz musiał odlecieć i szukać stałego cienia nocy. Nawet wtedy można było pracować przeszło godzinę w zgrabnych kosmopodach z własnym napędem - miniaturowych statkach kosmicznych, długich zaledwie na dziesięć stóp - po nocnej stronie asteroidu, pod tym warunkiem jednak, że na czas uciekało się przed nacierającą linią wschodu słońca. Nie był to warunek zbyt wygórowany, zwłaszcza w takim świecie, gdzie świt maszerował z prędkością zaledwie jednej mili na godzinę; ale Sherrard warunku tego nie spełnił, a karą była śmierć.

Wciąż nie był całkiem pewny, co się właściwie stało. Wymieniał przekaźnik sejsmografu na Stacji I-45, popularnie zwanej Mount Everest, gdyż znajdowała się aż dziewięćdziesiąt stóp ponad otaczającym ją terenem. Robota całkiem prosta, mimo że musiał posłużyć się zdalnie sterowanymi łapami swojego kosmopodu. Sherrard władał nimi po mistrzowsku; umiał wiązać węzły metalowymi palcami niemal tak szybko jak swoimi własnymi. Uporał się z robotą w niespełna dwadzieścia minut. Sprawny radiosejsmograf na nowo mógł rejestrować drobne wstrząsy i drżenia, które miały Ikarem z coraz większą częstotliwością w miarę zbliżania się asteroidu do Słońca. Niezbyt satysfakcjonowało Sherrarda to, że sam teraz szczerze wzbogacił ów sejsmograficzny rejestr.

Po sprawdzeniu sygnałów dokładnie umocował osłony przeciwsłoneczne wokół przyrządu. Aż trudno uwierzyć, że takie dwa cieniutkie jak bibuła arkusze polerowanej folii metalowej mogły powstrzymać zalew promieniowania, które stopiłoby w mgnieniu oka ołów czy cynę. A jednak pierwsza osłona odbijała przeszło dziewięćdziesiąt procent padającego na jej

lustrzaną powierzchnię światła słonecznego, a druga odwracała większą część reszty, tak że przez obie dostawał się tylko niegroźny ułamek ciepła.

Zameldował o zakończeniu pracy, dostał potwierdzenie ze statku i zbierał się już do powrotu. Ostre światło reflektorów na Prometeuszu - bez których nocna strona asteroidu tonęłaby w nieprzeniknionych ciemnościach - prowadziły nieomylnie do celu. Od statku dzieliły go tylko dwie mile i przy tak słabej grawitacji pokonałby tę odległość o własnych siłach, gdyby tylko miał na sobie zwykły kombinezon planetarny z miękkimi nogawkami. Tym razem zdał się na niewielką moc mikroraket swojego kosmopodu, którym za pięć minut miał dotrzeć na miejsce.

Wyznaczył kierunek lotu żyroskopami, nastawił tylne silniki odrzutowe na dwa i odpalił. Gdzieś w okolicy nóg nastąpiła potężna eksplozja, która wprawdzie odrzuciła go od Ikara - ale nie w kierunku statku. Jakaś piekielna awaria; rzuciło go na bok pojazdu, skąd nie mógł dosięgnąć sterownicy. Napędzany tylko jednym sprawnym silnikiem, kosmopod konwulsyjnie wirował z coraz większą prędkością w przestworzach. Sherrard starał się zlokalizować uszkodzenie, ale w tej szaleńczej wirówce całkowicie stracił orientację. Kiedy wreszcie udało mu się dostać do sterownicy, tylko pogorszył sprawę - otworzył maksymalnie przepustnicę, jak przerażony kierowca, który naciska na gaz zamiast na hamulec. Wprawdzie w ciągu zaledwie sekundy naprawił błąd i zdusił silnik, ale wirował już w tak zawrotnym tempie, że widział tylko kręcące się obłądnie gwiazdy.

Wszystko stało się tak szybko, że nie miał czasu na strach, a nawet wezwanie pomocy ze statku. Puścił sterownicę; wszelkie próby skorygowania lotu mogły w tej sytuacji wywołać odwrotny skutek. Za dwie lub trzy minuty kosmopod powinien odzyskać równowagę, lecz coraz wyraźniejsze zarysy skał nie obiecywały mu nawet tylu sekund. Sherrard przypomniał sobie radę z pierwszej strony Poradnika kosmonauty: "Kiedy nie wiesz, co robić, nie rób nic".

Skrupulatnie zastosował się do tej mądrej wskazówki, również w chwili gdy runął na niego Ikar i zgasły gwiazdy.

Istny cud, że kosmopod się nie roztrzaskał, a Sherrard nie oddychał jeszcze kosmosem. (Za pół godziny może będzie musiał się tym zadowolić, kiedy nawali izolacja termiczna...)

Naturalnie nie obyło się bez uszkodzeń. Po lusterkach zewnętrznych, umieszczonych po bokach otaczającej głowę kopuły z przezroczystego plastyku, nie zostało ani śladu, tak że bez wykręcania szyi nie widział, co się dzieje z tyłu. Bez lusterek się obejdzie; znacznie trudniej było mu pogodzić się z utratą anten radiowych. Nie mógł nawiązać kontaktu ze statkiem, ani statek z nim. Z radia dochodziły tylko ledwie słyszalne trzaski, których źródłem najprawdopodobniej był sam odbiornik. Został sam, odcięty od reszty ludzkiego plemienia. Sytuacja nie do pozazdroszczenia, ale tlił się jeszcze jeden blady promyk nadziei. Nie był przecież zdany wyłącznie na łaskę losu. Jeśli nawet silniki odrzutowe były nie do użytku domyślił się, że w prawym silniku nastąpiła eksplozja, która uszkodziła przewód paliwa, czyli dokładnie to, co wedle zapewnień konstruktorów było niemożliwe - mógł się jeszcze poruszać. Pozostały mu ramiona.

Ale dokąd ma się czołgać? Zupełnie stracił orientację, bo co prawda wystartował z Mount Everest, ale równie dobrze mógł się znajdować teraz tysiące stóp od stacji. Na tym małym świecie nie było żadnych znaków rozpoznawczych; zachodząca raptownie gwiazda Prometeusza była najlepszym drogowskazem i gdyby udało mu się nie stracić jej z oczu, byłby ocalony. W ciągu kilku najbliższych minut koledzy powinni zauważyć jego nieobecność, jeśli nie zauważyli do tej pory. Ale bez radia poszukiwania mogą potrwać bardzo długo; mimo swej małej powierzchni Ikar nie skąpił skutecznych kryjówek dla długiego na dziesięć stóp kosmopodu na piętnastu milach kwadratowych tej niesamowicie poszarpanej ziemi niczyjej. Odnajdą go może dopiero za godzinę - co oznaczało, że będzie

zmuszony uciekać przed pogonią krwiożerczego wschodu Słońca.

Wsunął palce do sensorów sterujących mechanicznymi kończynami. Na zewnątrz, w otaczającej go zewsząd wrogiej próżni, ożyły jego sztuczne ręce. Opadły, wsparły się na żelaznej skorupie asteroidu i uniosły kadłub ponad powierzchnię. Sherrard przygiął je nieco w kolanach i wehikuł ruszył do przodu, niczym jakiś dziwaczny dwunożny owad... Najpierw prawa, potem lewa, i znowu prawa...

Szło mu łatwiej, niż się spodziewał, i powoli odzyskiwał dawną pewność siebie. Wprawdzie mechaniczne ręce przeznaczone były do lekkich robót precyzyjnych, ale w tym zdominowanym przez stan nieważkości otoczeniu minimalna siła zdołała wprowadzić wehikuł w ruch. Siła grawitacji Ikara była dziesięć tysięcy razy mniejsza niż na Ziemi: Sherrard razem z kosmopodem ważył tu niecałą uncję i gdy już wprowadził się w ruch, płynął przed siebie bez najmniejszego wysiłku, jak we śnie.

Ale właśnie ta senna łatwość miała i swoje złe strony. Przebył już kilkaset jardów i oto zrównywał się z zachodzącą gwiazdą Prometeusza, gdy zbyt pewność siebie pokazała swe zdradliwe oblicze. (Dziwne, jak szybko można popaść z jednej skrajności w drugą; jeszcze kilka minut temu hartował ducha na spotkanie ze śmiercią - a teraz zastanawiał się, czy zdąży na kolację.) Może to nowy sposób poruszania się, tak odległy od jego dotychczasowych doświadczeń, przyczynił się do katastrofy; a może wciąż odczuwał skutki powypadkowego szoku.

Jak wszyscy astronauty, Sherrard nauczył się orientacji w przestrzeni i przywykł do życia i pracy w warunkach, gdzie ziemskie pojęcie góry i dołu nie mają sensu. W świecie takim jak Ikar musi człowiek udawać, że "pod" stopami ma pewny grunt prawdziwej planety i że porusza się zawsze w płaszczyźnie poziomej. Jeśli tylko te niewinne kłamstwka przestaną działać, gwarantowany kosmiczny obłąd.

Atak przyszedł bez ostrzeżenia, jak to zwykle bywa. Wystarczyła chwilka, by próżno szukał pod nogami Ikara, a nad głową gwiazd. Wszechświat przechylił się pod kątem prostym; Sherrard poruszał się teraz pionowo, jak alpinista zdobywający skalną ścianę, i choć rozsądek podpowiadał mu, że to czysta iluzja, wszystkie zmysły wrzeszczały, że to prawda. Za chwilę siła przyciągania oderwie go od tej pionowej ściany i będzie spadał mila po mili w nieskończoność, aż wreszcie rozprysnie się w niepamięć.

Ale najgorsze dopiero miało nadejść; złudny pion chwiał się jeszcze jak igła kompasu, rozpaczliwie poszukująca zgubionego bieguna. Już za chwilę znalazł się pod ogromnym skalnym dachem, jak uczepiony sufitu pajak; nim się obejrzy, znów powróci ściana - ale tym razem będzie po niej zjeżdżał, a nie wchodził...

Stracił zupełne panowanie nad pojazdem. Zimny pot, który coraz obficiej zraszał mu czoło, ostrzegał, że wkrótce straci również panowanie nad swoim ciałem. Pozostało mu tylko jedno; zacisnął na siłę powieki, wtulił się mocno w mały, zamknięty świat swojej kapsuły i całą siłą woli wmawiał sobie, że na zewnątrz nie istnieje żaden wszechświat. Nie pozwolił nawet, by przeszkodził mu w autohipnozie krótkotrwały, łagodny szczęk sygnalizujący drugą z kolei krakę.

Gdy wreszcie odważył się wyrzeć na zewnątrz, zobaczył, że kosmopod zatrzymał się na potężnym głazie. Mechaniczne ręce zamortyzowały wprawdzie siłę uderzenia, ale za cenę, na którą bynajmniej nie było go stać. Mimo że kapsuła nic tu praktycznie nie ważyła, zachowała przecież swoje pięćset funtów inercji, a posuwała się chyba z prędkością czterech mil na godzinę. Pęd okazał się ponad wytrzymałość metalowych łap; jedna pękła, a druga wygięła się żałośnie.

Pierwszą reakcją Sherrarda na ten żałosny widok nie była rozpacz, lecz wściekłość. Ledwie utwierdził się w przekonaniu, że wyjdzie cało z opresji, szybując sobie ponad jałowym

obliczem Ikara, a tu wszystko na nic, i to przez jeden moment fizycznego załamania! Ale kosmos nie tolerował żadnych ludzkich słabości i uczuć, a człowiek, któremu to nie odpowiadało, nie miał tu czego szukać.

Przynajmniej zyska na czasie w pogoni za statkiem; o dziesięć minut, a może i więcej, opóźnił spotkanie ze świtem. Czy te dziesięć minut przedłuży tylko agonię, czy też da więcej zbawienego czasu jego kolegom na odnalezienie go, miał się dowiedzieć niebawem. Gdzie byli? Na pewno już rozpoczęli poszukiwania! Wyteżył wzrok w kierunku jasnej gwiazdy Prometeusza z nadzieją, że dostrzeże bledsze światła kosmopodów zmierzających w jego stronę - ale nic poza statkiem nie było widać na z wolna obracającym się firmamencie. Musiał więc raczej liczyć na własne siły, choć szanse miał mizerne. Jeszcze tylko kilka minut, a Prometeusz, tonąc pod krawędzią asteroidu, pociągnie za sobą smugi światła i pogąrzy go w mroku. Wprawdzie mrok potrwa o wiele za krótko, ale zanim zapadnie, trzeba rozejrzeć się za schronieniem przed nadciągającym dniem. Ta skała, na którą wpadł na przykład...

Tak, skała zapewni mu trochę cienia, przynajmniej do czasu, kiedy Słońce znajdzie się w połowie drogi po niebie. Nic go nie zbawi, jeżeli będzie miał Słońce prosto nad głową, ale niewykluczone, że znalazł się na takiej szerokości, gdzie Słońce nigdy nie wznosi się wysoko ponad horyzont w tej porze czterysta dziewięciodniowego roku Ikara. Przetrwałby wówczas króciutki okres światła dziennego; była to jedyna nadzieja, jeśli koledzy nie odnajdą go przed świtem.

Prometeusz ze swymi światłami zniknął już za skrajem świata. Pozbywszy się obcej konkurentki, gwiazdy świeciły teraz ze zdwojoną jaskrawością. Najwspanialej z nich wszystkich - tak ślicznie, że na sam widok łzy cisnęły mu się do oczu - świeciła latarnia Ziemi, gdzie się urodził, z towarzyszącym jej wiernie Księżycem, po którym nieraz stąpał;

czy ujrzy jeszcze kiedyś choćby jedno z tych bliskich mu miejsc?

Zdziwiło go, że do tej pory nie pomyślał nawet o żonie i dzieciach, i o wszystkim, co kochał na świecie, który wydawał mu się teraz coraz bardziej odległy. Poczul nagły wyrzut sumienia, ale zaraz mu przeszło. Więzy uczuć nie osłabły przecież mimo tych stu milionów mil przestrzeni, które dzieliły go od rodziny. W tej chwili nie miały po prostu żadnego znaczenia.

Był teraz prymitywnym, egocentrycznym zwierzęciem, walczącym o własne życie, a jego jedyną bronią były szare komórki. W tym pojedynku serce nie miało nic do powiedzenia; byłoby tylko zbędną przeszkodą, mącą trzeźwość umysłu i osłabiającą stanowczość.

I wtedy ujrzal coś, co przegnało precz wszelkie myśli o dalekim domu. Za jego plecami, sięgając wysoko ponad horyzont, rozpościerając się pomiędzy gwiazdami jak mleczna mgła, majaczył blady stożek fosforescencji. Był to zwiastun Słońca - cudowne, perłowe widmo korony, na Ziemi widoczne jedynie podczas rzadkich chwil całkowitego zaćmienia Słońca. Gdy wschodziła korona, Słońce nie pozostawało już daleko w tyle, by wkrótce rzucić się z furją na tę małą krainę.

Sherrard skwapliwie skorzystał z ostrzeżenia. Mógł teraz w miarę precyzyjnie określić moment wschodu Słońca. Pełznąć powoli i ociężale na połamanych kikutach metalowych rąk, przetoczył wreszcie kapsułę na boczną stronę skały, gdzie powinno być najwięcej cienia. Ledwie zdołał tam dotrzeć, gdy Słońce rzuciło się na niego jak drapieżna bestia i jego małe świat eksplodował światłem.

Precyzyjnie nastawił osadzone wewnątrz hełmu filtry przeciwsłoneczne, aż wreszcie mógł znieść oślepiający blask. Wszędzie tam, gdzie nie padał rozległy cień skały, było to jak wpatrywanie się w palenisko wielkiego pieca. Każdy szczegół tego jałowego lądu został teraz bezwstydnie obnażony w bezlitosnym świetle; żadnych półcieni, tylko oślepiająca biel i nieprzenikniona czerń. Wszelkie szczeliny i wgłębienia były kałużami czarnego atramentu, a

wszystko, co znajdowało się nieco wyżej, już zdawało się płonąć, ledwie tknięte promieniami Słońca. A przecież Słońce weszło dopiero przed minutą.

Już teraz rozumiał, dlaczego wściekły upał miliardów lat spalił Ikara na kosmiczny kawałek żużlu, opiekając skały, aż ulotniły się ostatnie bąbelki gazu. Czy po to człowiek pcha się, pytał siebie z rozgoryczeniem, w tę gwiazdną otchłań ponosząc takie koszty i ryzyko - by wreszcie wylądować na wirującej kupie żużla? Dobrze wiedział, że ludziom przyświecał wciąż ten sam cel, co zdobywcom Mount Everestu, biegunów i innych zakamarków ziemskich - zaspokojenie tej namiętności ciała, której na imię przygoda, oraz znacznie trwalszej namiętności ducha, zwącej się odkryciem. Odpowiedź ta niewiele dodała mu otuchy teraz, kiedy miał właśnie piec się nabity na obracający się rożen Ikara.

Już poczuł na twarzy pierwszy powiew żaru. Skała, pod którą się schronił, osłaniała go przed bezpośrednim uderzeniem Słońca, ale blask odbity od płonących głazów nie opodał trafiał w niego rykoszetem poprzez przezroczysty plastik kopuły. Z każdą chwilą Słońce będzie coraz wyżej, a żar coraz bardziej nieznośny; widział już, że pozostało mu mniej czasu, niż początkowo sądził, i opanowało go uczucie drętwej rezygnacji, które wyparło lęk. Poczekaj spokojnie - jeśli wytrzyma - aż Słońce zaleje go żarem, a układ chłodzenia kapsuły podda się się w nierównej walce; wtedy przebiję łupinę kosmopodu, by nigdy nie nasycona próżnia jednym haustem wessała powietrze.

Nic, tylko siedzieć i dumać przez te minuty, które mu zostały, aż wyschnie do cna kałuża cienia. Nie chciał kierować myślami, pozwolił im wałęsać się gdzie popadnie. Dziwnym zrzędzeniem losu miał umrzeć teraz tylko dlatego, że dawno temu, w tysiąc dziewięćset czterdziestym którymś - szmat czasu przed jego narodzeniem - jakiś zapaleniec w Palomar spostrzegł smuzkę światła na płycie fotograficznej i chyba nie mógł jej nazwać trafniej niż imieniem chłopca, który poleciał zbyt blisko Słońca.

Pomyślał sobie, że pewnie kiedyś wystawią mu tu pomnik, na tym pogorzeliisku. Jaki dadzą napis? "Tu zginął Colin Sherrard, inżynier astronaut, poświęciwszy życie dla Nauki". Byłoby to o tyle zabawne, że nigdy nie pojmował nawet połowy z tego, co usiłowali dokonać uczeni. Jednakże udzielała mu się niekiedy fascynacja towarzysząca ich odkryciom. Przypomniawsobie, jak geolodzy pobrali kawałek asteroidu ze spieczonej skorupy i oszlifowali odkrytą metaliczną powierzchnię. Pokrywał ją zagadkowy deseń linii i rys, jak z abstrakcyjnych obrazów postpicassowskich dekadentów. Lecz te linie coś oznaczały; pisały historię Ikar, choć odczytać ją umiał jedynie geolog. Ujawniały one, jak zapewniano Sherrarda, że ta bryła z żelaza i kamienia nie zawsze samotnie szybowwała w przestworzach. Kiedyś, w zamierzchłej przeszłości, znalazła się pod działaniem ogromnego ciśnienia co mogło oznaczać tylko jedno. Miliardy lat temu stanowiła część o wiele większego ciała, choćby planety takiej jak Ziemia. Z niewiadomej przyczyny planeta wybuchła, a Ikar i tysiące innych asteroidów to szczątki tej kosmicznej eksplozji.

Nawet w tej chwili, gdy rozżarzona linia słonecznego światła podchodziła coraz bliżej, właśnie ta myśl zajmowała jego umysł. To, na czym Sherrard teraz leżał, było rdzeniem jakiegoś świata - świata, który być może znał niegdyś życie. Wbrew rozsądkowi otuchy dodawał mu dziwaczny pomysł, że może nie będzie jedynym duchem nawiedzającym Ikar po wsze czasy.

Hełm pokrywał się parą; oznaczało to niechybnie, że zaraz wysiądzie układ chłodzenia.

Spisał się zresztą znakomicie; nawet teraz, gdy kamienie oddalone zaledwie o kilka jardów jarzyły się zapewne bezlitosną czerwienią, upał w kapsule nie był jeszcze nieznośny. Niech tylko przestanie działać, a skutek będzie natychmiastowy i katastrofalny.

Położy rękę na czerwonej dźwigni, która wydrze Słońcu ofiarę - ale zanim pociągnie, spojrzypo raz ostatni na Ziemię. Ostrożnie opuścił filtry przeciwsłoneczne na taką wysokość, żeby

chroniły go przed oślepiającym blaskiem skał, ale nie zasłaniały widoku.

Gwiazdy świeciły blado, przyćmione nacierającą poświatą korony. Znad skały, której tarcza już wkrótce przestanie go osłaniać, wycierała żagiew szkarłatnego płomienia, zagięty paluch ognia, sterczący z krawędzi samego Słońca. Zostały mu tylko sekundy.

Widać było Ziemię, widać było Księżyc. Żegnał się z nimi na zawsze. Żegnał się też z przyjaciółmi i najbliższymi, których pozostawiał na obu. Gdy tak wpatrywał się w niebo, światło słoneczne oblizywało już dno kapsuły i Sherrard poczuł pierwszy dotyk ognia.

Odruchem tyleż automatycznym, co daremnym, podkurczył nogi, starając się uciec przed natarciem fali gorąca.

Co to? Rażące światło, nieskończenie jaśniejsze od każdej z gwiazd, nagle rozbłysło w górze.

Wiele mil ponad nim płynęło po niebie ogromne lustro, które odbijało toczące się powoli w przestrzeni światło słoneczne. Przecież to czysty absurd; już miał halucynacje i najwyższy czas się wynosić. Cały był zlany potem, a za parę sekund kapsuła miała zamienić się w piec.

Dłużej już nie wytrzymał i pociągnął za Dźwignię Awaryjnego Wyjścia całą resztką sił, szykując się na swój koniec. Nic z tego. Dźwignia się nie ruszyła. Szarpał nią z wściekłością, nim zorientował się, że jest beznadziejnie zablokowana. Nie miał łatwego wyjścia, łagodnej śmierci, szybkiej jak jeden wydech powietrza z płuc. Dopiero wtedy, jak już w pełni uświadomił sobie cały koszmar swego położenia, stracił zimną krew i zaczął wyc jak zwierzę w potrzasku.

Kiedy dotarł do niego słaby, lecz wyraźny głos kapitana McClellana, był pewien, że znowu ma halucynacje. Ale ostatni przeblysłk dyscypliny i opanowania kazał mu się uspokoić; zacisnął zęby i wsłuchiwał się w ten znajomy, stanowczy głos.

- Sherrard! Trzymaj się, stary! Mamy twój namiar, ale cały czas krzycz!

- Dobra! - wrzeszczał - ale szybko, na litość boską. Palę się!

Gdzieś w głębi tego, co zostało jeszcze z racjonalnego umysłu, rozumiał, co się stało. Nikłe widmo sygnału wyciekało kikutami połamanych anten i ratownicy usłyszeli jego krzyki a on ich głosy. Oznaczało to, że istotnie są bardzo blisko, i to dodało mu natychmiast sił.

Przez zaparowany plastik kopuły starał się wypatrzeć jeszcze raz to niemożliwe lustro w niebie. Zobaczył je wreszcie - i zaraz zrozumiał, że jego zmysły dały się zwieść mylącym perspektywom kosmosu. Lustro nie było oddalone o wiele mil ani nie było takie ogromne. Miał je niemal nad samą głową, a poruszało się bardzo szybko.

Wciąż krzyczał, gdy lustro zrównało się z tarczą wspinającego się Słońca i rzuciło na niego błogosławiony cień niczym mroźny wiatr z samego serca zimy, wiecznych śniegów i lodów. Z bliska natychmiast rozpoznał, co ma nad głową: była to zwykła osłona przeciwpromienna z folii metalowej, z pewnością pospiesznie zdarta z jednej ze stacji pomiarowych. Pod pieczę jej cienia szukali go przyjaciele.

Krążyła nad nim dwuosobowa kapsuła do ciężkich prac terenowych. Jedna para metalowych rąk utrzymywała osłonę odblaskową, a druga sięgała po niego. Poprzez zamgloną kopułę i otumaniającą zmysły falę upału rozpoznał zatroskaną twarz kapitana McClellana, wpatrzoną w niego z drugiego kosmopodu.

Tak oto wyglądają narodziny, bo przecież urodził się na nowo. Był zbyt wycieńczony, aby podziękować kolegom przyjdzie na to czas później - ale unosząc się ponad gorejącymi skałami szukał wzrokiem, aż wreszcie znalazł, jasną gwiazdę Ziemi.

- Żyję - szeptał. - Wracam do domu.

Wróci, by radować się nieprzebranym pięknem świata, z którym się prawie zdążył pożegnać na zawsze. Poza jednym wyjątkiem.

Nigdy więcej nie uraduje go lato.

Z kolebki na wieczne orbitowanie

Zanim zaczniemy, pozwolę sobie sprostować pewien błąd, który jak mi się zdaje, popełniło wielu ludzi. Dwudziesty pierwszy wiek nie zaczyna się jutro; zaczyna się o cały rok później, to jest pierwszego stycznia 2001 roku. Choć od północy kalendarz pokazuje nam liczbę 2000, staremu wiekowi zostało jeszcze całe dwanaście miesięcy. Dokładnie co sto lat my, astronomowie, musimy wyjaśniać w kółko to samo, bez widocznych skutków. Fajerwerki rozpoczynają się niezmiennie wraz z pojawieniem się dwóch zer...

Mam więc opowiedzieć swoje najbardziej pamiętne przeżycie z pięćdziesięcioletniej historii podboju kosmosu... Z pewnością macie już wywiad z von Braunem? Co u niego słyhać? Cieszę się; nie widziałem się z nim od czasu tego sympozjum, któreśmy zorganizowali w Astrogradzie z okazji jego osiemdziesiątych urodzin, kiedy to ostatni raz przyleciał z Księżyca.

Tak - istotnie byłem świadkiem paru przełomowych chwil w historii lotów kosmicznych, od samego początku, czyli wystrzelenia pierwszego satelity. Miałem wówczas tylko dwadzieścia pięć lat i zatrudniony byłem w Kapustinowym Jarze na stanowisku młodszego matematyka, nie na tyle ważnym, żeby znaleźć się w ośrodku kontroli podczas odliczania. Ale słyszałem start: był to drugi najbardziej wstrząsający dźwięk, jaki zdarzyło mi się usłyszeć w życiu. (Pierwszy? Do tego wrócę później.) Kiedy już było wiadomo, że weszliśmy na orbitę, jeden z bardziej liczących się naukowców posłał po swojego Zisa i pojechaliśmy do Stalingradu, żeby godnie uczcić sukces. Tylko ludzie e ścisłej elity mieli samochody w naszym Robotniczym Raju; jechaliśmy sto kilometrów niemal dokładnie tyle czasu, ile potrzebował sputnik na jedno okrążenie Ziemi, a wcale nie jechaliśmy wolno. Znalazł się też ktoś, kto obliczył, że ilość wypitej następnego dnia wódki starczyłaby na wystrzelenie satelity, którego wtenczas budowali Amerykanie, ale nie całkiem bym się z tym zgodził.

Większość podręczników twierdzi, że właśnie ten pamiętny dzień, 4 października 1957 roku, zapoczątkował Erę Kosmiczną; nie mam zamiaru się z nim spierać, ale w moim mniemaniu prawdziwe emocje przyszły później. Nic nie pobije dramatu, jaki przeżywaliśmy podczas wyławiania Dymitra Kalinina z południowego Atlantyku przez Marynarkę USA, nim jego kapsuła zatonała... Potem była słynna transmisja radiowa, w której Jerry Wingate przekazywał na gorąco swoje wrażenia z przejażdżki wokół Księżyca, nie szczędząc przymiotników, których żadna stacja nie ważyła się cenzurować, bo po raz pierwszy opisywały ukryte księżycowe oblicze. No i, naturalnie, tylko pięć lat później pamiętna transmisja telewizyjna z pokładu Hermanna Obertha podczas jego lądowania na płaskowyżu w Zatoce Tęcz, gdzie stoi po dziś dzień jako wieczny pomnik tych, co polegli obok niego. To właśnie były kamienie milowe na drodze do kosmosu, ale wcale nie o nich miałem opowiedzieć; bo przeżycie, które wywarło na mnie najmocniejsze wrażenie, miało zgoła inny charakter. Nie ręcę nawet, czy znajdę odpowiednie słowa, a jeśli mi się uda, to i tak sensacji z tego nie zrobicie, zresztą gdyby nawet, to nie całkiem świeżą, bo w swoim czasie w gazetach pełno było na ten temat. Ale większość z nich w ogóle nie pojęła, co się naprawdę stało. Dla nich była to jeszcze jedna tania sensacja, i nic poza tym.

Rzecz działa się dwadzieścia lat po wystrzeleniu Sputnika I i już wtedy, wraz z całą gromadą innych ludzi, byłem na Księżycu... tym razem, nie da się ukryć, jako zbyt ważna figura, żeby zajmować się samą nauką. Od dobrych dwunastu lat nie programowałem maszyny cyfrowej; spoczywał na mnie nieco trudniejszy obowiązek programowania ludzi, jako że piastowałem funkcję Naczelnego Koordynatora Programu Ares, czyli pierwszego załogowego lotu na Marsa.

Start planowaliśmy, rzecz jasna, z Księżyca, ze względu na niską grawitację; biorąc pod uwagę już choćby samo paliwo, start z Księżyca jest bodaj pięćdziesiąt razy łatwiejszy niż z

Ziemi. Były też pomysły zbudowania statków na orbicie satelitarnej, które co prawda jeszcze bardziej obniżyłyby zapotrzebowanie na paliwo, ale po dokładniejszym zbadaniu pomysły te okazały się mniej abstrakcyjne, niż początkowo przypuszczaliśmy. Wybudowanie fabryki czy nawet warsztatu w kosmosie nie jest bagatelną sprawą; brak przyciągania może bardziej dać się we znaki niż pomoc, zwłaszcza gdy się chce, żeby wszystkie manele zostawały na swoim miejscu jak Pan Bóg przykazał. Właśnie wtenczas, pod koniec lat siedemdziesiątych, organizowała się na dobre Pierwsza Baza Księżycowa, ze swoimi zakładami chemicznymi i wszelkiej maści drobnym przemysłem wytwarzającym niezbędne kolonii produkty.

Postanowiliśmy wobec tego raczej wykorzystać istniejące zaplecze, niż stawiać wszystko od nowa w przestrzeni ogromnym kosztem i wysiłkiem.

Alfa, Bera i Gamma, trzy statki naszej ekspedycji, budowały się w obrębie wałów Platona, chyba najbardziej płaskiej ze wszystkich obwałowanych dolin po tej stronie Księżyca. Jest ona tak rozległa, że jak człowiek stanie w środku, do głowy mu nie przyjdzie, że znajduje się wewnątrz krateru; otaczający go wianuszek gór chowa się głęboko pod horyzontem. Pawilony ciśnieniowe bazy stały w odległości około dziesięciu kilometrów od stanowiska wyrzutni i połączone były systemem takich lin z wagonikami, za którymi przepadają turyści, ale które zeszpeciły już kawał księżycowego krajobrazu.

Nie żyło nam się lekko w tych pionierskich czasach; nie mieliśmy bowiem tych wszystkich luksusów, których brak trudno sobie dziś wyobrazić. Pawilon Centralny, z jego parkami i jeziorami, wciąż znajdował się w sferze marzeń na deskach kreślarskich; gdyby nawet stał się wówczas rzeczywistością, nie mielibyśmy czasu, żeby korzystać z jego uroków, bo też Program Ares nie pozostawiał nam jednej wolnej chwili. Miał przecież być pierwszym ogromnym krokiem naprzód w podboju kosmosu; już wtedy patrzyliśmy na Księżyc jak na przedmieście Ziemi, przystanek po drodze do miejsc, które się liczą naprawdę. Nasze

ówczesne odczucia znakomicie ujmuje słynny aforyzm Ciołkowskiego, który powiesiłem na ścianie swojego gabinetu, żeby każdemu rzucał się w oczy:

ZIEMIA JEST KOLEBKĄ UMYŚLU - ALE NIE MOŻNA WIECZNIE ŻYĆ W KOLEBCE

(Proszę? Nie - jakże mogłem znać Ciołkowskiego? Przecież miałem cztery lata, kiedy umarł w 1936 roku!)

Po tylu latach zachowywania ścisłej tajemnicy z przyjemnością pracowało się z ludźmi wszystkich narodów nad programem popieranym przez cały dosłownie świat. Wśród moich czterech głównych asystentów był jeden Amerykanin, jeden Hindus, jeden Chińczyk i wreszcie jeden Rosjanin. Często gratulowaliśmy sobie wzajemnie skutecznej ucieczki spod kurateli bezpieki i od najgorszych ekscesów nacjonalizmu. Owszem, naukowcy z różnych krajów nieszkodliwie współzawodniczyli ze sobą, co nawet okazywało się dodatkowym bodźcem do naszej pracy. Zdarzało mi się chwalić przed gośćmi, którzy pamiętali stare złe czasy: "Na Księżycu nie ma żadnych tajemnic".

No cóż, pomyliłem się; była tajemnica, i to pod samym nosem - w moim własnym biurze.

Może i zwróciłbym uwagę na podejrzaną szczegół, gdybym nie był tak pochłonięty całą masą drobiazgów związanych z Programem Ares, że traciłem z oczu całość. Już po wszystkim naturalnie zorientowałem się, że nie brakowało poszlak i sygnałów ostrzegawczych, ale wówczas nie zwracałem na nie w ogóle uwagi.

Owszem, miałem wrażenie, że Jim Hutchins, mój młody amerykański asystent, jest coraz bardziej wyobcowany, jakby coś zaprzętało jego myśli. Raz czy dwa zmuszony byłem zganić go za drobne zaniedbania; za każdym razem okazywał skruchę i obiecywał poprawę. Należał on do tych typowych, prostolinijnych absolwentów, których masowo produkują amerykańskie uczelnie - zazwyczaj nader solidnych, ale nie wybitnych. Spędził już wówczas trzy lata na Księżycu i był jednym z pierwszych, którzy sprowadzili z Ziemi swoje żony po zniesieniu

zakazu obejmującego wszystkie osoby spoza personelu stacji. Nie mogłem wtenczas pojąć, jak mu się to udało; nawet jeśli miał jakieś plecy, to i tak był ostatnim człowiekiem, którego można by podejrzewać o to, że znajdzie się w samym centrum ogólnoświatowego spisku. Powiedziałem ogólnoświatowego? Nie - miał nawet większy zasięg, bo owa sugestia wyszła z Ziemi. Zamieszanych było dziesiątki osób, aż po sam szczyt Komisji Astronautyki. Wciąż trudno mi uwierzyć, że udało im się nie dopuścić do żadnych przecieków.

Słońce wschodziło już powoli od dwóch dni czasu ziemskiego i choć ostre jak igły cienie stawały się coraz krótsze, do południa pozostało jeszcze pięć dni. Wszystko było gotowe do pierwszych prób statycznych silników Alfy, bo działała już siłownia i zakończono budowę szkieletu statku. Stał sobie na równinie i sprawiał bardziej wrażenie nie dokończonej rafinerii ropy naftowej niż statku kosmicznego, ale nam wydawał się piękny, ze swą obietnicą przyszłości. Były to chwile pełne napięcia; nigdy przedtem nie zastosowano tych rozmiarów silnika termonuklearnego i mimo przedsięwzięcia wszelkich środków ostrożności nie można przecież mieć całkowitej pewności... Gdyby coś teraz nie wyszło, Program Ares opóźniłby się o wiele lat.

Zaledwie rozpoczęło się odliczanie, gdy podbiegł do mnie blady, roztrzęsiony Hutchins. - Muszę natychmiast zgłosić się w Bazie - wydusił. - W bardzo ważnej sprawie. - Ważniejszej niż to? - odparłem uszczypliwie, bo już mnie krew zalała. Przez chwilę się wahał, jakby mi chciał coś powiedzieć, ale wycedził tylko: - Chyba tak. - Dobra - powiedziałem, i już go nie było. Mogłem z niego coś wydusić, ale trzeba ufać swoim podwładnym. Wracając do centralnego ośrodka kontroli w podłym humorze, doszedłem do wniosku, że mam już dosyć tego młodego, chimerycznego Amerykanina i zażądam przeniesienia go na inne stanowisko. Zastanawiające jednak - zależało mu na tej próbie jak każdemu innemu, a teraz pędził kolejką linową do Bazy. Walcowaty wagonik kolejki był już w połowie drogi do najbliższego przęsła,

przesuwając się po prawie niewidocznych kablach jak jakieś niesamowite ptaszysko szybujące tuż nad powierzchnią księżycową.

Po pięciu minutach miałem jeszcze gorszy humor. Zaciął się jeden z niezbędnych zespołów pomiarowych i próbę trzeba było odłożyć o co najmniej trzy godziny. Goniłem wściekły po całym bunkrze i powtarzałem każdemu, kto chciał słuchać (a naturalnie każdy słuchać musiał), że radziliśmy sobie o niebo lepiej w Kapustinowym Jarze. Zdążyłem się już trochę uspokoić i właśnie piliśmy drugą filiżankę kawy, kiedy z głośników rozległ się sygnał "Uwaga", zapowiadający ważną wiadomość. Jest tylko jeden sygnał, który ma wobec niego pierwszeństwo - jęk syren alarmowych, a ten miałem okazję słyszeć dwa razy w ciągu tych wszystkich lat spędzonych w Księżycowej Kolonii i mam nadzieję, że nie usłyszę go nigdy więcej.

Głos, który rozbrzmiewał echem w każdym zamkniętym pomieszczeniu na Księżycu i w radiodbiorniku każdego robotnika w wymarłych dolinach, należał do generała Mosze Steina, Przewodniczącego Komisji Astronautyki. (W użyciu zachowało się jeszcze sporo kurtuazyjnych tytułów, choć pozbawione były najmniejszego znaczenia.)

- Mówię z Genewy - zaczął - i mam do przekazania doniosłą wiadomość. Przez ostatnie dziewięć miesięcy przeprowadzaliśmy eksperyment ogromnej wagi. Zachowaliśmy tajemnicę ze względu na bezpośrednio zainteresowanych, a także dlatego, żeby nie wzbudzać fałszywych nadziei i obaw. Jeszcze nie tak dawno, jak zapewne pamiętacie, wielu ekspertów nie wierzyło, że człowiek może przetrwać w kosmosie; i tym razem nie brakowało pesymistów, którzy wątpili, że zrobimy następny krok w podboju wszechświata.

Udowodniliśmy, że wątpliwości ich były nieuzasadnione; bo oto mam zaszczyt przedstawić wam George'a Jonathana Hutchinsa-Pierwszego Obywatela Kosmosu.

Rozległ się trzask przełączanego obwodu, po czym nastąpiła przerwa wypełniona nie

zidentyfikowanymi szelestami i szeptami. I naraz po całym Księżycu i połowie Ziemi rozszedł się dźwięk, o którym miałem opowiedzieć - dźwięk, który wywarł na mnie najmocniejsze wrażenie w życiu.

Był to płacz nowo narodzonego dziecka - pierwszego w historii ludzkości dziecka, które przyszło na inny niż Ziemia świat. W bunkrze zapanowała głucha cisza. Spoglądaliśmy wszyscy to na siebie, to na statki, które budowaliśmy na błyszczącej, księżycowej równinie. Jeszcze przed chwilą wydawały się nam takie ważne. Nadal były ważne - ale nie aż tak, jak to, co się stało w Centrum Medycznym, i będzie powtarzać się miliardy razy na niezliczonych światach po wsze czasy.

Była to bowiem bez wątpienia chwila, panowie, kiedy człowiek r z e c z y w i ś c i e podbił kosmos.

Kto tam?

Kiedy zgłosiła się Kontrola Satelitarna, kończyłem właśnie pisać codzienny raport w Bańce Obserwacyjnej - zwieńczonym szklaną kopułą gabinecie, odstającym od osi Stacji Kosmicznej jak kołpak piasty koła. Nie było to najlepsze miejsce do pracy z racji zbyt przytłaczającego widoku. Za ledwie kilka jardów ode mnie widać było grupy robotników, którzy jakby w zwolnionym tańcu składali stację jak gigantyczną układankę dla dzieci. A dalej, dwadzieścia tysięcy mil niżej, pyszniła się błękitem i zielenią pełna Ziemia na tle płataniny gwiazdnych obłoków Drogi Mlecznej.

- Nadzór stacji, słucham - odpowiedziałem. - Co się dzieje?

- Nasz radar sygnalizuje słabe echo dwie mile stąd, prawie nieruchome, około pięć stopni na zachód od Syriusza. Zobacz, co to jest, i daj nam znać.

Tak dokładnie zgrać się z naszą orbitą nie mógł raczej żaden meteor; z pewnością coś nam wypadło - może zniosło jakąś źle zabezpieczoną część wyposażenia stacji. Przyjąłem taką

wersję, ale gdy wyciągnąłem lornetkę i przeszukałem niebo wokół Orion, wkrótce przekonałem się, że nie miałem racji. Choć ten kosmiczny przybłęda był dziełem ludzkich rąk, nie miał z nami nic wspólnego.

- Mam - zameldowałem Kontroli. - To jakiś obcy satelita próbny; kształt stożka, cztery anteny i coś, co wygląda na układ obiektywów w kadłubie. Chyba wystrzelony przez Lotnictwo Stanów Zjednoczonych, lata tysiąc dziewięćset sześćdziesiąte, sądząc po sylwetce. Pamiętam, że z kilkoma stracili kontakt, bo nawaliły nadajniki. Sporo razy próbowali wejść na tę orbitę, zanim im się wreszcie udało.

Po szybkim przerzuceniu kartoteki Kontrola potwierdziła moje przypuszczenia. Nieco więcej czasu upłynęło, nim dowiedzieliśmy się, że Waszyngton ma w nosie nasze odkrycie dwudziestoletniego zbłąkanego satelity i byłby szczęśliwy, gdybyśmy go znowu zgubili.

- Tego nie możemy zrobić - tłumaczyła Kontrola. Nawet jeżeli nie jest nikomu potrzebny, to stanowi poważne zagrożenie dla nawigacji. Lepiej niech ktoś wyskoczy i przyholuje przybłędę do stacji.

Wiadomo, że tym ktosiem nie będzie nikt inny, tylko ja sam. Przecież nie mogłem oderwać od drobiazgowo zorganizowanej pracy nikogo z brygad budowlanych, bo już byliśmy do tyłu z robotą - a jeden dzień opóźnienia kosztował tu milion dolarów. Wszystkie sieci radiowe i telewizyjne nie mogły wprost doczekać się chwili, kiedy zaczną przez nas przekazywać swoje programy i w ten sposób zapoczątkują prawdziwą globalną emisję, obejmującą cały świat od bieguna do bieguna.

- Sam po niego polecę - odparłem, spinając gumką papiery, żeby mi nie zaczęły tańczyć po pokoju w podmuchu wentylatorów. Choć odpowiedziałem takim tonem, jakbym robił wszystkim wielką łaskę, w duchu byłem zadowolony z tego obrotu sprawy. Od dobrych dwóch tygodni nie ruszałem się ze stacji; mdliły mnie już wykazy zapasów, harmonogramy

konserwacji i inne smaczki z życia Dyrektora Nadzoru Stacji Kosmicznej.

Jedynym członkiem personelu, na którego natknąłem się po drodze do służby powietrznej, był Tommy, nasz niedawno sprowadzony kot. Zwierzęta wiele znaczyły dla ludzi oddalonych o tysiące mil od Ziemi, ale nie wszystkie umieją przystosować się do nieważkościowego środowiska. Tommy miauczał do mnie żałośnie, gdy gramoliłem się do mojego kombinezonu, ale miałem za mało czasu, żeby się z nim pobawić.

W tym miejscu wypada mi chyba przypomnieć, że kombinezony, których używamy na stacji, są całkiem inne od tych miękkich ubranek, wkładanych na przechadzki po Księżycu. Nasze są właściwie miniaturowymi statkami kosmicznymi, w sam raz na jedną osobę. Są to przysadziste cylindry długości około siedmiu stóp, wyposażone w silniki odrzutowe małej mocy i parę harmonijkowych rękawów w górnej połowie na ręce operatora. Najczęściej jednak trzyma się ręce wsunięte do kombinezonu w pobliżu umieszczonej na wysokości klatki piersiowej tablicy sterowniczej.

Jak tylko usadowiłem się wygodnie w swoim osobistym stateczku, włączyłem zasilanie i sprawdziłem wskaźniki na małej tablicy przyrządów. Nierzadko można podsłuchać kosmonautów, jak wsiadając do takich kombinezonów mamrocą słowo-zakłęcie TRAP; przypomina im o sprawdzeniu tlenu, radia, akumulatorów i paliwa. Wszystkie wskaźniki utrzymywały się powyżej bezpiecznego minimum, toteż opuściłem na głowę przezroczystą półkulę i zamknąłem się szczelnie. Przed takim krótkim wypadem nie warto nawet sprawdzać zawartości wewnętrznych pojemników do przewożenia żywności i specjalnego wyposażenia na dłuższe wyprawy. Na taśmie, która przenosiła mnie do służby powietrznej, czułem się jak indiański bobas przenoszony na plecach swojej matki. Potem pompy zmniejszyły ciśnienie do zera, otworzyły się zewnętrzne drzwi i, wymieciony resztkami powietrza w przestworza, powoli obracałem się do góry nogami.

Oddaliłem się od stacji o niespełna dwanaście stóp, a już stałem się niezależną planetą - takim własnym małym światem. Byłem szczelnie zamknięty w niepokaźnym, ruchomym cylindrze, ze wspaniałym widokiem na cały wszechświat, ale praktycznie pozbawiony swobody ruchu wewnątrz kombinezonu. Głęboki fotel i pasy bezpieczeństwa uniemożliwiały mi obracanie się na boki, ale do wszystkich regulatorów łatwo mi było sięgnąć rękami albo nogami.

W kosmosie okrutnym wrogiem jest Słońce, które oślepią cię jednym ciosem, nim zdążysz mrugnąć. Bardzo uważnie odsłoniłem filtry po "nocnej" stronie kombinezonu i odwróciłem głowę, by wyrzeć na gwiazdy. Jednocześnie włączyłem automat przytwierdzonych po zewnętrznej stronie hełmu osłon przeciwsłonecznych, dzięki którym moich oczu nie powinien dosięgnąć porażający blask, bez względu na to, w którą stronę raczy się obrócić mój kombinezon.

Zaraz odszukałem cel mojego wypadu - jaskrawą plamkę srebra, która swym metalicznym połyskiem wyraźnie odróżniała się od otaczających ją gwiazd. Wcisnąłem do oporu pedał przyspieszenia i poczułem łagodny wzrost prędkości, kiedy posłuszne rakiety małej mocy odrzuciły mnie od stacji. Po dziesięciu sekundach ustalonego ruchu oszacowałem, że osiągnąłem dostateczną prędkość, i wyłączyłem napęd. Za pięć minut pokonam z rozpędu resztę trasy i niewiele więcej czasu zajmie mi powrót z moim znajdą na holu.

I już wtedy, ledwie zdążyłem wystrzelić się ze stacji w otchłań, zorientowałem się, że jestem w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

W kombinezonie nigdy nie panuje głucha cisza; słychać zawsze łagodne syczenie tlenu, dyskretny furkot wentylatorów i silników, szmer własnego oddechu, a jak się dobrze wsłuchać, nawet miarowe głucho uderzenia, które są biciem serca. Dźwięki te odbijają się po całym kombinezonie, daremnie próbując ulecieć w otaczającą próżnię; są niezauważalnym

tłem kosmicznego życia, słycać je bowiem tylko wówczas, kiedy się zmieniają.

Właśnie się zmieniły. Dołączył do nich dźwięk, którego nie rozpoznawałem. Co jakiś czas odzywały się głucho, przytłumione stuki, którym raz po raz akompaniował zgrzyt, jak metalu o metal.

Zmartwiałem; wstrzymałem oddech i wytężyłem słuch, usiłując ustalić źródło obcych dźwięków. Tablica wskaźników mi nie pomogła; wszystkie wskazówki uparcie tkwiły w poprzednim położeniu i nie migąła ani jedna czerwona lampka, by ostrzec mnie przed zbliżającą się katastrofą. Zawsze to jakaś pociecha, ale mizerna. Od dawna w takich przypadkach potrafiłem ufać swoim przeczuciom; ich syreny alarmowe wyły teraz złowrogo, nakazując mi wracać do stacji, zanim będzie za późno...

Jeszcze teraz wzdrygam się na samo wspomnienie tych kilku minut, kiedy trwoga coraz większym strumieniem zalewała mój umysł jak wezbrana rzeka, przerywając zapory rozsądku i logiki, które człowiek musi wznosić przeciwko tajemnicy wszechświata. Zrozumiałem wtedy, co to znaczy popadać w obłąd; nie ma już innego wyjaśnienia, które potwierdzałoby fakty.

Bo nie można było dłużej udawać, że przyczyna niepokojących mnie hałasów tkwiła w wadliwie funkcjonującym mechanizmie. Mimo że znajdowałem się w zupełnej izolacji, z dala od drugiej istoty ludzkiej lub bodaj obiektu materialnego, nie byłem sam. Z głuchoj otchłani ucho moje wyławiało wątle, lecz nieomyłne oznaki życia.

W tej pierwszej, mrożącej krew w żyłach chwili wydawało mi się, że coś usiłuje wedrzeć się do mego kombinezonu - coś niewidzialnego, co szuka schronienia przed okrutną i bezwzględną próżnią. Wierciłem się jak oszalały w swojej uprzęży, przeszukując całe pole widzenia prócz piekielnego, zakazanego stożka, ostrym końcem zwróconego do Słońca.

Oczywiście nic nie znalazłem, bo i jak mogłem coś znaleźć. A jednak ten uporczywy chrobot

stał się jeszcze wyraźniejszy.

Wypisują o nas, że kosmonauci są przesądni, ale to czyste brednie. Zresztą czy można mnie winić za to, że kiedy zdrowy rozsądek okazał się już bezradny, przypomniało mi się nagle, jak zginął Bernie Summers, wcale nie dalej od stacji, niż ja znajdowałem się właśnie teraz? Był to jeden z tych "niemożliwych" wypadków; jak zresztą każdy wypadek. Trzy rzeczy nawaliły jednocześnie. Zwariował reduktor tlenowy i ciśnienie wzrastało bez końca, puściło felerne złącze. Wystarczył ułamek sekundy, a kombinezon Berniego otworzył się na otchłań kosmosu.

Nie znałem Berniego, ale traf chciał, że jego los miał teraz dla mnie pierwszorzędne znaczenie - bo straszliwa myśl kołatała mi w głowie. Nie mówi się o tym, ale wiadomo przecież, że uszkodzony kombinezon jest zbyt cenny, żeby go wyrzucić, nawet jeśli zabił właściciela. Idzie do naprawy, dostaje nowy numer - i wydają go komu innemu...

Gdzie idzie dusza człowieka, który umiera pośród gwiazd, z dala od ojczystego świata? Czy jeszcze tu jesteś, Bernie, i kurczowo trzymasz się ostatniego przedmiotu, co łączył cię z utraconym dalekim domem?

Opędzając się od koszmarów, które mnie opadły - bo już mi się zdawało, że drapanie i ciche skrobanie dochodzi ze wszystkich stron - uczepiłem się jedynej dla mnie nadziei. Żeby do reszty nie zwariować, musiałem się przekonać, że nie mam na sobie kombinezonu Berniego - że okalające mnie metalowe ściany nigdy nie były trumną innego człowieka.

Dopiero po kilku chybionych próbach udało mi się nacisnąć właściwy guzik i przełączyć nadajnik na alarmową długość fali. - Halo, stacja! - dyszałem. - Mam kłopoty! Sprawdźcie dokładnie historię mojego kombinezonu!

Nigdy nie dokończyłem; mówią, że mój wrzask rozsadził mikrofon. Ale dajcie mi takiego; który w nieskazitelnym odosobnieniu kombinezonu nie wrzasnąłby, gdyby coś zniecka

poklepało go delikatnie po karku.

Musiałem rzucić się do przodu mimo całego zaprzęgu pasów bezpieczeństwa i rąbnąć w górną krawędź tablicy przyrządów. Kiedy przybyła na miejsce po kilku minutach ekipa ratownicza, byłem wciąż nieprzytomny i miałem sinego guza na czole.

Ostatecznie więc w całej sieci telekomunikacji satelitarnej okazałem się ostatnim ogniwem, do którego dotarła wiadomość o tym, co się właściwie stało. Gdy po godzinie odzyskałem przytomność, ujrzałem wokół swojego łóżka cały nasz personel medyczny, ale dopiero po dłuższej chwili lekarze raczyli zainteresować się moją osobą. Zbyt pochłaniała ich zabawa z trzema milutkami, puszystymi kotkami, które nasz fatalnie ochrzczony Tommy wychowywał w niezmaconym spokoju szafki numer pięć magazynu, gdzie spoczywał mój kombinezon.

Nienawiść

Tylko Joey czuwał na pokładzie w chłodnej ciszy przedświt, gdy z nieba ponad Nową Gwineę wypadł meteor. Joey patrzył, jak meteor pnie się coraz bliżej, aż przeleciał prosto nad nim, rozganiając gwiazdy i rzucając przebiegające pędem przez zatłoczony pokład cienie. Ostre światło ukazało kontury nagiego takielunku, zwiniętych lin, węży do butli z powietrzem, miedzianych hełmów do nurkowania, schludnie ułożonych na noc - a nawet płaską, porośniętą pandanem wysepkę, oddaloną o pół mili. Daleko na południowym zachodzie, nad pustką Pacyfiku, meteor zaczął się rozpryskiwać. Odrywały się od niego rozżarzone kulki, płonąc i topiąc się w ognistym ogonie, który meteor włókł za sobą kawał drogi po niebie. Gdy zniknął z pola widzenia, już dogorywał, ale Joey nie ujrzał samego końca. Wciąż buchając wściekle płomieniem, meteor zanurzył się pod horyzont, jakby pragnął czym prędzej rzucić się w objęcia ukrytego słońca.

Jeśli sam widok był imponujący, to grobowa cisza wzbudzała niepokój. Joey długo nasłuchiwał, ale nie mógł się doczekać żadnego dźwięku z rozdartego nieba. Gdy wreszcie po

kilku minutach usłyszał nie opodał plusk, mimowolnie poderwał się zaskoczony - i zaklął siarczyście, bo przestraszyła go zwyczajna manta. (Chyba niezła sztuka, skoro narobiła tyle hałasu swoim skokiem.) Żaden inny dźwięk nie zmącił już ciszy i wkrótce powrócił sen. W swej wąskiej koi tuż za kompresorem Tibor nic nie usłyszał. Tak mocno spał po całodzienniej pracy, że zabrakło mu sił nawet na sny - a kiedy już go nawiedziły, nie były to sny, jakich pragnął. W godzinach ciemności, gdy umysł błąkał się po zakamarkach przeszłości, nie zatrzymywał się w ogóle na lubieżnych wspomnieniach. Tibor miał kobiety w Sydney, w Brisbane, w Darwin i na Wyspie Czwartkowej - ale żadnej w snach. Po przebudzeniu w zatechłej ciszy kajuty nie pamiętał nic prócz kurzu, ognia i krwi zaraz po wtoczeniu się rosyjskich czołgów do Budapesztu. Śnił nie o miłości, lecz o nienawiści. Kiedy Nick potrząsał nim na pobudkę, właśnie wymykał się strażnikom na austriackiej granicy. W ciągu kilku sekund przebył dziesięć tysięcy mil do Wielkiej Rafy Koralowej; ziewnął, strzepnął łożące mu po palcach stóp karaluchy i wygramolił się z koi.

Na śniadanie było, rzecz jasna, to samo co zawsze - ryż, żółwie jaja i konserwa wołowa, a do popicia mocna, słodka herbata. Posiłki, które pichcił Joey, można było chwalić jedynie za to, że były obfite. Tibor zdążył się przyzwyczaić do monotonnej diety; ten i inne niedostatki odbijał sobie na lądzie.

Ledwie słońce wyjrzało zza horyzontu, kiedy naczynia stały już poskładane w kuchni i lugier podniósł kotwicę. Nick wpadł w dobry humor stojąc przy sterze i odpływając od wysepki; stary szyper wraz ze swą załogą poławiaczy pereł miał wszelkie powody do radości, bo łowisko muszli, na którym właśnie pracowali, było najbogatsze, jakie Tibor widział w życiu. Przy odrobinie szczęścia wypełnią ładownię za dzień lub dwa i popłyną z powrotem na Wyspę Czwartkową z półtonowym zbiorem muszli pod pokładem. A wtedy, jeśli los będzie jeszcze łaskawszy, w diabły rzuci tę śmierdzącą, niebezpieczną robotę i powróci do

cywilizowanego świata. Nie miał powodów do narzekania; Grek traktował go bardzo dobrze, udało mu się też znaleźć trochę cennych kamieni po otwarciu muszli. Ale teraz już wiedział, po dziewięciu miesiącach spędzonych na Rafie, dlaczego białych poławiaczy można zliczyć na palcach jednej ręki. Japońce, Kanakowie i tubylcy z okolicznych wysepek jakoś dawali sobie radę - ale cholernie mało Europejczyków.

Kaszel diesła ucichł, Arafura dobijała do łowiska. Na oko dwie mile dzieliły ich od zielonej, niskiej wyspy, wyraźnie jednak oddzielonej od wody wąską tasiemką oślepiającej plaży.

Wyspa nie była wszak niczym innym, jak bezimienną łachą piasku, którą zdołał opanować niewielki las, a jej wyłącznymi mieszkańcami były chmary głupich burzyków, które dziurawiły miękkie podłoże niezliczonymi dołkami i nocą straszyły upiornym wrzaskiem.

Trzech nurków ubierało się w niemal całkowitym milczeniu; każdy wiedział, co robić, i nie marnował czasu. Gdy Tibor zapinał gruby watowany kaftan, Blanco, jego pomocnik, przecierał szybką hełmu octem, żeby nie zaparowała. Po chwili Tibor schodził już po drabince i dopiero wtedy Blanco nałożył mu na głowę hełm i ołowiany pancerz. Oprócz watowanego kaftana, rozkładającego równo ciężar na ramionach, miał na sobie zwykłe ubranie. W tych ciepłych wodach gumowe skafandry były całkiem zbędne, a hełm działał jak mały dzwon nurkowy, utrzymywany na miejscu pod własnym ciężarem. W razie niebezpieczeństwa można było - przy odrobinie szczęścia - wysliznąć się spod hełmu i wypłynąć na powierzchnię bez szwanku. Tibor wiedział, jak się to robi, ale sam wolał nie próbować takich sztuczek.

Ilećroć stawał na ostatnim szczeblu drabinki, z workiem na muszle w jednej ręce i linką ratunkową w drugiej, ta sama myśl przychodziła mu do głowy. Oto zostawia znany mu świat - czy tylko na godzinę, czy na zawsze? Tam na dnie czekało bogactwo i śmierć, jedno i drugie prawdopodobne. Może tym razem będzie to jeszcze jeden dzień zwykłej harówki, jak

większość dni w bezbarwnym życiu poławiacza pereł. Ale Tibor widział, jak zginął jeden z jego towarzyszy niedoli, gdy lina zaplątała mu się w śrubę Arafury - widział też wijącego się w konwulsjach innego nurka. W morzu nic nie było bezpieczne ani pewne. Wyzwanie podejmowałeś z otwartymi oczami - a jeśli przegrałeś, płacz na nic się nie zdał.

Odbił się od drabinki; świat nieba i słońca przestał istnieć. Głowę miał przeciążoną hełmem i musiał pracować ile sił w nogach, żeby utrzymać się w pionowej pozycji. Schodząc na dno, nie widział nic prócz bezkształtnej, niebieskawej mgiełki. Modlił się, żeby Blanco nie wypuszczał linki zbyt szybko. Połykał ślinę i chrząkał, by przedmuchać pod wpływem wzrastającego ciśnienia uszy; prawe "strzyknęło" niemal natychmiast, w lewym zaś potęgował się kłujący, nieznośny ból, który dawał mu się we znaki już od kilku dni.

Wepchnął rękę pod hełm, zacisnął nos i dmuchnął z całej siły. W głowie poczuł gwałtowny, bezdźwięczny wybuch i ból natychmiast ustąpił. Tego dnia nie będzie mu już dokuczał.

Tibor dotknął dna, zanim je zobaczył. Pole widzenia miał bardzo ograniczone, nie mógł bowiem schylać się, bo woda nalałaby mu się do hełmu. Mógł rozglądać się na boki, ale nie patrzeć tuż pod nogi. To, co widział, uspokoiło go swą ponurą monotonią - lekko pofałdowane, muliste dno, znikające z oczu w odległości dziesięciu stóp. Tuż obok, po lewej stronie, mała rybka skubała kawałek koralu o wielkości i kształcie damskiego wachlarza. To wszystko; za grosz piękna, żadnego podwodnego raj. Ale były tu pieniądze, i tylko to się liczyło.

Linka delikatnie szarpnęła, gdy lugier rozpoczął dryfowanie burtą do przodu przez łowisko, i Tibor ruszył przed siebie sprężynowym, powolnym krokiem, jaki wymuszała nieważkość i opór wody. Jako nurek numer dwa, Tibor pracował od dziobu; pośrodku szedł jeszcze mało doświadczony Stephen, a pod rufą główny nurek, Billy. Rzadko widzieli się podczas pracy; każdy miał swój pas do przeczesania, wyznaczony dryfem Arafury. Jedynie w najdalszych

punktach swoich bocznych wypadów dostrzegali niekiedy mającą ve mgle sylwetkę kolegi.

Tylko doświadczone oko potrafiło wypatrzeć muszle spod kamuflażu alg i wodorostów, ale bywało i tak, że mięczaki same zdradzały swoją obecność. Czując drgania spowodowane ruchem zbliżającego się nurka, zamykały się raptownie - i wtedy następowało dostrzegalne przez ułamek sekundy na szarym tle perłowe mignięcie. Ale i wówczas udawało im się uciec, bo dryfujący statek mógł odciągnąć nurka, nim ten zdołał pochwycić znajdującą się już niemal w zasięgu ręki zdobycz. We wczesnym okresie terminowania Tiborowi wymknęło się sporo okazałych "srebrnych ust", z których każde mogły przecież zawierać najcudowniejszą perłę. Przynajmniej tak sobie wyobrażał, póki nie wypalił się w nim zachwyty nad tym zawodem i gdy zrozumiał, że perły są tak rzadkie, że nie warto sobie zawracać nimi głowy. Najcenniejszy wyłowiony przez niego okaz został sprzedany za pięćdziesiąt sześć dolarów, a udany jednodniowy zbiór samych muszli wart był więcej. Gdyby cały interes zależał od pereł, a nie macicy, wszyscy już dawno poszliby z torbami.

Poczucie czasu nie istniało w tym przyćmionym świecie. Szedłeś pod niewidocznym, dryfującym statkiem, w uszach dudnił ci warkot kompresora, a przed oczami przepływała zielonkawa mgła. Raz po raz wypatrywałeś muszlę, odrywałeś ją od dna i wrzucałeś do worka. Jeśli ci szczęście dopisało, nabierało się z tego dwa tuziny podczas jednego dryfu przez łowisko; innym razem wypływałeś z pustym workiem.

Nie lekceważyłeś niebezpieczeństwa, ale też nie bałeś się na zapas. Naprawdę groźne były rzeczy tak proste i banalne jak poplątane węże aparatów i linki ratunkowe - nie żadne rekiny, strzępiele czy ośmiornice. Rekiny czmychały na widok bąbelków powietrza, a w całej swej podwodnej karierze Tibor widział tylko jedną ośmiornicę, ale za to rozpiętości dwóch stóp. Owszem, ze strzępielami nie było żartów, bo potrafiły połknąć nurka za jednym zamachem,

gdy im dokuczał głód. Ale prawdopodobieństwo takiego spotkania na tej płaskiej, jałowej równinie było nikłe; brakowało tu kolorowych jaskiń, w których znalazłyby kryjówki.

Nie doznałby więc tak ogromnego szoku, gdyby ta jednostajna, płaska szarość nie uspiła jego czujności. Dopiero co szedł pewnie ku niedosiężnej ścianie mgły, która cofała się, w miarę jak on się przybliżał, aż tu nagle, bez żadnego ostrzeżenia, drogę zastąpiła mu jego osobista zmora.

Tibor nie cierpiał pająków, a w morzu żył pewien potwór, jakby stworzony tylko po to, by podsycać tę fobię. Wprawdzie nie stanął dotychczas oko w oko z japońskim krabem pajęczym, a na samą myśl o takim spotkaniu ciarki przechodziły mu po plecach, wiedział jednak, że ten stwór o długich, cienkich nogach osiąga dwanaście stóp szerokości. To, że był niegroźny, nie miało żadnego znaczenia; pajak wielkości człowieka po prostu nie miał prawa istnieć.

Na widok tej sieci wąskich, wieloczłonowych nóg, która raptem wyłoniła się z wszechogarniającej szarości, Tibor zaczął wrzeszczeć w panicznym strachu. Musiał bezwiednie szarpnąć linką, bo Blanco zareagował natychmiast, z wyczuciem doskonałego pomocnika. Hełm wciąż dudnił echem przeraźliwego krzyku, gdy Tibor poczuł, że odrywa się od dna, unosi ku światłu, powietrzu - i przytomności umysłu. Wynurzając się na powierzchnię, pojął całą niedorzeczność i głupotę swojej pomyłki, i powoli przychodził do siebie. Ale był jeszcze tak roztrzęsiony, kiedy Blanco zdejmował mu hełm, że przez długą chwilę nie mógł wydusić z siebie słowa.

- Co się tu dzieje, do jasnej cholery? - krzyknął Nick. Nikomu już nie chce się pracować?

Wtedy dopiero Tibor zorientował się, że nie tylko on wypłynął na powierzchnię. Stephen siedział na pokładzie i jakby nigdy nic palił papierosa. Pracującego pod rufą nurka, który chyba nie wiedział, o co chodzi, też wyciągał chcąc nie chcąc pomocnik, bo Arafura spuściła

kotwicę i wszelkie ~ prace wstrzymano do wyjaśnienia sprawy.

- Tam leży jakiś wrak - powiedział Tibor. - Wlazłem prosto na niego. Widziałem tylko plątaninę kabli i prętów.

Zły był na siebie, bo na samo wspomnienie zaczął znowu dygotać.

- Nie wiem, czy to powód, żeby się trząść jak galareta burknął Nick. Tibor też nie wiedział.

Tu, na wypalonym słońcem pokładzie, nie dało się wytłumaczyć, dlaczego widok drutów miałby wzbudzać śmiertelną trwogę.

- Omal nie zaplątałem się w jakieś żelastwo - skłamał. Blanco odciągnął mnie w ostatniej chwili.

- Hm! - mruknął Nick, wyraźnie nie przekonany. W każdym razie to nie jest wrak statku - dodał wskazując na środkowego nurka. - Steve widział tylko kupę lin i jakąś szmatę, chyba gruby nylon. Wygląda mi na spadochron.

Stary Grek z obrzydzeniem spojrzał na zaśliniony niedopałek cygara i wypstryknął go za burtę. - Jak tylko wypłynie Billy, zejdziemy jeszcze raz i zobaczymy, jakie licho tam siedzi. Może coś się na tym zarobi - pamiętacie, jakie szczęście miał Jo Chambers.

Tibor pamiętał; historia to odbiła się echem na całej długości Wielkiej Rafy Koralowej. Jo był rybakiem samotnikiem, który w ostatnich miesiącach wojny natknął się na DC-; na płyciźnie kilka mil od wybrzeży Queensland. Po nadludzkim wysiłku ratowania samolotu w pojedynkę włamał się do kadłuba i zaczął rozładowywać skrzynie z gwintownikami i matrycami, doskonale zabezpieczonymi tłustym pergaminem. Przez pewien czas prowadził kwitnący interes importowy, ale niebawem na jego ślad natrafiła policja i chcąc nie chcąc musiał wyjawić źródło swego zaopatrzenia; australijscy gliniarze mają wyjątkowy dar przekonywania ludzi.

Dopiero wtedy, po całych tygodniach morderczej pracy pod wodą, Jo dowiedział się, co

znajdowało się w bagażu DC-; oprócz wartego nędznych kilkaset funtów narzędzi, które rozprzedawał po fabryczkach i warsztatach na kontynencie. Wielkie drewniane skrzynie, których nie zdążył już otworzyć, zawierały tygodniową wypłatę dla stacjonujących na Pacyfiku wojsk amerykańskich - większość gotówki w złotych monetach dwudziestodolarowych.

Tutaj nie ma co marzyć o takim szczęściu - pomyślał Tibor, schodząc znów pod wodę; ale samolot - lub cokolwiek tam leżało - mógł zawierać cenne przyrządy, a za jego odkrycie należała im się nagroda. Poza tym był dłużny samemu sobie; chciał dokładnie zobaczyć, co napędziło mu tyle strachu.

Po dziesięciu minutach wiedział już, że nie był to samolot. Zupełnie nie ten kształt i za małe rozmiary - tylko około dwudziestu stóp długości i dwa razy mniej szerokości. Tu i ówdzie na zwężającym się łagodnie kadłubie znajdowały się włazy i maleńkie luki, przez które wyzierały na świat nieznanne instrumenty. Nie widać było większych uszkodzeń, choć jeden koniec jakby stopił się pod wpływem potężnej temperatury. Z drugiego końca wyrastał las anten, z których wszystkie powyginały się lub złamały od zderzenia z wodą. Nawet teraz do złudzenia przypominały nogi ogromnego owada.

Tibor nie był idiotą; od razu domyślił się, z czym ma do czynienia. Pozostała tylko jedna zagadka, którą rozwiązał z dziecinną łatwością. Na pokrywach włazów dostrzegł na wpół zatarte, szerniałe od gorąca słowa. Pisane były cyrylicą, a Tibor dostatecznie znał rosyjski, by zrozumieć, że odnoszą się do zasilania i układów ciśnieniowych.

- Chłopcy zgubili sputnik - powiedział do siebie z satysfakcją. Domyślał się, co zaszło; sputnik wodował za szybko i w złym miejscu. Przy jednym końcu pałętały się nędzne resztki komór pływających; pękł jak balon przy zderzeniu z wodą i wehikuł poszedł na dno jak kamień. Joey'emu należą się przeprosiny od załogi Arafury, wcale nie pił grogu. To, co na

jego oczach płonęło wśród gwiazd, było zapewne rakieta nośną, która po oddzieleniu się ładunku wpadła na ślepo z powrotem do atmosfery ziemskiej.

Tibor długo krążył po dnie morskim, z kolanami ugiętymi w charakterystycznym dla nurków przysiadzie, przyglądając się temu kosmicznemu stworowi uwięzionemu teraz w obcym żywiole. Głowa pękała mu od na wpół przemyślanych pomysłów, z których żaden jeszcze nie zarysował się ostro jako plan działania. Już mu nie zależało na nagrodzie; o wiele bardziej liczyła się szansa zemsty. Oto miał przed sobą jedno z najdumniejszych osiągnięć sowieckiej technologii-a on, Szabo Tibor, rodem z Budapesztu, był jedynym człowiekiem, który o tym wiedział.

Musi być jakiś sposób wykorzystania sposobności - pogwałcenia kraju i sprawy, do których czuł tak zapiekłą nienawiść. W godzinach północy nad ranem rzadko był świadom tego uczucia, a jeszcze rzadziej zastanawiał się nad jego prawdziwą przyczyną. Tutaj, w samotnym świecie morza i nieba, wśród parujących, porośniętych zaroślami mangrowymi bajecznych wysepek koralowych, nic nie przywodziło na myśl przeszłości. Jednak nigdy nie zdołał od niej uciec, a bywało, że w jego duszy budziły się demony i wzniecały dziki szal gniewu albo złośliwą, próżną chęć niszczenia. Do tej pory miał wyjątkowe szczęście; nikogo nie zabił. Ale nadejdzie dzień...

Niespokojne szarpnięcie Blanca wyrwało go z marzeń o zemście. Dał pomocnikowi sygnał, że nie ma powodu do niepokoju, i zabrał się do badania kapsuły. Ile ważyła? Czy łatwo dałoby się ją oderwać od dna? Musiał odpowiedzieć sobie na wiele pytań, zanim obmyśli konkretny plan.

Oparł się całym ciałem na karbowanej, metalowej ścianie i pchnął ostrożnie. Próba się powiodła; kapsuła wyraźnie zakołysała się na dnie. Może dałoby się ją podnieść, nawet przy pomocy tych nielicznych narzędzi, które mieli na pokładzie Arafury. Sputnik był chyba

lżejszy, niż na to wyglądał.

Tibor przyłożył hełm do gładkiej części kadłuba i wyteżył słuch. Nie zdziwiłby się, gdyby usłyszał jakieś mechaniczne odgłosy, na przykład warkot silników elektrycznych. A tu głucha cisza. Rękojeścią noża stukał o metal, próbując ocenić jego grubość i znaleźć słabsze miejsca. Za trzecim razem próba się powiodła; ale rezultat był zgoła inny, niż się spodziewał.

Szaleńczym, desperackim łomotem kapsuła wystukała mu odpowiedź.

Do tej chwili Tiborowi nawet się nie śniło, że w środku może być człowiek; kapsuła wydawała się za mała. Zaraz jednak uprzytomnił sobie, że przecież nie ma do czynienia ze zwykłym samolotem; dość było tu miejsca na małą kabinę ciśnieniową, w której gotowy do poświęceń astronauta wytrzymać mógł kilka godzin.

Niczym w kalejdoskopie, gdzie w mgnieniu oka zmienia się całkowicie wzór, na wpół dojrzałe w duszy Tibora zamiary rozplynęły się, by skryzalizować w zupełnie nowym kształcie. Za grubą szybą hełmu oblizwał powoli wargi. Gdyby zobaczył go teraz Nick, zastanowiłby się - jak nieraz w przeszłości czy jego nurek Numer Dwa jest całkiem zdrowy na umyśle. Bezpowrotnie pierzchły mgliste zamiary odległej, bezosobowej zemsty na czymś tak abstrakcyjnym jak naród lub maszyna; teraz będzie jeden na jednego.

- Chyba się bardzo nie spieszyłeś - powiedział Nick. No i co znalazłeś?

- Ruski wrak - odpowiedział Tibor. - Sputnik czy coś w tym rodzaju. Jeśli owiniemy wokół niego linę, chyba da się go oderwać od dna. Ale jest za ciężki, żeby go wyciągnąć na pokład.

Nick w zamyśleniu żuł nieodłączne cygaro. Staremu szyprowi nie dawała spokoju jedna rzecz, o której Tibor nie pomyślał. Jeśli dojdzie tu do akcji ratowania wraka, wszyscy zaraz się dowiedzą gdzie dryfuje Arafara. A gdy wieść dotrze do Wyspy Czwartkowej, jego prywatne łowisko muszli diabli wezmą.

Trzeba siedzieć cicho albo samemu wyholować to dziadostwo i nikomu nie pisać słowa,

skąd się wzięło. Tak czy owak, wyglądało na to, że będą mieli z tego więcej zmartwienia niż pożytku. Nick, jak wielu Australijczyków, żywił głęboką nieufność wobec wszelkiej władzy i już miał pewność, że za cały kłopot nie dostanie nic oprócz uprzejmego listu z podziękowaniem.

- Chłopcy nie chcą się w to bawić - powiedział. - Myślą, że to bomba. Wolą nie ruszać.

- Mogą spać spokojnie - odparł Tibor. - Ja się tym zajmę.

Starał się mówić normalnym, spokojnym głosem, ale było to zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Jeżeli inni poławiacze też słyszeli walenie z kapsuły, jego plany szlag trafi.

Wskazał na wysepkę, która wspaniałą zielenią odcinała się od błękitnego nieba.

- Mamy jedno wyjście. Jeżeli dźwigniemy wrak dwie stopy od dna, można go będzie zaciągnąć pod brzeg. Z płytkiej wody wywlecemy go na plażę. Użyjemy szalup i może damy radę zaczepić blok i wyciąg na jednym z tych drzew.

Nick przyjął pomysł Tibora bez entuzjazmu. Wątpił, czy uda im się przeciągnąć sputnik przez rafę, nawet po zawietrznej stronie wyspy, ale za wszelką cenę chciał zepchnąć wrak z łowiska; można zawsze porzucić go w innym miejscu, zaznaczyć boją i przypisać sobie wszelkie zasługi.

- Dobra - powiedział. - Schodź. Ta dwucalowa lina jest najmocniejsza, jaką mamy - powinna wytrzymać. I nie siedź tam cały boży dzień; i tak zmarnowaliśmy już dużo czasu.

Tibor wcale nie miał zamiaru marudzić cały dzień. Sześć godzin wystarczy w zupełności. To była pierwsza informacja, jaką odczytał z sygnałów zza ściany kapsuły.

Szkoda, że nie mógł słyszeć głosu Rosjanina; ale Rosjanin słyszał jego, a to się bardziej liczyło. Gdy przyłożył hełm do metalu i krzyczał, większość słów docierała do celu. Póki co, prowadził przyjacielską pogawędkę; Tibor nie chciał od razu odkrywać kart, zanim nie nadejdzie odpowiedni psychologiczny moment.

Najpierw trzeba było ustalić kod - jedno uderzenie na "tak", dwa na "nie". Potem już wystarczyło odpowiednio formułować pytania, a z czasem każdą myśl i informację dało się przekazać za pomocą tych dwóch sygnałów. Tibor miałby znacznie bardziej utrudnione zadanie, gdyby musiał dukać po rosyjsku; ucieszył się, ale i nie zdziwił, gdy się okazało, że uwięziony pilot znakomicie rozumie po angielsku.

W kapsule wystarczało powietrza na jeszcze pięć godzin; pilotowi nic się nie stało; tak, Rosjanie wiedzieli, gdzie wylądował. Ostatnia odpowiedź zastanowiła Tibora. Może pilot kłamał, ale równie dobrze mógł mówić prawdę. Nie udał się, rzecz jasna, planowy powrót na Ziemię, ale statki wspierające na pewno zlokalizowały punkt lądowania - z jaką dokładnością, nie miał zielonego pojęcia. Ale co go to obchodziło? Nie mogli tu dotrzeć wcześniej niż za kilka dni, nawet gdyby wtargnęli prosto na australijskie wody terytorialne bez zezwolenia Canberry. Był panem sytuacji; cała potęga ZSRR nie zdoła pokrzyżować mu planów - do czasu, kiedy już będzie o wiele za późno.

Ciężka lina opadła w zwojach na dno morza, wzbijając tuman mułu, który snuł się jak dym z leniwym prądem. Słońce stało teraz wysoko na niebie i podwodnego świata nie spowijał już szary, przygnębiający półmrok. Dno było bezbarwne, ale jasne, a widoczność wzrosła do niemal piętnastu stóp. Po raz pierwszy Tibor ujrzał kapsułę w całej okazałości. Zbudowana z myślą o warunkach obcych zwykłemu doświadczeniu, wyglądała tak osobliwie, że nienawykłe oko buntowało się przeciw jej poronionym kształtom. Próżno było szukać tu przodu i tyłu; nie sposób określić, którą stroną zwracała się w kierunku lotu po swej orbicie. Tibor przyłożył hełm do ściany i wrzeszczał.

- Już jestem. Słyszysz mnie?

Puk.

- Mam linę i zaraz przywiążę ją do sznurów spadochronu. Jesteśmy trzy kilometry od wyspy,

i jak tylko cię mocno uwiążemy, ruszymy do brzegu. Nie da się wyciągnąć cię na statek naszym sprzętem. Spróbujemy cię doholować do plaży. Rozumiesz?

Puk.

Szybko się uwiął z umocowaniem liny; teraz trzeba było oddalić się, zanim Arafura zacznie ciągnąć. Ale najpierw musiał zrobić jedną ważną rzecz.

- Halo! - krzyknął. - Przywiązałem już linę. Za chwilę cię podniesiemy. Słyszysz mnie?

Puk.

- No to słuchaj, co ci mam do powiedzenia. Nie masz żadnych szans na przeżycie. O to się też postarałem. Puk, puk.

- Zostało ci pięć godzin życia. Mój brat jeszcze dłużej się męczył, jak wszedł na wasze pole minowe. Rozumiesz? Jestem z Budapesztu. Nie cierpię ciebie, twojego kraju i waszej ideologii. Zabraliście mi dom, rodzinę, a z moich rodaków zrobiliście niewolników. Szkoda, że nie widzę teraz twojej twarzy - chciałbym patrzeć, jak umierasz, tak jak patrzyłem na śmierć Theo. W pół drogi do wyspy ta lina pęknie dokładnie tam, gdzie ją przed chwilą naciąłem. Wtedy wrócę tu i przywiążę nową, która też pęknie. A ty siedź i czekaj, aż rąbniesz o dno.

Tibor przerwał, roztrzęsiony i wyczerpany gwałtownością swojego wybuchu. Nie było miejsca na logikę lub rozsądek w tym orgazmie nienawiści; nie po to zamilkł, by się zastanowić, bo nie miał na tyle odwagi. Jednak gdzieś głęboko, w ciemnych zakamarkach duszy, gorzka prawda torowała sobie drogę do światła świadomości.

To nie Rosjan nienawdził, mimo ogromu zła, które wyrządzili. Nie znosił samego siebie, bo sam był jeszcze gorszy od nich. Miał na własnych rękach krew Theo i dziesięciu tysięcy rodaków. Nikt wszak nie był lepszym od niego komunistą, nikt gorliwiej nie chłonał moskiewskiej propagandy. W szkole i na uczelni pierwszy rwał się do nagonki i

denuncjowania "zdrajców". (Ilu ich posłał do łagrów i do miejsc tortur AVO?) Kiedy przejrzał na oczy, było już o wiele za późno; a nawet wtedy nie walczył, tylko zbiegł.

Uciekał przez świat przed własną winą; a narkotyki, niebezpieczeństwo i rozpusta pomagały mu zapomnieć przeszłość. Jedyłą przyjemność w życiu znajdował w beznamiętnych objęciach, do których lgnął tak zapamiętale, ilekroć stanął na zamieszkanym lądzie, lecz jego obecna kondycja świadczyła, że mu to już nie wystarczało. Jeśli posiadał teraz moc zadawania śmierci, to tylko dlatego, że sam przybył tu, by ją odnaleźć.

Z kapsuły nie dochodził żaden dźwięk; ta cisza zdawała się wyrażać pogardę i drwinę. Tibor z wściekłością walił rękojęścią noża w ścianę.

- Słyszałeś, co ci mówiłem? Słyszałeś wszystko?

Cisza.

- Niech cię diabli! Dobrze wiem, że słuchasz! Jeśli natychmiast nie odpowiesz, zrobię dziurę i wpuszczę ci wodę. Wierzył, że da się to zrobić ostrzem noża. Ale byłoby to najgorszym wyjściem z sytuacji; wszak nie o taki szybki i łatwy koniec mu chodziło.

Wciąż cisza; może Rosjanin stracił przytomność. Tibor miał nadzieję, że nie, ale już nie było sensu dłużej czekać. Wściekle uderzył w kapsułę na pożegnanie i dał znak pomocnikowi.

Nick czekał na niego z wiadomościami.

- Radio już skrzeczy - powiedział. - Ruski proszą wszystkich o poszukiwanie ich rakiety.

Mówią, że powinna znajdować się gdzieś u wybrzeży Queensland. Chyba im bardzo na niej zależy.

- Nic więcej nie mówili? - spytał z niepokojem Tibor.

- Nic ciekawego. Że niby dwa razy okrążyła Księżyc.

- I to wszystko?

- Nic więcej nie pamiętam. Było trochę uczonej paplaniny, ale to nie mój łeb.

Nic nowego pod słońcem; starym zwyczajem, Rosjanie za wszelką cenę chcieli utrzymać w tajemnicy nieudany eksperyment.

- Zawiadomiłeś wyspę, że natrafiliśmy na rakiętę?

- Zwariowałeś? A zresztą i tak radio wysiadło, więc nie ma o czym mówić. Dobrze związałeś linę?

- Tak. Zobaczymy, czy da się podnieść wrak z dna. Przywiązana drugim końcem lina natychmiast się napięła. Wprawdzie morze było spokojne, jednak lekka fala kołysała statkiem o dziesięć do piętnastu stopni. Z każdą falą okrężnice podnosiły się o parę stóp i opadały z powrotem. To dawało udźwig kilku ton, manewr ten jednak należało przeprowadzić z wyczuciem.

Zatrzeszczało drewno, jęknęła lina i Tibor zląkł się w pierwszej chwili, że puści za wcześnie. Ale wytrzymała i ciężar się poddał. Na drugiej fali znowu uniósł się trochę, na trzeciej jeszcze bardziej. Wreszcie kapsuła na dobre oderwała się od dna, a Arafura przechyliła się lekko na lewą burtę.

- Jazda! - powiedział Nick stając za sterem. - Może pociągniemy go ze dwie mile, zanim znów siądzie.

Lugier ruszył z wolna w kierunku wyspy, dźwigając ukryty pod sobą ciężar. Opierając się na nadburciu i wystawiając do słońca przemoczone do suchej nitki ubranie, Tibor poczuł ulgę - po raz pierwszy od ilu miesięcy? Nawet ogień nienawiści przestał palić mu duszę. Kto wie, czy nie było to - podobnie jak miłość - pragnienie, którego nie sposób zaspokoić; ale przynajmniej na chwilę przestało mu doskwierać.

Nadal trwał w swoim postanowieniu; nieubłaganie zbliżała się godzina odwetu, i nie miał zamiaru zmarnować podsuniętej mu tak dziwnym, tak cudownym zrządzeniem losu sposobności. Krew domagała się krwi, i wreszcie nawiedzające go upiory zasną na zawsze.

Ale żywił też niejasne współczucie, czy nawet litość, dla tego obcego człowieka, poprzez którego miał teraz wziąć odwet na dzisiejszych wrogach, a niegdysiejszych przyjaciółach. Pozbawiał ich czegoś ponad jedno ludzkie życie - bo cóż wart był jeden człowiek, choćby i najlepiej wykształcony naukowiec, dla Rosjan? Pozbawiał ich potęgi, prestiżu i wiedzy - wartości, które cenili najwyżej.

Zaczął się niepokoić, gdy w dwie trzecie drogi do wyspy lina jeszcze nie pękła. Pozostały cztery godziny, ale to o wiele za długo. Po raz pierwszy naszyły go obawy, że cały misterny plan może nie wypalić, a nawet obrócić się przeciwko niemu. Co będzie, jeśli Nick mimo wszystko zdoła wyciągnąć kapsułę na plażę przed czasem?

Z brzdękiem, od którego zatrzęsł się cały statek, lina węzowymi splotami wyskoczyła na powierzchnię, pryskając wodą na wszystkie strony.

- Powinienem był się domyślić - burknął Nick. - Wrak właśnie zaczął obijać się o dno.

Zejdiesz jeszcze raz czy mam posłać któregoś z chłopców?

- Poradzę sobie - odparł pospiesznie Tibor. - I zrobię to szybciej niż oni.

Mówił prawdę, ale aż dwadzieścia minut stracił na odszukanie kapsuły. Arafurę zniosło już kawał drogi, zanim Nick zdążył zgasić silnik, i w pewnej chwili Tibor zwątpił, czy uda mu się odnaleźć cenną zgubę. Przeczesał dno szerokimi łukami, i dopiero kiedy przypadkiem zaplątał się we wleczony przez sputnik spadochron, poszukiwanie dobiegło końca. Płachty czaszy pulsowały w leniwym prądzie niczym jakiś pokraczny, wstrętny stwór morski - ale Tibor już nie lękał się niczego prócz własnej klęski. Na widok majaczącej nie opodal białej masy tętno zabiło mu nieco zwawiej.

Kapsuła była odrapana i oblepiona mułem, ale nie wyglądała na uszkodzoną. Leżała teraz na boku i przypominała bardziej przewróconą ogromną bańkę na mleko. Pasażera musiało nieźle wytrząść, ale skoro przetrwał upadek z samego Księżyca, miał z pewnością dobrze

zabezpieczoną kabinę i nic mu się jeszcze nie stało. Tibor nie dopuszczał innej myśli; szkoda byłoby zmarnować pozostałe trzy godziny.

Jeszcze raz przyłożył zaśnieżony, miedziany hełm do już nie tak lśniącego metalu kapsuły.

- Halo! - krzyczał. - Słyszysz mnie?

Może Rosjanin będzie chciał pokrzyżować mu szyki nie dając znaku życia, ale tego nie wytrzymałyby nerwy chyba nawet najtwardszego człowieka. Tibor się nie mylił; niemal natychmiast usłyszał w odpowiedzi jedno ostre uderzenie.

- Cieszę się, że żyjesz - zawołał. - Wszystko idzie tak, jak ci mówiłem, chociaż będę musiał chyba trochę głębiej naciąć linę.

Kapsuła nie odpowiedziała. Już więcej się nie odezwała, mimo że Tibor stukał zaciekle po drugim holu - i trzecim. Ale wtedy już stracił wszelką nadzieję, musieli bowiem na dwie godziny przerwać akcję, żeby przeczekać szkwał, a czas upłynął, na długo zanim Tibor po raz ostatni zszedł pod wodę. Był niepokieszony, bo zamierzał powiedzieć parę słów na pożegnanie. I tak wykrzyczał, co miał do powiedzenia, wiedząc, że niepotrzebnie zdziera sobie gardło.

Wczesnym popołudniem Arafura podpłynęła na najbliższą możliwą odległość do brzegu.

Miała pod sobą tylko kilka stóp wody, a odpływ jeszcze trwał. Kapsuła osiadła na mieliźnie, wyłaniając się na powierzchnię spośród fal. Nie dało się już ruszyć jej ani na piędź; utknęła na dobre i dopiero przyplływ mógł ją uwolnić.

Nick okiem eksperta ocenił sytuację.

- Dziś mamy odpływ na sześć stóp - powiedział. - Przy najniższym stanie wody wrak będzie zanurzony tylko na dwie stopy w tym miejscu. Dostaniemy się do niego łodziami.

Czekali nie opodal mielizny, aż opadnie słońce i woda. Radio bez przerwy nadawało

komunikaty z poszukiwań, które odbywały się już coraz bliżej, ale jeszcze w bezpiecznej

odległości. Pod wieczór prawie cała kapsuła wynurzyła się ponad lustro wody; załoga podpłynęła do niej łodzią z wyraźną niechęcią, którą podzielał, wbrew własnej woli, również Tibor.

- Z boku są drzwi - krzyknął nagle Nick. - O rany! Czy tam może ktoś być?

- Czemu nie? - odrzekł Tibor usiłując, niezbyt skutecznie, zachować spokój. Nick spojrzał na niego podejrzliwie. Jego nurek zachowywał się dziwnie przez cały dzień, ale nie miał zamiaru pytać się, co go gryzie. W tej części świata człowiek szybko się uczył pilnować własnego nosa.

Łódź, kołysząc się lekko na niewielkiej fali, podpłynęła burtą do kapsuły. Nick wychylił się, chwycił za kikut jednej z połamanych anten i z kocią zwinnością wspiał się po zaokrąglonej metalowej ścianie. Tibor nie ruszył się z miejsca, tylko w osłupieniu patrzył, jak Nick bada zamknięcie wjazdu.

- Jeżeli zamek się nie zablokował, musi być jakiś sposób otwarcia tych drzwi od zewnątrz - mruzczał Grek. - Jak trzeba specjalnych narzędzi, to jesteśmy załatwieni.

Jego obawy okazały się bezpodstawne. Słowo "Otwarte" wryte było w dziesięciu językach wokół ukrytej we wgłębieniu dźwigni i kilka sekund wystarczyło, aby wydedukować, jak działa system. Gdy powietrze z sykiem wydostało się na zewnątrz, Nick skrzywił się i nagle zbladł. Spojrzał na Tibora, jakby szukając wsparcia, ale Tibor unikał jego wzroku. Z ociąganiem Nick wsunął się do kapsuły.

Długo nie wychodził. Zrazu dochodziły ze środka stłumione stuki i uderzenia, po czym usłyszeli wiązkę dwujęzycznych bluźnierstw. I nagle zapadła głucha, trwająca całą wieczność cisza.

Kiedy wreszcie w drzwiach ukazała się głowa Nicka, jego czerstwa, smagła od wiatru twarz była szara i zlana łzami. Na ten niewiarygodny widok Tibora nagle opanowało złowieszcze

przecucie. Wiedział, że stało się coś potwornego, ale jego zdrętwiały umysł nie potrafił jeszcze odgadnąć prawdy. Prawda ukazała się jego oczom, gdy Nick zbliżył się niosąc na rękach nieruchomą postać, nie większą od dużych rozmiarów lalki.

Gdy Blanco przejmował ciężar od szypra, Tibor skulił się przy rufie. Na widok zastygłej, woskowej twarzy poczuł, jak lodowate szpony zaciskają mu się nie tylko na sercu, ale i w łędźwiach. W jednej chwili nienawiść i żądza umarły w nim na zawsze, gdy poznał cenę odwetu.

Nieżywa astronautka wyglądała chyba piękniej po śmierci niż za życia; mimo filigranowej budowy, musiała być bardzo wytrzymała i świetnie wyszkolona, by zakwalifikować się do tej misji. Leżąc tak u jego stóp, nie była dlań ani Rosjanką, ani pierwszym człowiekiem, który ujrzał drugą stronę Księżyca, lecz jedynie dziewczyną, którą on zabił.

Z oddali dochodziły słowa Nicka.

- Trzymała to w ręku - powiedział drżącym głosem. Ścisnęła tak mocno, że ledwie udało mi się to wyjąć.

Tibor nie zważał już na słowa szypra i nawet nie spojrzał na szpulkę taśmy, którą Nick trzymał na wyciągniętej dłoni. Nie mógł się domyślić w tej obezwładniającej chwili, że Furie miały dopiero przypuścić szturm na jego duszę - i że niebawem cały świat usłyszycie oskarżycielski głos zza grobu, naznaczający go piętnem hańby, jakiej nie ściągnął na siebie nikt po Kainie.

Podróż do wnętrza komety

- Nie wiem, po co to nagrywam powiedział wolno George Takeo Pickett do chwiejącego się mikrofonu. - Słaba nadzieja, że ktoś mnie kiedykolwiek usłyszycie. Podobno kometa sprowadzi nas w Sąsiedztwo Ziemi gdzieś za dwa miliony lat, podczas następnego okrążenia Słońca. Ciekawe, czy Ziemię będą jeszcze wtedy zamieszkiwać ludzie i czy ujrzą komętę równie

wyraźnie jak my. Może, chcąc ją zbadać, wyślą także ekspedycję naukową. I odkryją nasz statek "Challenger".

- Co do statku, to zachowa się w doskonałym stanie, mimo upływu tylu wieków. W zbiornikach znajdą paliwo i duże zapasy powietrza, więc nie podusimy się; wcześniej skończy się żywność i umrzemy z głodu. Sadzę jednak, że nie będziemy czekać na śmierć głodową; sami przyspieszymy koniec, wypuszczając powietrze.

- Gdy byłem dzieckiem, czytałem książkę o wyprawie na biegun pod tytułem "Zima wśród lodów". Otóż teraz znajdujemy się w zbliżonych warunkach. Otaczają nas lody, unoszące się w wielkich porowatych bryłach. "Challenger" orbituje pośród tej gromadki tak wolno, że trzeba kilku minut, by człowiek zyskał pewność, że się poruszają. Lecz żadna wyprawa na bieguny Ziemi nigdy nie przeżywała takiej srogiej zimy jak nasza. Tak znacznie oddalimy się od Słońca, że nie da nam ono więcej ciepła, niż wydzielają gwiazdy. A czy ktoś próbował kiedykolwiek w mroźna zimowa noc ogrzać ręce przy świetle Syriusza?

Ta nedorzeczna myśl, która przemknęła mu nagle przez głowę, przybita go zupełnie. Przypomniał sobie pola pod śnieżną pierzyną zalane księżycowym blaskiem i dźwięki dzwonów niosące się daleko na Boże Narodzenie wszystko to odległe o pięćdziesiąt milionów mil - i nie mógł wydobyć głosu. Naraz nerwy go zawiodły i załkał jak dziecko na wspomnienie tych znajomych, dotychczas nie docenianych uroków Ziemi, które stracił na zawsze.

A zaczynało się to tak pomyślnie, w atmosferze takiego podniecenia i żądzy przygód! Przecież zaledwie pół roku temu wyszedł z domu, by obejrzeć kometę, wkrótce potem, gdy osiemnastoletni Jimmy Randall odkrył ją za pomocą zrobionego własnoręcznie teleskopu, i wysłał ów słynny telegram do Obserwatorium na górze Stromlo. Wtedy była jedynie niewyraźną kijanką mgły, powoli sunącą przez konstelację Eridana, na południe od równika.

Znajdowała się daleko poza Marsem, zataczając szeroki łuk w kierunku Słońca po ogromnie wydłużonej orbicie. Kiedy poprzednio zajaśniała na ziemskim niebie, nie było jeszcze ludzi, którzy by ją mogli oglądać, i pewnie wyginą już, gdy pojawi się znowu. Ludzkość ujrzała kometa Randalla po raz pierwszy i być może ostatni.

W drodze do Słońca kometa stale się powiększała. Warkocz, jak wielki proporzec unoszony jakimś kosmicznym wiatrem rozciągał się na przestrzeni czterdziestu milionów mil, gdy pędem mijała orbitę Marsa. Wtedy właśnie astronomowie uświadomili sobie, że jest to najokazalszy widok, jaki kiedykolwiek widziano na niebie; niczym - w porównaniu z nim - było ukazanie się komety Halleya roku 1986. I wtedy kierownictwo Międzynarodowej Dekady Astrofizycznej zdecydowało wysłać w pogoń statek badawczy "Challenger", jeśli na czas zdąży się go przygotować.

Przez wiele tygodni przed świtaniem kometa przecinała pionowo niebo, niby druga, lecz znacznie jaśniejsza Droga Mleczna. Kiedy dostała się w żar Słońca, który jej nie doskwierał od czasu, gdy Ziemia dygotała pod ciężarem mamutów, mocno się uaktywniła. Strumienie świetlistego gazu, wydobywające się z jądra, tworzyły wielkie wachlarze, które wirowały z firmamentem jak reflektory. Teraz ogon zapełniał obszar wielu milionów mil, wijąc się poplątanymi wstęgami i serpentynami, których układ zmieniał się całkowicie w ciągu nocy i które ciągle odwracały się od Słońca, jakby pędzone ku gwiazdom przez potężne wiatry, dmące z centrum Systemu Słonecznego. Kiedy Pickettowi wręczono przydział na "Challengera" zaledwie wierzył własnym oczom. Nic podobnego nie przydarzyło się żadnemu reporterowi od czasów Williama Laurence'a i bomby atomowej. To, że miał stopień naukowy, znakomity stan zdrowia, usunięty wyrostek robaczkowy, był kawalerem i ważył poniżej stu dwudziestu funtów, niewątpliwie mu pomogło. Ale chyba nie brakowało innych równie odpowiednich kandydatów. No cóż, wkrótce ich zazdrość przerodzi się w ulgę.

Szczupłe pomieszczenia statku nie pozwalały zabrać dodatkowej osoby, więc Pickett miał wykonywać takie obowiązki administracyjne. Ograniczało się to do prowadzenia dziennika pokładowego, sprawowania funkcji sekretarza kapitana, kontrolowania zapasów żywności i uzgadniania sald kartoteki magazynowej, ale zajęcia te były bardzo pracochłonne. Dobrze się składa, że w stanie nieważkości organizm potrzebuje tylko trzy godziny snu na dobę, myślał często.

Spełnianie dwu tak różnych prac wymagało mnóstwa taktu. Gdy nie pisał w swym biurze wielkości komórki lub nie sprawdzał tysięcy pozycji na kontach, wychodził na łowy z magnetofonem. Starał się przeprowadzić wywiad z każdym naukowcem i inżynierem z dwudziestoosobowej załogi "Challengera". Nie wszystkie nagrania można było przekazać na Ziemię; jedne zawierały zbyt dużo terminów fachowych, inne były za bardzo niewyraźne lub uszkodzone. Lecz przynajmniej traktował wszystkich jednakowo i dotąd nikomu nie nadepnął na odcisk. Cóż, w tej chwili to nie ma żadnego znaczenia.

Zastanawiał się, co sądzi o ich sytuacji doktor Martens. Astronom należał do najnieprzystępniejszych osób biorących udział w wyprawie, lecz także był źródłem najciekawszych wiadomości. Wiedziony nagłym impulsem, Pickett odszukał taśmę z wcześniejszymi nagraniami Martensa i założył do magnetofonu. Wiedział, że umykając w przeszłość, usiłuje odgrodzić się od rzeczywistości, ale uświadomiwszy to sobie, nabrał jedynie nadziei, że ta próba ucieczki powiedzie się.

Wciąż miał w pamięci ten pierwszy wywiad, kiedy pozbawiony wagi mikrofon, kołyszący się lekko w podmuchu powietrza z wentylatorów, tak go zahipnotyzował, że chaotycznie prowadził wywiad. Nikt jednak się tego nie domyślił; jego wyćwiczony głos brzmiał równo, normalnie.

Znajdowali się dwadzieścia milionów mil za kometą, lecz szybko ją dopędzali, gdy zatrzymał

Martensa w obserwatorium i zadał mu wstępne pytanie.

- Doktorze Martens - zaczął z czego się właściwie składa kometa Randalla?

- To prawdziwa mieszanina, która ciągle się zmienia, w miarę oddalania się od Słońca - odparł astronom.-Ale w warkoczach występuje głównie amoniak, metan, dwutlenek węgla, dwucyjan i...

- Dwucyjan? To chyba gaz trujący? Co by się stało w przypadku zderzenia z Ziemią?

- Nic. Choć ogon wygląda tak efektownie, ustalono, że jest to całkowita próżnia. Objętość równa objętości Ziemi zawiera mniej więcej tyle gazu, ile powietrza mieści się w pudełku od zapalek.

- A jednak ta gazowa-pyłowa otoczka przybiera taki wspaniały kształt.

- Podobnie jak rozrzedzone gazy w reklamach neonowych i z tego samego powodu. Ogon komety świeci, gdyż Słońce bombarduje go molekułami naładowanymi elektrycznością. Warkocz jest jak gdyby kosmicznym neonem; obawiam się, że pewnego dnia spece od reklamy uświadomią to sobie i znajdą sposób pisania haseł reklamowych na sklepieniu niebieskim.

- To przygnębiająca myśl, chociaż przypuszczam, że niektórzy mówiliby wtedy o triumfie nauki stosowanej. Ale dajmy spokój ogonowi. Jak szybko dotrzemy do punktu centralnego komety, do jądra - sądzę, że tak pan go nazywa.

- Ponieważ pościg trop w trop zawsze zajmuje dużo czasu, potrwa to jeszcze ze dwa tygodnie. Gdy dogonimy kometę, będziemy się coraz bardziej zagłębiać w ogon, mierząc jej przekrój poprzeczny. Lecz choć od jądra dzieli nas dwadzieścia milionów mil, już dowiedzieliśmy się o nim mnóstwo rzeczy. Przede wszystkim, że jest niezwykle małe - poniżej pięćdziesięciu mil średnicy - i niejednolite - składa się z wielu mniejszych obiektów, spowitych obłokami gazów i pyłów.

- Czy uda nam się wejść w jądro? - To się okaże, gdy się do niego zbliżymy. Może

zachowamy ostrożność i będziemy je badać przez teleskopy z odległości kilku tysięcy mil.

Ale osobiście będę bardzo zawiedziony, jeżeli się nie dostaniemy do środka. A pan?

Pickett wyłączył magnetofon. Tak, Martens ma rację. Na pewno byłby rozczarowany, gdyż wydawało się, że znikąd nie grozi im żadne niebezpieczeństwo. I nie zagroziło, przynajmniej ze strony komety. Katastrofa wydarzyła się na statku.

Sunęli, mijając jedną po drugiej olbrzymie, nieprawdopodobnie cienkie zasłony gazu, które wciąż wydzielala kometa Randalla, pędem oddalająca się od Słońca. Ale nawet teraz, chociaż wchodzili w najgęściejsze warstwy, byli w gruncie rzeczy w całkowitej próżni. Świecąca mgła, która rozsnuwała się wokół "Challengera" na wiele milionów mil, lekko przesłaniała gwiazdy, lecz wprost przed nimi, w głowie komety, błyszczała plama zamglonego światła, wciągająca ich coraz dalej, niczym błędny ognik.

Niebawem zakłócenia elektryczne, nasilające się coraz gwałtowniej ze wszystkich stron, niemal zupełnie przerwały połączenie z Ziemią. Główny nadajnik radiowy statku w dalszym ciągu przekazywał sygnały, ale w ostatnich dniach sprowadziło się to do wystukiwania Morsem wiadomości, że wszystko w porządku. Gdy oderwą się od komety i skierują na Ziemię, zostanie przywrócona normalna łączność, lecz w tej chwili byli niemal równie samotni jak badacze przed wynalezieniem radia. Sprawiało to kłopot, ale nic ponadto. Tak naprawdę Pickettowi dosyć się podobał ten stan rzeczy; mógł więcej czasu poświęcić nowym obowiązkom. Choć "Challenger" mknął ku jądro komety z szybkością, o jakiej żadnemu kapitanowi w dziewiętnastym wieku nawet się nie śniło, ktoś musiał ciągle sprawdzać zapasy żywności.

Bardzo powoli, ostrożnie, przeszukując radarem całą przestrzeń wokoło, "Challenger" wpełził w jądro. I tam utknął w lodach.

Już w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku Fred Whipple z Harvardu doszedł prawdy, lecz trudno było w nią uwierzyć, chociaż się miało dowód przed oczyma.

Stosunkowo niewielkie jądro komety tworzyła luźna grupka gór lodowych, kręcących się wokół siebie po swoich orbitach. Lecz w przeciwieństwie do unoszących się na morzach polarnych, te nie miały oślepiającej białości zamrożonej wody; były ziemistoszarymi, bardzo porowatymi bryłami jakby częściowo stopniałego śniegu. Od czasu do czasu po wchłonięciu ciepła Słońca z zagłębień na ich powierzchni zawierających metan i zlodowaciały amoniak tryskały gigantyczne fontanny. Dawało to wspaniałe widowisko, ale Pickett nie miał czasu go podziwiać. Był ostatnio bardzo zapracowany.

Właśnie jak zwykle kontrolował prowiant na statku, gdy stanął w obliczu katastrofy - choć upłynęło trochę czasu, nim zdał sobie z tego sprawę. Bo jeśli chodzi o żywność, sytuacja przedstawiała się całkiem dobrze; mieli zapasy wystarczające na drogę powrotną. Sprawdził to osobiście, a teraz musiał tylko uzgodnić konta w pamięci komputera, gdzie znajdowała się kartoteka magazynu.

Gdy na ekranie po raz pierwszy zjawily się jakieś zwariowane cyfry, Pickett myśląc, że nacisnął zły klawisz, zlikwidował wszystko i na nowo wprowadził dane do komputera:

prasowane mięso w skrzyniach

stan początkowy 60

dotychczas zużyto 17

saldo 99999943

Powtarzał czynność wielokrotnie z nie najlepszym rezultatem. Potem zirytowany, lecz niezbyt zatrwożony, udał się na poszukiwania doktora Martensa.

Znalazł astronoma w izbie tortur maleńkiej salce gimnastycznej, wciśniętej pomiędzy magazyn techniczny i główny zbiornik propergolu. Każdy członek załogi musiał tu ćwiczyć

godzinę dziennie, żeby mu nie zwiotczały mięśnie w tym pozbawionym grawitacji środowisku. Martens mocował się z potężnymi sprężynami. Ponura, stanowcza twarz spochmurniała mu jeszcze bardziej, kiedy Pickett opowiedział, co zaszło.

Po kilku próbach na podstawowych urządzeniach wejściowych szybko domyślili się strasznej prawdy. Komputer - powiedział Martens - nie jest w stanie nawet dodawać i odejmować. -

Oczywiście naprawimy go!

Martens potrząsnął przecząco głową. Zawsze zarozumiały, teraz zupełnie stracił zwykłą pewność siebie.

- Nawet konstruktorzy nie byliby w stanie tego dokonać. To jednolita masa mikroobwodów, ułożonych równie ciasno jak w ludzkim mózgu. Jednostki pamięci wciąż działają, lecz urządzenia obliczeniowe są zupełnie bezużyteczne. Wprost wydzierają sobie liczby wprowadzone do komputera.

- I co nam zostaje? - spytał Pickett. - To wyrok śmierci - odparł tępo Martens. - Bez komputera jesteśmy skończeni. Niemożliwe jest tradycyjnym sposobem wyliczyć orbitę powrotną na Ziemię. Armii matematyków zajęłoby to całe tygodnie.

- Śmieszna historia! Statek znajduje się w doskonałym stanie, mamy mnóstwo żywności i paliwa, a pan powiada, że umrzemy, bo nie potrafimy dodać kilku liczb.

- Ładnych kilku liczb - odciął się Martens z resztką dawnej energii. - Poważniejsze zmiany w nawigacji jak ta nam potrzebna, żeby się oderwać od komety i wejść na orbitę prowadzącą ku Ziemi, wymagają około stu tysięcy odrębnych działań. Nawet komputerowi zajmuje to kilka minut.

Pickett nie był matematykiem, lecz na tyle się znał na astronautyce, żeby zdawać sobie sprawę z powagi sytuacji. Na raketę lecącą w przestrzeni kosmicznej wywiera wpływ wiele ciał. Głównie oddziałuje na nią siła przyciągania Słońca, utrzymująca wszystkie planety

niezmiennie na swych orbitach. Lecz same planety także ciągną ją w różne strony, chociaż znacznie słabiej. Uwzględnienie tych antagonistycznych sił, a przede wszystkim dotarcie do upragnionego celu, oddalonego o miliony mil, jest problemem niezmiernie skomplikowanym. Pickett rozumiał rozpacz Martensa; który może pracować bez narzędzi używanych w jego zawodzie? A żaden zawód nie wymaga tak skomplikowanych przyrządów jak właśnie zawód astronoma.

Chociaż kapitan ogłosił fatalną nowinę i choć natychmiast zwołano pierwszą naradę, na której zebrała się cała załoga, by rozważyć sytuację, wiele czasu upłynęło, nim ludzie uświadomili sobie, co im grozi. Od kresu życia dzieliły ich całe miesiące, więc umysły nie były w stanie tego pojąć; byli skazani na śmierć, lecz nikt się nie spieszył z wykonaniem wyroku. A przed nimi rozpościerały się nadal wspaniałe widoki...

Poza świecącą mgłą, która otulała statek i która stanie się już na zawsze ich pomnikiem w przestworzach, dostrzegali ogromne światło Jowisza, przyćmiewające blask pozostałych gwiazd. Niektóre z nich jeszcze świeciły, inne wygasaly, kiedy statek mijał najpotężniejsze dzieci Słońca. Czy warto przeżyć te ostatnie tygodnie, zadawał sobie pytanie Pickett, by no własne oczy zobaczyć obraz, który po raz pierwszy mignął Galileuszowi w jego niedoskonałym teleskopie czterysta lat temu - satelitów Jowisza przesuwających się tam i z powrotem jak paciorki na niewidocznym drucie?

Właśnie! Paciorki na drucie. Te słowa wyrwały z jego podświadomości niemal całkiem zatarte wspomnienia dzieciństwa. Musiały się chyba budzić wiele dni. Teraz cisnęły się do wyczekującego umysłu.

- Nie! - krzyknął głośno. - To śmieszne. Będą ze mnie kpili.

No to co! - odrzekło jego drugie ja. Jeśli rzecz się nie uda, przynajmniej wszyscy znajdą zajęcie w czasie, gdy będzie ubywało żywności i tlenu. Nawet najmniejsza iskra nadziei to

lepsze niż w ogóle nic.

Przestał manipulować przy magnetofonie. Nastrój sentymentalnego rozczulania się nad sobą minął. Uwolniwszy się od elastycznego pasa, którym był przypięty do siedzenia, ruszył w kierunku magazynu technicznego na poszukiwania odpowiedniego materiału.

- Posuwa pan żarty za daleko powiedział doktor Martens trzy dni później, obrzucając pogardliwym wzrokiem tandetny przyrząd z drutu i drewna w rękach Picketta.

- Przypuszczałem, że tak pan to przyjmie - odparł Pickett, starając się zachować zimną krew.

Ale niech mnie pan posłucha jeszcze chwilę. Moja babka była Japonką i w dzieciństwie opowiedziała mi pewną historię, którą przypominałem sobie ostatnio. Myślę, że to może ocalić nam życie. - Otóż po drugiej wojnie światowej stanęli do konkursu szybkości:

Amerykanin wyposażony w maszynę liczącą i Japończyk posługujący się liczydłem.

Zwyciężyło liczydło.

- A zatem wybrali kiepską maszynę albo nieudolnego operatora.

- Skądże. Najlepszego w armii amerykańskiej. Ale przestańmy się sprzeczać i wypróbujmy je. Proszę mi podać dwie trzycyfrowe liczby.

- Och! 856 razy 437.

Palce Picketta zatańczyły na gałkach, błyskawicznie przesuwając je to w jedną, to w drugą stronę. Dwanaście prętów pozwalało uzyskiwać dwunastocyfrowe wyniki; nadto liczydło można było podzielić na oddzielne sekcje i jednocześnie wykonywać na nim różne działania.

- 374072 - momentalnie oznajmił Pickett. - Teraz zobaczymy, jak długo będzie pan to wyliczał ołówkiem.

Upłynęła dobra chwila, nim Martens, który - jak większość matematyków był słaby w arytmetyce, wykrzyknął: 375072!

Pobieżna kontrola potwierdziła, że uzyskanie odpowiedzi - zresztą mylnej - zajęło

Martensowi na papierze trzykrotnie więcej czasu.

Na twarzy astronoma przygnębienie mieszało się z ciekawością.

- Gdzie się pan tego nauczył? spytał. - Myślałem, że na tych głupstwach można tylko dodawać i odejmować.

- Przecież mnożenie jest wielokrotnością dodawania, prawda? Dodałem jedynie cyfrę 856 siedem razy w kolumnie jedności, trzy razy w kolumnie dziesiątek i cztery razy w kolumnie setek. Robi pan to samo, licząc ołówkiem. Naturalnie stosuje się pewne uproszczenia., Skoro uważa mnie pan za dobrego rachmistrza, szkoda, że nie widział pan mego dziadka stryjecznego. Pracował kiedyś w banku w Jokohamie i podczas liczenia nie sposób było dostrzec jego migających palców. Nauczył mnie, jak można ułatwić tę pracę, lecz w ciągu dwudziestu lat wiele z tego zapomniałem. Robię to dość wolno, bo ćwiczę dopiero kilka dni. Tym niemniej chyba przekonałem pana, że warto się nad tym zastanowić.

- Oczywiście. Czy dzielenie idzie równie szybko?

- Prawie tak samo, jeśli ktoś ma dużą wprawę.

Martens ujął liczydło i zaczął lekko przesuwac gałki w obie strony. Potem westchnął.

- Pomysłowe - stwierdził - lecz w istocie niewiele nam pomoże. Jeśliby nawet liczydło było dziesięć razy szybsze niż człowiek wyposażony w papier i ołówek - a nie jest - komputer jest milion razy szybszy.

- Zastanawiałem się nad tym - odrzekł Pickett trochę niecierpliwie. Martens nie był twardy - zbyt łatwo się poddawał. Cóż on myśli? Jak radzili sobie astronomowie sto lat temu, gdy nie istniały maszyny matematyczne?

- Otóż proponuję rzecz następującą. Proszę mi powiedzieć, jeśli dostrzeże pan jakieś słabe punkty.

Starannie dobierając słowa, z przekonaniem wyłożył swój plan. Kiedy skończył, Martens

odetchnął wolno i roześmiał się; po raz pierwszy od wielu dni Pickett usłyszał śmiech na pokładzie "Challengera".

- Chcę zobaczyć twarz kapitana, gdy mu pan powie, że wszyscy wracamy do przedszkola, by rozpocząć zabawę w paciorki - rzekł astronom.

Na początku załoga przyjęła plan sceptycznie, ale szybko zmieniła zdanie, kiedy Pickett urządził kilka pokazów. Dla ludzi wychowanych w świecie elektroniki fakt, że prosty przyrząd z prętów i gałek może dokazywać takich oczywistych cudów, był rewelacją.

Stwarzało to także szansę. Od powodzenia zamysłu zależało ich życie, więc przystali nań ochoczo.

Skoro tylko personel techniczny zrobił dostateczną liczbę sprawnie działających kopii nie dopracowanego prototypu Picketta, rozpoczęły się lekcje. Wyjaśnienie podstawowych zasad zajęło ledwie kilka minut. Za to nabycie wprawy wymagało czasu - całymi godzinami trwających ćwiczeń, aż palce zaczynały same skakać po drutach i bez udziału świadomości przesuwać paciorki na właściwe miejsce. Znalazło się kilku członków załogi, którzy nie zdołali nabrać wprawy i wciąż się mylili, nawet po tygodniu nieustannych wysiłków, lecz byli również tacy, co szybko prześcignęli samego Picketta.

Po nocach śniły im się kolumny cyfr i przesuwane gałki. Gdy przeszli kurs podstawowy, podzielono ich na zespoły, które później ostro współzawodniczyły ze sobą, osiągając przy tym coraz większą sprawność. W końcu na pokładzie "Challengera" spotykało się ludzi przemnażających czterocyfrowe liczby w ciągu piętnastu sekund i utrzymujących tak wysokie tempo przez wiele godzin.

Ta czysto mechaniczna praca wymagała wprawy - to wszystko. Naprawdę trudne zadanie stało przed Martensem i niewiele można mu było pomóc. Musiał zapomnieć o metodach opartych na technice komputerowej, którymi się dotychczas posługiwał, i tak zmienić układ

wyliczeń, żeby je mogły wykonywać automatycznie osoby nie mające pojęcia, co znaczą liczby, które przemnażają. Dostarczał zespołom podstawowych danych, a one postępowały zgodnie z ustalonym programem. Po kilku godzinach zwykłej, mozolnej pracy, na końcu tej matematycznej linii otrzymywano prawidłowy wynik, pod warunkiem że nikt nie popełnił błędu. A sposobem, który od niego chronił, było krzyżowe sprawdzanie w pewnych odstępach rezultatów wyliczeń przez dwie różne grupy.

- To, co tu robimy - powiedział Pickett do magnetofonu, gdy wreszcie miał czas pomyśleć o słuchaczach, do których już nigdy nie spodziewał się mówić - jest konstruowaniem maszyny matematycznej z istot ludzkich zastępujących w niej obwody elektryczne. Taki kilka tysięcy razy wolniejszy komputer nie może wykonywać wielu operacji jednocześnie i łatwo się męczy, ale pracuje. Nie powierzamy mu wszystkich czynności związanych z nawigacją w kierunku Ziemi - to zbyt skomplikowane - lecz te prostsze, potrzebne do ustalenia orbity która nas sprowadzi w zasięg radia. Zaraz po wydostaniu się ze sfery zakłóceń elektrycznych podamy naszą pozycję, a wielkie komputery na Ziemi powiedzą nam, co robić dalej.

- Już nie lecimy poza System Słoneczny oderwaliśmy się od komety. Sprawdzamy wyliczenia orbity, żeby uzyskać maksymalną dokładność. Jeszcze jesteśmy w ogonie komety, ale jądro znajduje się milion mil poza nami i nigdy nie ujrzymy ponownie tych brył amoniakalnych. Oddalając się od Słońca, mkną w mroźną noc ku gwiazdom, podczas gdy my wracamy do domu.

- Halo! Ziemia... Halo. Ziemia! Tu "Challenger" Wzywa cię "Challenger" Natychmiast sygnalizujcie, kiedy nas usłyszycie. Chcemy, byście sprawdzili nasze rachunki, zanim nam odpadną palce.

Małpomoc domowa

Babunię pomysł wprowadził w osłupienie; trudno jej się dziwić, wszak pamiętała czasy, gdy

służącymi byli ludzie.

- Jeśli sobie myślisz - mówiła z oburzeniem - że będę mieszkała pod jednym dachem z małpą, to się grubo mylisz. - Nie bądź taka staroświecka - odparłam. - A poza tym Dorcas wcale nie jest małpą.

- No to czym ona... jest?

Przekartkowałam pospiesznie instrukcję wydaną przez Instytut Inżynierii Biologicznej. -

Posłuchaj, Babuniu. "Szympansuper (znak firmowy zastrzeżony) Pan Sapiens jest inteligentnym antropoidem otrzymanym w wyniku selekcyjnej hodowli i zmian genetycznych ze zwyczajnego szympansa..." - A nie mówiłam? Małpa!

- "... i posiada wystarczający zasób słów, by zrozumieć proste polecenie. Łatwo da się przysposobić do wykonywania wszelkich prac domowych oraz innych nieskomplikowanych robót manualnych, jest układna, troskliwa, kocha dom i świetnie nadaje się na opiekunkę do dzieci..."

- Dzieci! Nie masz chyba zamiaru zostawić Johnny'ego i Susan sam na sam z... z gorylem!

Z westchnieniem odłożyłam instrukcję.

- No właśnie. Dorcas nie jest tanią zabawką, i niech tylko zobaczą, że te rozwydrzone bachory znęcają się nad nią...

Na szczęście w tym momencie zadzwonił dzwonek do drzwi. - Proszę tu podpisać - powiedział doręczyciel. Podpisałam się i w ten sposób Dorcas weszła w nasze życie.

- Witamy, Dorcas. Mam nadzieję, że będzie ci z nami dobrze.

Jej wielkie smutne oczy spoglądały na mnie spod ciężkich powiek. Widywałam wprawdzie znacznie szpetniejsze okazy ludzkiego gatunku, jednak nie da się ukryć, że Dorcas prezentowała się osobliwie: miała tylko cztery stopy wzrostu i niemal identyczną szerokość.

W schludnym, skromnym fartuszkowi przypominała do złudzenia służącą z filmu z wczesnych

lat dwudziestego wieku; jednakowoż stopy jej nie były obute i zajmowały wręcz niewiarygodną powierzchnię podłogi.

- Dzień dobry pani - odpowiedziała zniekształconym, ale łatwo zrozumiałym akcentem.

- Ona umie mówić! - zawyła Babunia.

- Oczywiście - odparłam. - Potrafi wypowiedzieć przeszło pięćdziesiąt słów, a zrozumieć dwieście. Nauczy się jeszcze więcej, jak się do nas przyzwyczai, ale na razie musimy trzymać się słowniczka na czterdziestej drugiej i trzeciej stronie instrukcji.

Podaliśmy książkę Babuni. Tym razem to jej brakowało słów, by wyrazić zdumienie.

Dorcas zadomowiła się u nas bardzo szybko. Jej elementarne wykształcenie - podstawowy kurs gospodarstwa domowego i opieki nad dzieckiem - okazało się bez zarzutu, toteż pod koniec pierwszego miesiąca niewiele zostało takich prac w domu, z którymi sobie nie radziła, od nakrywania do stołu po przebieranie dzieci. Z początku miała odrażający zwyczaj chwytania rzeczy nogami, co zdawało się dla niej tak naturalne jak posługiwanie się rękami, i sporo czasu minęło, nim zdołaliśmy ją od tego odzwycząić. Wreszcie jeden z babcinych niedopałków papierosa okazał się skuteczny.

Była sympatyczna, sumienna i bez humorów. Jasne, że nie grzeszyła błyskotliwością i trzeba było nie lada cierpliwości, by wytłumaczyć jej dokładnie, na czym polegają jej obowiązki. Po kilku tygodniach udało mi się poznać jej ograniczenia i pogodzić z nimi; zrazu trudno było wciąż pamiętać, że nie mamy do czynienia z człowiekiem i nie można wdawać się z nią w typowe babskie pogawędki. A jeśli już, to nie na wiele tematów; owszem, interesowała się ciuchami i uwielbiała kolory. Gdybym pozwoliła jej ubierać się wedle jej własnego gustu, wyglądałaby, jakby się urwała z choinki.

Z ulgą spostrzegłam, że dzieci za nią przepadają. Dobrze wiem, co ludzie mówią o Johnnym i Sue; trzeba przyznać, że opinie te nie są całkowicie bezpodstawne. Naprawdę ciężko jest

wychowywać dzieci, gdy większość czasu ojca nie ma w domu, a na domiar złego Babunia rozpieszcza je przy każdej okazji. To samo zresztą Eric, kiedy tylko jego statek wyląduje na Ziemi, a potem ja muszę użerać się z rozkapryszonymi pieszczochami. Za żadne skarby nie wychodźcie za mąż za kosmonautów; zarobki owszem, całkiem niezłe, ale blask szybko przygasa.

Gdy Eric wreszcie wrócił z kursu na Wenus z trzema tygodniami zaległego urlopu, nasza nowa gosposia zdążyła zżyć się z nami jak członek rodziny. Erica wcale nie zaskoczył nasz nowy domownik. Trudno mu się dziwić, w końcu widywał znacznie bardziej niesamowite stwory na odwiedzanych planetach. Narzekał, rzecz jasna, na cenę, ale przekonałam go, że teraz, kiedy Dorcas wyręczała mnie w tylu obowiązkach domowych, będziemy mogli wreszcie poświęcić więcej czasu dla siebie i wychodzić częściej do znajomych, co przedtem nie wchodziło w rachubę. Cieszyłam się, że nadrobię towarzyskie zaległości, skoro Dorcas można spokojnie zostawić z dziećmi.

Bo życie towarzyskie kwitło w Port Goddard, mimo że tkwiłszy pośrodku Pacyfiku. (Od tego, co przytrafiło się Miami, wszystkie wyrzutnie położone były oczywiście z dala od wszelkiej cywilizacji.) Naszą wysepkę tłumnie odwiedzały ważne osobistości i podróżnicy ze wszystkich zakątków Ziemi, nie wspominając jeszcze odleglejszych miejsc.

Każda społeczność ma swą wyrocznię w dziedzinie mody i kultury, swą grande dame, znienawidzoną i jednocześnie małpowaną przez wszystkie mniej udaczne rywalki. W Port Goddard rolę tę spełniała Christine Swanson; jej mąż był Komandorem Służb Kosmicznych, o czym nie omieszkała nam przypominać przy każdej sposobności. Ilekroć wylądował byle liniowiec, zapraszała wszystkich oficerów z Bazy na przyjęcie do swej stylizowanej na dziewiętnasty wiek posiadłości. Wypadało przyjąć zaproszenie (chyba że się miało bardzo dobrą wymówkę), choć oznaczało to oglądanie obrazów pędzla Christine. Uważała się za

artystkę i wszystkie ściany obwiesiła wielobarwnymi bohomazami. Wymyślanie taktownych uwag na ich temat stanowiło jedną z najbardziej ryzykownych atrakcji przyjęć u Christine; drugą była jej metrowej długości cygarniczka.

Od wyjazdu Erica powstała nowa seria dzieł; Christine weszła w okres "kwadratowy". - Rozumiecie, moi kochani wyjaśniała nam - staroświeckie prostokątne obrazy to okropny przeżytek, który w Erze Kosmicznej stracił rację bytu. Tam przecież nic nie znaczą takie pojęcia, jak góra i dół, poziom i pion, a wobec tego żaden na wskroś nowoczesny obraz nie powinien mieć jednego boku dłuższego niż drugi. Ideałem będzie taki obraz, który wygląda dokładnie tak samo, bez względu na to, jak się go powiesi - właśnie nad tym pracuję.

- Bardzo logiczne podejście - rzekł taktownie Eric. (Wszak Komandor był jego szefem.) Lecz gdy tylko nasza gospodyni oddaliła się na bezpieczną odległość, dodał: - Wszystko mi jedno, czy obrazy Christine wiszą do góry nogami, czy nie, ale jestem pewien, że wiszą odwrotną stroną do ściany.

Przyznałam mu rację; przed zamążpójściem studiowałam parę lat sztukę i sądziłam, że trochę się znam na malarstwie. Z takim tupetem, jak Christine, mogłabym śmiało pokazać światu swoje własne płótna, które pokrywały się kurzem w garażu.

- Wiesz co, Eric? - zagadnęłam nieco zgryźliwie. - Mogę nauczyć lepiej malować Dorcas. Zaśmiał się i odpowiedział: - Trzeba rzeczywiście spróbować, jeśli Christine nie da się inaczej poskromić. Przypomniałam sobie o tym pomysle dopiero miesiąc później, gdy Eric znów poleciał w kosmos.

Zasadnicza przyczyna konfliktu nie jest istotna; poróżniłyśmy się w sprawie pewnej akcji społecznej, przedstawiając całkowicie przeciwstawne wnioski. Christine zwyciężyła, jak zwykle, a ja wróciłam z zebrania ziejąc ogniem i siarką. Ledwie weszłam do domu, ujrzałam Dorcas, która wpatrywała się w kolorowe zdjęcia w magazynie ilustrowanym - i

przypomniały mi się słowa Erica.

Położyłam torebkę, zdjęłam płaszcz i powiedziałam stanowczo: - Dorcas, idziemy do garażu.

Spod stosów porzuconych zabawek, starych ozdób choinkowych, sprzętu do nurkowania, pustych pudeł i połamanych narzędzi (Ericowi nigdy nie starczało czasu na posprzątanie garażu przed kolejnymi lotami w kosmos) udało mi się wreszcie wygrzebać moje farby i sztalugi. W rupieciach walało się też kilka nie dokończonych płócien, które na początek w zupełności wystarczały. Umieściłam na sztalugach pejzaż, który na razie nie wychodził poza jedno cherlawe drzewko, i rzekłam: - A teraz, Dorcas, nauczę cię malować.

Mój plan był prosty i nie całkiem uczciwy. Wprawdzie małpy, jak wiadomo, już wcześniej bazgrały po płótnie, jednak żadnej nie udało się stworzyć autentycznego, przemyślanego dzieła sztuki. Nie miałam złudzeń, że Dorcas będzie tu wyjątkiem, ale nikt przecież nie musiał się dowiedzieć, że prowadziłam jej rękę. Autorstwo zostanie przypisane wyłącznie jej. Nie zamierzałam wszakże nikogo okłamywać. Chociaż postanowiłam sama zrobić szkic, wymieszać farby i dokonać prawie całej reszty dzieła, chciałam jednak wykrzesać z Dorcas tyle, na ile ją będzie stać. Liczyłam na to, że zdoła w odpowiednich miejscach nanieść obszerne plamy koloru i przy okazji wykształci swój własny styl pracy pędzlem. Miałam nadzieję, że w najlepszym razie uda jej się samodzielnie wykonać ćwierć całego obrazu. Mogłabym wówczas twierdzić ze względnie czystym sumieniem, że całość jest jej oryginalnym dziełem czyż bowiem Michał Anioł lub Leonardo nie podpisywali się pod obrazami, które niemal w całości namalowali ich pomocnicy? Ja też będę "pomocnikiem" Dorcas.

Przyznać muszę, że się nieco rozczarowałam. Choć Dorcas szybko zrozumiała, o co mniej więcej chodzi, i pojęła w lot, jak posługiwać się pędzlem i paletą, wyniki były zrazu żałosne. Nie mogła się zdecydować, którą ręką malować, i przekładała bez końca pędzel z jednej do

drugiej. Skończyło się na tym, że sama namalowałam bez mała cały obraz, gdy spod jej pędzla wyszło ledwie kilka marnych placków.

Zresztą nie miałam prawa się spodziewać, że po dwóch lekcjach stanie się mistrzem, i nie o to wszak chodziło. Jeśli nawet Dorcas miałyby okazać się artystycznym beztalenciem, trzeba będzie tylko trochę bardziej naciągnąć prawdę, utrzymując, że to ona jest wyłącznym autorem dzieła.

Nie spieszyłam się; w tego rodzaju przedsięwzięciach niecierpliwość jest złym doradcą. Po niespełna dwóch miesiącach ze Szkoły Dorcas wyszedł tuzin obrazów, a każdy z nich przedstawiał sceny, które nasz Szympansuper znał z własnego doświadczenia w Port Goddard: widok na lagunę, nasz dom, impresje z nocnego startu rakiety (porażający blask i eksplozja światła), połów ryb, palmowy zagajnik - oczywiste banały, ale inne tematy zaraz wzbudziłyby podejrzenia. Mam wrażenie, że zanim Dorcas z nami zamieszkała, nie widziała wiele świata poza laboratorium, gdzie ją wychowano i tresowano.

Najlepsze obrazy (a było kilka naprawdę udanych - sama przecież wiem najlepiej) powiesiłam w domu, w takich miejscach, żeby rzucały się w oczy moim przyjaciołom. Wszystko szło jak z płatka; po wyrazach niekłamane podziwu następowały okrzyki zdumienia: "Coś podobnego!", gdy ze skromnością zrzekałam się przypisywanych mi zasług. Z wyrażanym raz po raz powątpiewaniem rozprawiałam się skutecznie, pozwalając wybranym gościom oglądać Dorcas przy pracy. Na widzów doбираłam sobie artystycznych ignorantów, a pokazowym obrazem była abstrakcja w czerwieni, złocie i czerni, której nikt nie ośmielił się krytykować. Do tego czasu Dorcas już zdążyła świetnie wczuć się w swoją rolę, jak aktor filmowy, który udaje, że gra na instrumencie muzycznym.

By nadać sprawie większy rozgłos, podarowałam kilka najlepszych obrazów gościom, udając, że widzę w nich tylko zabawną ciekawostkę - równocześnie jednak zdradzając nader

dyskretne objawy zazdrości. - Wzięłam Dorcas - mawiałam z irytacją - po to, żeby pracowała dla mnie, a nie dla Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Nade wszystko miałam się na baczności, żeby przypadkiem nie porównywać jej dzieł z obrazami Christine; w tym wypadku można było zdać się na naszych wspólnych przyjaciół.

Kiedy Christine odwiedziła mnie pod pretekstem przedyskutowania naszego sporu "jak dwie rozsądne osoby", wiedziałam, że ziemia pali jej się pod stopami. Toteż ustąpiłam jej wytwornie, gdy popijałyśmy herbatkę w salonie, pod jednym z najwspanialszych płócien Dorcas. (Wschód księżyca w pełni nad laguną - bardzo chłodny, melancholijny i tajemniczy. Byłam z niego naprawdę dumna.) Nie padło bodaj słowo ani o obrazie, ani o Dorcas; ale z oczu Christine wyczytałam wszystko, co chciałam wiedzieć. Planowana przez nią na następny tydzień wystawa została po cichu odwołana.

Hazardziści mawiają, że trzeba się wycofać z gry, póki się ma przewagę. Gdybym się dobrze zastanowiła, wiedziałabym w porę, że Christine nie da za wygraną i wcześniej czy później przejdzie do kontrataku.

Czas wybrała sobie bez pudła: poczekała, aż dzieci będą w szkole, Babcia pójdzie w gości, a ja pojedę na zakupy na drugi koniec wyspy. Przypuszczam, że najpierw zadzwoniła, żeby upewnić się, czy nikogo nie ma w domu, to znaczy nikogo ludzkiego gatunku. Nie pozwoliliśmy Dorcas odbierać telefonów; choć na początku robiła to chętnie, nie mieliśmy powodu do radości. Przez telefon Szympansuper sprawia wrażenie pijaczyny, co może być przyczyną różnorodnych nieporozumień.

Domyślałam się całego przebiegu wydarzeń: Christine zapewne podjechała pod nasz dom, wyraziła ogromne zaskoczenie moją nieobecnością i wprosiła się do mieszkania. Bez ceregieli próbowała wydusić coś z Dorcas, ale na szczęście przygotowałam mą antropoidalną artystkę na tę okoliczność. "Dorcas namalować" - wbijałam jej wielokroć do głowy po każdej

naszej twórczej sesji. "Nie Pańcia namalować, tylko Dorcas namalować." Aż wreszcie sama w to na pewno uwierzyła.

Jeśli nawet moja tresura i skromny zasób pięćdziesięciu słów zbiły Christine z tropu, to szybko się pozbierała. Była damą zdolną do błyskawicznego działania, a Dorcas to potulne i usługne stworzenie. Christine, zdecydowana ujawnić znowę i fałszerstwo, musiała poczuć się uradowana, gdy Dorcas w dobrej wierze zaprowadziła ją do pracowni w garażu; musiała tam też doznać lekkiego szoku.

Wróciłam do domu około pół godziny później i od razu wiedziałam, że coś się święci, widząc zaparkowane przy krawężniku auto Christine. Łudziłam się, że jeszcze nie jest za późno, ale gdy tylko weszłam do podejrzanie cichego domu, miałam pewność, że nie zdążyłam. Coś się stało; przecież Christine nie zamykałaby się buzia, nawet gdyby jej jedynym słuchaczem była małpa. Najkrótsza choćby chwila ciszy była dla niej nie mniejszym wyzwaniem niż zamalowane płótno; musiała wypełnić ją dźwiękiem własnego głosu.

Dom tonął w ciszy; żadnego znaku życia. Z rosnącym niepokojem przeszłam na palcach przez salon, jadalnię i kuchnię do tylnego wyjścia. Drzwi garażu były uchylone i ostrożnie zajrzałam do środka.

Prawda objawiła mi się z całą ostrością. Uwolniona wreszcie spod mojego wpływu, Dorcas wypracowała w końcu swój własny styl. Malowała szybkimi, pewnymi pociągnięciami pędzla, ale zupełnie inaczej, niż starałam się ją nauczyć. A co do tematu...

Poczułam się głęboko urażona, gdy ujrzałam karykaturę, która sprawiała Christine tyle radości. Tak mi się Dorcas odwdzięczała po tym, co dla niej zrobiłam. Wiem oczywiście, że nie można posądzać jej o złośliwe zamiary i że wówczas była to po prostu spontaniczna ekspresja! Psychologowie i krytycy, którzy napisali te bzdurne noty do katalogu jej wystawy w Guggenheim, twierdzą, że jej portrety rzucają nowe światło na stosunki pomiędzy

człowiekiem a zwierzęciem i pozwalają nam po raz pierwszy spojrzeć z zewnątrz na ludzki gatunek. Ale ja nie dostrzegałam tych subtelności, gdy kazałam Dorcas wracać natychmiast do kuchni.

Nie tylko bowiem temat obrazu wyprowadził mnie z równowagi: doprawdy ciężko mi było pogodzić się z myślą, że zmarnowałam tyle czasu na kształcenie u niej techniki - i dobrych manier. Nic nie robiła sobie z moich długotrwałych nauk, siedząc nieruchomo przed sztalugami z założonymi rękoma.

Już wówczas, u progu kariery Dorcas jako awangardowej artystki, z bólem serca spostrzegłam, że ma ona więcej talentu w jednej zwinnej nodze niż ja w obu rękach.

Wschód Saturna

Tak, to prawda. Poznałem Morrisa Perlmana, kiedy miałem około dwudziestu ośmiu lat. Poznawałem wtedy tysiące ludzi, od prezydentów w dół.

Gdy wróciliśmy z Saturna, nie mogliśmy się opędzić od zaproszeń, i bodaj pół załogi udało się w podróż z wykładami. Jeśli o mnie chodzi, to zawsze lubiłem gadać (proszę mi nie wmawiać, żeście tego nie zauważyli), ale niektórzy z moich kolegów prędzej poleciliby na Plutona, niż stanęli jeszcze raz przed publicznością. Co też kilku uczyniło.

Moja trasa przebiegała przez Środkowy Zachód, i po raz pierwszy zetknąłem się z Panem Perlmanem - nikt nie nazywał go inaczej, a już na pewno nie "Morris" - w Chicago. Agencja zawsze rezerwowała dla mnie dobry, aczkolwiek nie nazbyt luksusowy hotel. Odpowiadało mi to; lubiłem bowiem zatrzymywać się w takich miejscach, z których mogłem wychodzić o każdej porze i wracać, kiedy mi się żywnie podoba, nie defilując przed szpalerem pajaców w liberiach, i ubierać się w byle co, w granicach przyzwoitości, nie czując się jak ostatni włóczęga. Widzę, że się uśmiechacie; byłem przecież wtedy młodym chłopcem, i wiele się od tego czasu zmieniło...

To już tyle lat, ale zdaje się, że miałem odczyty w University of Chicago. W każdym razie pamiętam, że byłem bardzo zawiedziony, bo nie mogli mi pokazać, gdzie Fermi uruchomił pierwszy stos atomowy - powiedzieli, że budynek rozebrano przed czterdziestu laty, a miejsce pierwszego reaktora upamiętnia skromna tablica. Zatrzymałem się przed nią na chwilę, rozmyślając o wszystkim, co zdarzyło się od tego zamierzonego dnia w 1942 roku.

Urodziłem się, to raz; a energia atomowa zaniósł mnie na Saturna i z powrotem. Tego zapewne Fermi i spółka nie przewidywali budując prymitywną siatkę z uranu i grafitu.

Jadłem właśnie śniadanie w hotelowej kawiarni, gdy do mego stolika przysiadł się wątlej budowy mężczyzna w średnim wieku. Ukłonił mi się grzecznie i zaraz wydał okrzyk zdziwienia, rozpoznając mnie. (Przypadkowe spotkanie było, rzecz jasna, przez niego zaplanowane, ale wówczas jeszcze nie miałem o tym pojęcia).

- Cóż za miła niespodzianka! - rzekł. - Byłem wczoraj na pańskim wykładzie. Ależ panu zazdrościłem! Odpowiedziałem nieco wymuszonym uśmiechem; nie jestem zbyt rozmowny przy śniadaniu, a ponadto doświadczenie nauczyło mnie bronić się przed maniakami, nudziarzami i entuzjastami, którym się zdawało, że jestem należnym im kąską. Pan Perlman nie był jednak nudziarzem - choć z pewnością był entuzjastą, i nie przesadzę nazywając go maniakiem.

Nosił się jak przeciętny, dość zamożny biznesmen, toteż wziąłem go za hotelowego gościa.

Nie zdziwiłem się, że przyszedł na mój wykład; był to wszak popularny odczyt, dostępny dla szerokiej publiczności, poprzedzony reklamą w prasie i w radiu.

- Już od dzieciństwa - zaczął mój nieproszony towarzysz - fascynował mnie Saturn.

Pamiętam dokładnie, kiedy i jak to się zaczęło. Miałem około dziesięciu lat, kiedy zobaczyłem te wspaniałe obrazy Chesleya Bonestella, przedstawiające Saturna jakby z perspektywy jego dziewięciu księżyców. Zna pan zapewne te płótna?

- Oczywiście - odparłem. - Choć pochodzą sprzed półwiecza, nikt im do dziś nie dorównał.

Dwa z nich mieliśmy na pokładzie statku Endeavour, przypięte na planszecie. Często zdarzało mi się spoglądać na obrazy i zaraz porównywać ją z rzeczywistością.

- Dlatego pan najlepiej wie, co ja czułem w latach pięćdziesiątych. Przesiedziałem całe godziny, próbując uzmysłwić sobie to, że ten niesamowity obiekt, z wirujący mi wokół niego srebrnymi pierścieniami, nie jest tylko artystyczną mrzonką, ale naprawdę istnieje - że jest światem, i to dziesięć razy większym od Ziemi. Nie przyszło mu wtedy nawet do głowy, że mógłbym kiedyś zobaczyć to cudo na własne oczy; pewny byłem, że tylko astronomowie ze swymi potężnymi teleskopami nacieszą się tym widokiem. Ale już później, gdy miałem z piętnaście lat, dokonałem kolejnego odkrycia - tak olśniewającego, że ledwie uwierzyłem.

- Cóż to za odkrycie? - spytałem. Przestało mi już przeszkadzać towarzystwo przy śniadaniu; mój rozmówca okazał się typem niegroźnym, a jego niekłamany entuzjazm robił sympatyczne wrażenie.

- Odkryłem, że każdy głupiec może zrobić we własnej kuchni teleskop o potężnej mocy za kilka dolarów, poświęcając parę tygodni pracy. To było olśnienie; jak tysiące innych dzieciaków, pożyczyłem sobie z biblioteki publicznej książkę Ingallsa Amatorska konstrukcja teleskopów i wziąłem się do roboty. A pan - czy pan zbudował sobie kiedyś teleskop własnymi siłami?

- Nie: jestem inżynierem, a nie astronomem. Nie miałbym pojęcia, od czego zacząć.

- Sprawa jest dziecinnie prosta, jeśli się postępuje zgodnie z instrukcją. Najpierw trzeba zdobyć dwa krążki szklane, mniej więcej calowej grubości. Kupiłem je sobie za pięćdziesiąt centów od portowego handlarza; były to zużyte szyby luków z obtłuczonymi brzegami. Potem się przytwierdza jeden krążek do płaskiej, twardej powierzchni - wykorzystałem w tym celu ustawioną pionowo beczkę.

Potem się kupuje szmergiel w proszku różnych grubości, od najbardziej gruboziarnistego po możliwie najdrobniejszy. Kładzie się szczyptę najgrubszego proszku pomiędzy dwa krążki i pociera tym górnym tam i z powrotem, chodząc powoli wokół nieruchomej podstawy.

Wie pan, co się wtedy dzieje? W górnym krążku powstaje wyżłobienie poprzez ściernie działanie proszku, a chodząc dokoła tworzy pan wklęsłą, soczewkową powierzchnię. Co pewien czas trzeba wymieniać proszek na drobniejszy i przeprowadzać proste próby optyczne, żeby sprawdzić, czy krzywizna jest odpowiednia.

Pod koniec zamiast szmergla używa się różu polerskiego, i wreszcie powierzchnia się tak wygładza, że aż trudno uwierzyć, że to robota własnych rąk. Pozostaje tylko jeden krok, ale wcale nie najłatwiejszy. Należy jeszcze posrebrzyć zwierciadło i w ten sposób zrobić dobry reflektor. Wystarczy kupić w aptece podane w instrukcji chemikalia i postępować dokładnie według zaleceń książki.

Jeszcze dziś pamiętam, jak z zapartym tchem wpatrywałem się w cieniutką warstwę srebra powlekającą powierzchnię mojego małego zwierciadła. Nie było wcale doskonałe, ale działało dobrze i nie oddałbym go za żadne cudo z Mount Palomar.

Przytwierdziłem zwierciadło do końca deski; niepotrzebny mi był tubus, po prostu nałożyłem dwie warstwy kartonu wokół zwierciadła, żeby nie wpadało zbędne światło. Za okular posłużyło mi małe szkło powiększające, kupione w sklepiku ze starzyzną za parę centów.

Cały teleskop nie kosztował mnie w sumie więcej niż pięć dolarów - choć było to dla mnie całkiem sporo jak na owe czasy.

Mieszkaliśmy wówczas na Trzeciej Alei w podupadłym hotelu, który był własnością mojej rodziny. Złożywszy teleskop, poszedłem zaraz wypróbować go na dach, w dżungli pokrywających wtedy każdy dom anten telewizyjnych. Pomęczyłem się chwilę z ustawieniem w jednej linii zwierciadła z okularem, ale nie popełniłem żadnego błędu i wszystko działało

jak należy. Kiepski był to przyrząd optyczny - przecież to dopiero pierwsze podejście - ale w końcu powiększał pięćdziesiąt razy i nie mogłem się już doczekać zmroku i generalnej próby z gwiazdami.

Sprawdziłem w almanachu, że Saturn po zmierzchu ma być wysoko na wschodzie. Gdy tylko się ściemniło, już byłem z powrotem na dachu, gdzie czekała na mnie moja koślawa konstrukcja z drewna i szkła, wetknięta pomiędzy dwa kominy. Była późna jesień, ale nie poczułem nawet chłodu, bo niebo skrzyło się gwiazdami - a wszystkie należały teraz do mnie. Nie szczędziłem czasu na ustawienie jak najdokładniej ostrości na pierwszą gwiazdę w polu widzenia. Potem rozpocząłem polowanie na Saturna i szybko się przekonałem, jak trudno jest cokolwiek wypatrzeć przez nieodpowiednio zmontowany zwierciadlany teleskop. Ale już po chwili przemknął przez pole widzenia, przesuwałem więc teleskop ostrożnie we wszystkie strony - i już go miałem.

Był maleńki, ale wspaniały. Chyba przez dobrą minutę nie oddychałem; nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Znając go dotąd tylko z obrazków, teraz oglądałem go w naturze. Wyglądał jak zabawka zawieszona w przestrzeni, z pierścieniami nieco otwartymi i przechylonymi w moim kierunku. Nawet teraz, po czterdziestu latach, pamiętam, że sobie pomyślałem: "Wygląda tak sztucznie - jak świecidelko z choinki!" Z lewej strony świeciła jasna gwiazda, w której rozpoznałem Tytana.

Przerwał, i przez chwilę myśleliśmy na pewno o tym samym. Dla nas obu bowiem Tytan nie był już tylko największym księżycem Saturna - świetlnym punktem znanym wyłącznie astronomom. Był bezlitośnie wrogim światem, na którym wylądował Endeavour i gdzie trzech moich kolegów z załogi leżało w samotnych grobach, dalej od swych domów, niż kiedykolwiek spoczęły ludzkie szczątki.

- Nie wiem, jak długo patrzyłem, wysilając wzrok i przesuważąc teleskop po niebie

gwałtownymi skokami w ślad za wznoszącym się ponad miasto Saturnem. Byłem miliard mil od Nowego Jorku; ale niebawem Nowy Jork już siedział mi na karku.

Wspomniałem panu o naszym hotelu; należał do mojej matki, ale prowadził go ojciec - zresztą nie najlepiej. Hotel już od lat nie przynosił zysków, a moje dzieciństwo naznaczone było ciągłymi kryzysami finansowymi. Nie winię więc ojca za to, że się rozpił; musiał być większość czasu na wpół obłąkany ze zmartwienia. A ja na śmierć zapomniałem, że tego wieczora miałem pomagać w recepcji...

Tato szukał mnie po całym domu, przejęty swoimi kłopotami, nie bacząc na moje marzenia. I znalazł mnie przy teleskopie na dachu.

Nie był człowiekiem okrutnym - nie mógł wszak zrozumieć, ile wysiłku i cierpliwości kosztował mnie mój mały teleskop, ani też radości, jaką mi sprawiły te krótkie chwile, kiedy spełnił swe zadanie. Nie żywię już do ojca nienawiści, ale też do końca życia nie zapomnę tego przeraźliwego trzasku, gdy moje pierwsze i ostatnie zwierciadło rozprysnęło się na kawałki.

Cóż mogłem powiedzieć? Moje początkowe zniecierpliwienie intruzem zdążyło już zmienić się w ciekawość. Zdawało mi się też, że za historią tą kryje się znacznie więcej, niż dotąd usłyszałem. Jedno mnie zastanowiło: kelnerka obdarzała nas specjalnymi względami - których ledwie małą część kierowała ku mojej osobie.

Mój nowy znajomy zabawiał się cukiernicą, a ja z milczącym współczuciem oczekiwałem dalszego ciągu. Od pewnego czasu miałem wrażenie, że coś nas łączy, ale nie pojmowałem, o co dokładnie chodzi.

- Nie zbudowałem już nowego teleskopu - powiedział. - Coś jeszcze pękło, oprócz tego zwierciadła - coś w sercu. I tak nie miałem na to czasu. Dwa zdarzenia przewróciły mi życie do góry nogami. Ojciec od nas odszedł, a ja przejąłem obowiązki głowy rodziny. Zaraz potem

rozebrali kolejkę elektryczną na Trzeciej Alei.

Dostrzegł zapewne moje pytające spojrzenie, bo zaraz odpowiedział mi uśmiechem.

- No tak, skąd pan może wiedzieć? Otóż kiedy byłem jeszcze dzieckiem, środkiem Trzeciej biegło podwyższone torowisko kolejki miejskiej. Cała okolica tonęła w brudzie i hałasie; Trzecia Aleja słynęła ze slumsów, w których mieściły się knajpy, lombardy i tanie hoteliki - jak ten nasz. Wszystko się odmieniło wraz ze zniknięciem kolejki; ceny działek poszły w górę i z dnia na dzień staliśmy się bogaci. Tatuś nie omieszkał wrócić do nas, ale było już za późno; ja prowadziłem interesy. Wkrótce zacząłem przejmować coraz więcej majątku w mieście - a potem w całym kraju. Nie zostało już we mnie nic z dawnego, zapatrzonego w gwiazdy marzyciela i oddałem tacie jeden z moich małych hoteli, gdzie nie mógł wyrządzić większej szkody.

Minęło czterdzieści lat od mojej pamiętnej przygody z Saturnem, ale nie zapomniałem tego krótkiego olśnienia, a fotografie na pańskim wczorajszym wykładzie ożywiły wszystko na nowo. Chciałbym tylko wyrazić swą wdzięczność.

Pogrzebał w portfelu i wyciągnął wizytówkę.

- Mam nadzieję, że da mi pan znać, gdy tylko zawita pan znowu do Chicago; może pan liczyć na moją obecność na każdym pańskim wykładzie. Życzę powodzenia - i przepraszam, że zająłem panu tyle czasu.

Odszedł, zanim zdążyłem wybąkać słowo. Rzuciłem okiem na wizytówkę, schowałem ją do kieszeni i skończyłem śniadanie w zamyśleniu.

Kiedy wychodząc z kawiarni podpisywałem czek, spytałem mimochodem: - Kim jest ten pan, który przysiadł się do mojego stolika? Waszym szefem?

Kasjerka spojrzała na mnie tak, jakbym był niedorozwinięty.

- Może go pan i tak nazwać - odpowiedziała. - Wiadomo, że jest właścicielem tego hotelu,

ale pierwszy raz zaszczycił nas swoją obecnością. Ilekroć wpada do Chicago, zatrzymuje się w "Ambasadorze".

- Który zapewne też jest jego własnością-powiedziałem bez przesadnej ironii, spodziewałem się bowiem, jaka będzie odpowiedź.

- Owszem, też. Tak jak i... - jednym tchem wyrecytowała szereg nazw, w tym dwóch największych hoteli w Nowym Jorku.

Byłem pełen podziwu, ale i nieco rozbawiony, bo już nie miałem najmniejszej wątpliwości, że Pan Perlman przybył do mego hotelu tylko i wyłącznie po to, żeby się ze mną spotkać.

Wybrał zaiste okrężną drogę; nie wiedziałem wówczas, że znany jest ze swej skrytości i dyskrecji. Przy mnie nie był ani przez chwilę skryty.

Potem zapomniałem o nim na pięć lat. (Ach, warto dodać, że kiedy prosiłem o rachunek, odpowiedziano mi, iż nie ma o czym mówić). W ciągu tych pięciu lat wziąłem udział w drugiej wyprawie.

Tym razem wiedzieliśmy już, czego się spodziewać, i nie wybieraliśmy się zupełnie w nieznane. Odpadły kłopoty z paliwem, albowiem nieograniczone zapasy czekały na nas na Tytanie; wystarczyło pompować do zbiorników jego metanową atmosferę, co uwzględniliśmy w naszych planach. Zwiedziliśmy po kolei wszystkie z dziewięciu księżyców; potem wlecieliśmy do pierścieni...

Wprawdzie niebezpieczeństwo było znikome, przeżywaliśmy jednak ten etap w ogromnym napięciu. Układ pierścieni jest bardzo wąski - szerokość jego wynosi zaledwie około dwudziestu mil. Wchodziliśmy w pierścienie powoli i ostrożnie, po dostosowaniu się do ich obrotów, abyśmy mogli poruszać się z dokładnie taką samą prędkością. To tak, jakby się wskoczyło na karuzelę o przekroju stu siedemdziesięciu tysięcy mil...

I to w dodatku upiorną karuzelę, bo pierścienie nie są ze stałego materiału i można przez nie

widzieć na wylot. Z bliska zaś są prawie niewidoczne; składają się z miliardów cząsteczek w tak rzadkim stężeniu, że z całkiem bliskiej odległości widać co pewien czas jedynie przepływające powoli bryłki. Tylko w oddali niezliczone cząstki zlewają się w jednolite pasmo, jakby wokół Saturna szalała wieczna burza gradowa.

Nie ja wymyśliłem to porównanie, ale jest nader trafne. Kiedy bowiem umieściliśmy nasz pierwszy kawałek pierścienia w komorze powietrznej, po kilku minutach się stopił i została po nim kałuża mętnej wody. Niektórzy sądzą, że czar pierścieni pryska, gdy już wiadomo, że są one przynajmniej w dziewięćdziesięciu procentach najzwyczajniejszym lodem. Ale to głupie podejście; pozostaną równie niesamowite i równie piękne, jak gdyby stworzone były z diamentów.

Kiedy wróciłem na Ziemię w pierwszym roku nowego stulecia, wyruszyłem w kolejną podróż z odczytami - tym razem krótką, bo miałem już rodzinę, której chciałem poświęcić każdą wolną chwilę. Z Panem Perlmanem po raz drugi spotkałem się w Nowym Jorku, gdzie na uniwersytecie Columbia miałem odczyt i pokaz naszego filmu Zdobywanie Saturna. (Tytuł trochę na wyrost, bo przecież od samej planety w najbliższym punkcie dzieliło nas około dwudziestu tysięcy mil. Nikomu wtedy się nie śniło, że człowiek dotrze do tej skotłowanej bryi lodowej, którą chcąc nie chcąc trzeba uznać za powierzchnię Saturna).

Pan Perlman czekał na mnie po odczycie. Nie poznałem go, wszak zawarłem bez mała milion znajomości od naszego ostatniego spotkania. Lecz gdy mi się przedstawił, wszystko wróciło tak wyraźnie, że musiał widać głęboko wryć mi się w pamięć.

Udało mu się jakoś wyrwać mnie z tłumu; wprawdzie nie lubił spotykać się z dużymi grupami ludzi, miał jednak nadzwyczajny dar panowania nad każdym zbiorowiskiem, kiedy tylko uznał to za konieczne - i znikania niepostrzeżenie, zanim jego ofiary zdążyły się połapać, co się stało. Choć widziałem go w akcji dziesiątki razy, do dziś nie wiem, jak to

robił.

Tak czy inaczej, pół godziny później jedliśmy wyborny obiad w eleganckiej restauracji (jego, rzecz jasna.). Chwaliłem sobie odmianę, zwłaszcza po stołówkowych kurczakach i lodach na trasie mej podróży z odczytami, ale za tę ucztę musiałem zapłacić. W przenośni oczywiście. Wszystkie fakty i zdjęcia zebrane z dwu naszych ekspedycji na Saturna były już dostępne dla każdego w setkach raportów, książek i popularnych artykułów. Pan Perlman niewątpliwie przeczytał całą nie wymagającą specjalistycznej wiedzy literaturę; ode mnie oczekiwał czegoś zgoła innego. Nawet wtedy jeszcze z pobłażaniem patrzyłem na jego zainteresowanie jak na ekstrawagancję starszego, samotnego pana, który chce wskrzesić nie spełnione marzenie z młodości. Nie myliłem się; lecz był to zaledwie drobny fragment całego obrazu.

Chodziło mu o to, czego próżno szukać w raportach i artykułach. Co się czuje - pytał - otwierając rano oczy i widząc tę potężną złotą kulę, owianą mknącymi pasmami chmur i niepodzielnie panującą na niebie? A same pierścienie co pan myślał, gdy były tak blisko, że wypełniały niebo od końca do końca?

Panu potrzebny poeta - odpowiedziałem - a nie inżynier. Wiem jedno: choćby się do woli patrzyło na Saturna i przelatywało z jednego księżycy na drugi, i tak nie można uwierzyć do końca, że to jawa. Nie da się odpędzić myśli: "To tylko sen coś takiego nie może istnieć naprawdę". Zaraz zerka się przez najbliższy luk - i wciąż widać ten zapierający dech w piersiach obraz.

Musicie wiedzieć, że bliska odległość to jeszcze nie wszystko: mieliśmy sposobność oglądania pierścieni z takich stron i pod takimi kątami, które są nie do pomyślenia z Ziemi, skąd zawsze widać je zwrócone ku Słońcu. Wlatywaliśmy w ich cień i wtedy nie lśniły już jak srebro - zmieniały się w bladą mgiełkę, pomost z dymu przerzucony pomiędzy gwiazdami. Najczęściej widywaliśmy cień Saturna leżący na całej szerokości pierścieni, tak zaćmionych,

jakby ktoś wygryzł z nich potężny kęs. Innym razem było odwrotnie; na dzienną stronę planety padał zawsze cień pierścieni, oplatający ją wstęgą zmierzchu równoległą do równika i bliską niego. Ponadto choć dokonaliśmy tego tylko kilka razy - można było wznieść się nad jeden z biegunów planety i ogarnąć cały potężny układ, rozpościerający się pod nami jak mapa. Widać było wówczas nie tylko cztery dostrzegalne z Ziemi, ale co najmniej dwanaście osobnych, choć zlewających się ze sobą pierścieni. Na ten widok nasz szyper wypowiedział zdanie, które utkwilo mi głęboko w pamięci. - To tutaj - rzekł, a w jego słowach nie było ani śladu bluźnierstwa - aniołowie przechowują swe aureole.

To wszystko, i znacznie więcej, powiedziałem Panu Perlmanowi w tej małej, lecz ach-jakiej-drogiej restauracji parę kroków na południe od Central Parku. Kiedy skończyłem, miał zadowoloną minę, acz przez kilka minut nie odezwał się słowem. Raptem powiedział najzwyczajniej w świecie, jakby pytał, kiedy odjeżdża następny pociąg z najbliższej stacji: "Który z satelitów najlepiej się nadaje na bazę turystyczną?"

Gdy dotarła do mnie treść tego pytania, omal nie zakrztusiłem się stuletnim koniakiem. Potem powiedziałem, bardzo spokojnym i uprzejmym tonem (wszak uraczył mnie wspaniałym obiadem): - Proszę pana, wie pan przecież doskonale, że Saturn jest oddalony od Ziemi o prawie miliard mil - a nawet więcej, kiedy znajdujemy się po przeciwnych stronach Słońca. Ktoś obliczył, że nasze bilety powrotne kosztowały przeciętnie siedem i pół miliona dolarów na głowę, a niech mi pan wierzy - ani Endeavour I, ani II nie zapewniał kabin pierwszej klasy. Ale i tak za żadne pieniądze nie będzie można zafundować sobie wycieczki na Saturna. Tylko naukowcy i załogi kosmonautów będą tam latać w wyobraźalnej dla nas przyszłości.

Widziałem, że moje słowa nie robią na nim najmniejszego wrażenia; uśmiechnął się tylko, jakby krył znaną wyłącznie sobie tajemnicę.

- To co pan mówi, jest oczywistą prawdą teraz - odparł. - Ale ja interesowałem się historią.

Znam się też na ludziach - to mój zawód. Niech mi będzie wolno przypomnieć panu parę faktów.

Przed dwoma lub trzema wiekami niemal wszystkie znane nam kurorty i rajskie miejsca na Ziemi były tak samo oddalone od cywilizacji jak dzisiaj Saturn. Co wiedział taki, powiedzmy, Napoleon o Wielkim Kanionie Kolorado, Wodospadzie Wiktorii, Hawajach, Mount Evereście? Spójrzmy też na biegun południowy; po raz pierwszy człowiek dotarł tam, gdy mój ojciec był dzieckiem - a przez całe pańskie życie stoi na biegunie hotel.

Ta historia wciąż się powtarza. Pan widzi tylko trudności i kłopoty, bo są panu zbyt bliskie. Ale ludzie i tak pokonają wszelkie przeszkody, jak to czynili w przeszłości.

Albowiem gdziekolwiek ludzie wywęszą coś zagadkowego, pięknego, niezbadanego, zechcą to zobaczyć. Pierścienie Saturna są najwspanialszym zjawiskiem znanego wszechświata: od początku tak sądziłem, a pan mnie utwierdził w tym przekonaniu. Dotarcie do nich dzisiaj kosztuje bająnskie sumy, a załogi wypraw ryzykują życie. Tak też było z pionierami-
lotnictwa a teraz w każdej sekundzie dnia i nocy samolotem podróżuje milion pasażerów. To samo będzie w kosmosie. Może nie za dziesięć lat, może nie za dwadzieścia. Ale warto pamiętać, że upłynęło zaledwie dwadzieścia pięć lat od czasu, gdy rozpoczęto pasażerskie rejsy na Księżyc. Nie sądzę, by aż tak długo trzeba było czekać na Saturna...

Ja już nie zdążę tego zobaczyć, ale chcę, żeby mnie ludzie pamiętali, kiedy moja przepowiednia się spełni. A więc - gdzie mamy budować?

Wciąż uważałem go za nieszkodliwego wariata, ale teraz zaczynałem rozumieć, co sobie ubzdurał. Nie miałem powodu, żeby psuć mu dobry nastrój, przeto podszedłem do sprawy całkiem poważnie.

- Mimas jest za blisko - powiedziałem. - Enkelados i Tethys też.

(Nie wstydzę się wyznać, że język mi się plątał przy tych nazwach po zdrowej dawce koniaku.)

- Saturn doszczętnie wypełnia tam niebo i człowiek ma wrażenie, że wali mu się na głowę.

Poza tym nie mają stałej powierzchni - są takimi olbrzymimi kulami śnieżnymi. Dione i Rea są lepsze - z obu roztacza się wspaniały widok. Ale wszystkie te wewnętrzne księżycy są takie małe; nawet Rea ma w przekroju ledwie osiemset mil, a pozostałe znacznie mniej.

Nie ma się właściwie nad czym zastanawiać; zdecydowanie najlepszy będzie Tytan. To jest satelita na miarę człowieka większy niż n a s z Księżyc i prawie taki duży jak Mars. Ma też przyzwoitą grawitację - mniej więcej jedną piątą ziemskiej więc pańscy goście nie będą pływali gdzie popadnie. I zawsze będzie głównym źródłem paliwa dzięki metanowej atmosferze, co powinien pan uwzględnić w swoich planach. Każdy statek kursujący na Saturna musi tam lądować.

- A zewnętrzne księżycy?

- Nie. Hyperion, Japet i Febe są o wiele za daleko. Trzeba dobrze wyteńczyć wzrok, żeby w ogóle dojrzeć pierścienie z Febe! Nie ma o czym mówić. Radzę poprzestać na pocziwym Tytanie. Mimo że panuje tam temperatura dwieście poniżej zera, a śnieg amoniakowy nie najlepiej się nadaje do uprawiania narciarstwa.

Wysłuchał mnie nader uważnie, a jeśli sądził, że drwię sobie z jego amatorskich, nienaukowych pomysłów, nie dał tego po sobie poznać. Wkrótce się pożegnaliśmy - nie pamiętam nic więcej z tej biesiady - i spotkaliśmy się znowu chyba dopiero po piętnastu latach. Widocznie nie potrzebował mnie przez cały ten czas; aż w końcu mu się na coś przydałem, bo zadzwonił do mnie.

Teraz rozumiem, na co czekał; w swych prorocत्वach okazał się bardziej dalekowzroczny ode mnie. Nie mógł, rzecz oczywista, przewidzieć, że raketę spotka ten sam los, co maszynę

parową w ciągu niespełna stulecia - lecz wiedział, że coś się musi pojawić i, jak miemam, finansował wczesne badania Saundersona nad napędem paragravitacyjnym. Ale dopiero gdy zaczęto budować elektrownie termojądrowe, które mogły z powodzeniem ogrzać sto mil kwadratowych tak zimnego świata jak Pluton, postanowił się znów ze mną spotkać. Był już bardzo starym, stojącym nad grobem człowiekiem. Wieściom o jego bogactwie wprost nie mogłem uwierzyć, dopóki na własne oczy nie zobaczyłem szczegółowych projektów i modeli, nad którymi bez najmniejszego rozgłosu pracował cały sztab jego ekspertów.

Siedział na wózku inwalidzkim jak zasuszona mumia i nie odrywał wzroku od mojej twarzy, gdy przeglądałem modele i schematy. Wreszcie rzekł:

- Kapitanie, mam dla pana pracę...

I tak się tu znalazłem. Moje zajęcia niczym nie różnią się, rzecz jasna, od dowodzenia statkiem kosmicznym - pozostaje mnóstwo tych samych problemów technicznych. I tak w tym wieku byłby już za stary na kapitana statku, jestem przeto bardzo wdzięczny Panu Perlmanowi.

Już słyhać gong. Jeśli nasze miłe panie są gotowe, przejdziemy teraz na obiad przez Promenadę Widokową. Mimo tylu spędzonych tu lat wciąż lubię oglądać wschód Saturna - a dziś wieczór mamy prawie pełnię.

Niech się stanie światłość

Rozmowa znów zesłała na promienie śmierci, i właśnie jakiś zrzędlawy niedowiarek naśmiewał się ze starych czasopism fantastyczno-naukowych, których okładki jakże często przedstawiały wielobarwne promienie, rażące bezlitośnie we wszystkich kierunkach. - Przecież to urągające elementarnej wiedzy brednie-parsknął z pogardą. - Wszelkie dostrzegalne promienie są nieszkodliwe. W przeciwnym razie nic by z nas już nie zostało. Od

dawna wiadomo, że te wszystkie promienie zielone, fioletowe czy w szkocką kratkę to stek bzdur. Można z powodzeniem stosować regułę - jeśli widzisz promień, nic ci nie grozi.

- Interesująca teoria - wtrącił Harry Purvis - ale nie całkiem zgodna z faktami. Jedyne śmiertelny promień, z którym sam, osobiście, miałem sposobność się zetknąć, był znakomicie widoczny.

- Czy aby na pewno? Jakiego był koloru?

- Zaraz do tego dojdę. Wszystko opowiem po kolei jeżeli chcecie. Ale skoro już o kolei mowa...

Złapaliśmy Charlie'ego Willisa, nim zdążył wymknąć się z baru, i w wyniku perswazji wspomaganej chwytami ju-jitsu wszystkie kieliszki znowu się napełniły. Wtenczas w barze Pod Białym Jeleniem zaległa nasycona ciekawością i napięciem cisza, co bywalcy rozpoznają jako nieomylną zapowiedź jednej z nieprawdopodobnych opowieści Harry'ego Purvisa.

Edgar i Mary Burtonowie stanowili cokolwiek źle dobraną parę i nikt z grona ich przyjaciół nie potrafił wyjaśnić, dlaczego się pobrali. Możliwe, że wersja cyniczna była najbliższa prawdy: Edgar był o prawie dwadzieścia lat starszy od swej żony i dorobił się ćwierć miliona na giełdzie, nim zdecydował się na wyjątkowo wczesną emeryturę. Wytoczył był sobie właśnie taki cel finansowy, pracował w pocie czoła, by dopiąć swego - a gdy stan jego konta osiągnął ustaloną kwotę, z miejsca stracił wszelką ambicję. Od tej pory zamierzał wieść stateczny żywot na wsi i poświęcić resztę lat swej jedynej prawdziwej namiętności - astronomii.

Gwoli utartym sądom, wielu ludzi nie skrywa zdumienia, że zainteresowanie astronomią może iść w parze z żyłką do interesów czy wręcz zdrowym rozsądkiem. Nic błędniejszego, oznajmił z pasją Harry; raz zostałem dosłownie obdarty żywcem ze skóry, gdy orznął mnie w pokera pewien profesor astrofizyki z Kalifornijskiego Instytutu Technologii. Ale w przypadku

Edgara odnosiło się wrażenie, że chłodna rozwaga w jednym i tym samym człowieku łączyła się z pewnego rodzaju nieporadnością; skoro tylko dorobił się majątku, nie interesował się już więcej pieniędzmi ani doprawdy niczym innym prócz budowy coraz to większych teleskopów zwierciadlanych.

Skończywszy raz na zawsze z giełdą, Edgar nabył stary, okazały dom, położony wysoko na wrzosowiskach hrabstwa Yorkshire. Wbrew oczywistym skojarzeniom, posiadłość nie była aż tak pępna jak ta z Wichrowych wzgórz; roztaczał się z niej wspaniały widok na okolicę, a bentleyem jechało się do miasta niespełna piętnaście minut. Mimo to zmiana niezbyt odpowiadała Mary, i trudno jej doprawdy nie współczuć. Nie miała nic do roboty, służba bowiem zajmowała się domem, zbywało jej też intelektualnych zainteresowań, które mogłaby do woli rozwijać. Uczyła się jeździć konno, wpisała się do wszystkich wysyłkowych klubów książki, czytała "Tatlera" i "Country Life" od deski do deski, ale wciąż czuła, że jej czegoś brakuje.

Cztery miesiące upłynęły, nim znalazła coś, czego chciała; wtedy właśnie poznała to na smętnej pod każdym innym względem uroczystości wiejskiej. Mierzyło sześć stóp i trzy cale wzrostu, było oficerem Gwardii Coldstream w stanie spoczynku, z rodziną, która traktowała inwazję Normanów jako niedawny, pożałowania godny przejaw impertynencji. Nazywało się to Rupert de Vere Courtenay (podarujmy sobie sześć pozostałych imion) i było powszechnie uważane za pierwszego kawalera w okolicy.

Dopiero po okrągłych dwóch tygodniach Rupert, angielski dżentelmen o niezłomnych zasadach, wychowany w najlepszych tradycjach arystokracji, uległ umizgom Mary. Przyszło mu to o tyle łatwiej, że rodzina rozpoczęła starania o stosowną dlań partię w osobie szlachetnie urodzonej panny Felicity Fountleroy, która niestety nie cieszyła się opinią nader urodziwej niewiasty. Ba! Tak łudzaco przypominała konia, że nie lada ryzykiem było dla niej

zbliżenie się do słynnych stajni jej ojca, zwłaszcza gdy ogiery hasały na wybiegu.

Znudzenie Mary wraz z desperacką ochotą Ruperta na przeżycie ostatniej przygody zrobiły swoje. Edgar coraz rzadziej widywał żonę, która wymyślała niesamowitą liczbę powodów, by wyrwać się do miasta w ciągu tygodnia. Zrazu cieszył się nawet, że grono jej znajomych tak raptownie się powiększa, aż po kilku miesiącach spostrzegł się, że liczebność owego grona jest nader skromna.

Nie da się długo utrzymać w tajemnicy żadnego pokątnego związku w tak niewielkiej prowincjonalnej miejscinie jak Stocksborough, choć jest to mądrość, której każde pokolenie musi nauczyć się na nowo, i to zazwyczaj nie bezboleśnie. Edgar dowiedział się prawdy przez przypadek, ale prędzej czy później doniósłby mu i tak któryś z życzliwych znajomych.

Pojechał do miasta na zebranie regionalnego towarzystwa astronomicznego - rollsem, bentleyem bowiem wyjechała wcześniej Mary - i w drodze powrotnej przyhamował przed tłumem wylegającym na ulicę po ostatnim seansie w lokalnym kinie. W tłumie dojrzał nie kogo innego, tylko Mary w towarzystwie młodego, przystojnego mężczyzny, którego Edgar już gdzieś widział, ale nie przypominał sobie z nazwiska. Nie zawracałby sobie tym więcej głowy, gdyby następnego dnia rano Mary nie wychodziła ze skóry, opowiadając mu, jak to nie dostała już biletu do kina i spędziła miły wieczór u jednej z przyjaciółek.

Nawet Edgar, którego myśli zaprzętały teraz badania zmiennych gwiazd, poczuł pismo nosem, gdy tylko zorientował się, że żona okłamuje go na wyrost. Nie zdradzał się ze swymi mglistymi podejrzeniami, które zresztą przestały być mgliste po miejscowym Balu

Myśliwskim. Chociaż nie cierpiał podobnych imprez (a pech chciał, że bal wypadł w czasie najmniejszej wielkości Oriona U i musiałby zrezygnować z ważkich obserwacji), wiedział, że oto nadarza się świetna okazja zidentyfikowania przystojnego rywala, na fetę bowiem miało się ściągnąć całe towarzystwo z okolicy.

Z dziecinną łatwością dotarł do Ruperta i wdał się z nim w pogawędkę. Młody człowiek był wprawdzie nieco zmieszany, ale okazał się wcale miłym kompanem i Edgar, na przekór własnym oczekiwaniom, poczuł do niego szczerą sympatię. Jeśli jego żona już koniecznie musiała mieć kochanka, to przynajmniej doceniał jej wybór.

Nie poruszał sprawy całymi miesiącami, głównie dlatego, że zbyt zajęty był szlifowaniem i kształtowaniem piętnastocalowego zwierciadła, by zawracać sobie głowę żoną. Dwa razy w tygodniu Mary jeździła do miasta pod pretekstem spotkania z przyjaciółkami albo obejrzenia nowego filmu w kinie i wracała do domu przed samą północą. Edgar dostrzegał rażące poprzez bezmiar wrzosowiska snopy samochodowych reflektorów, które zygzakami i skrętami oznajmiały, że powraca żona, zawsze z nadmierną w jego mniemaniu prędkością. Z tego też powodu tak rzadko wyjeżdżali razem z domu; Edgar był dobrym, acz ostrożnym kierowcą i cenił sobie wygodną, płynną jazdę, o dziesięć mil na godzinę wolniejszą, niż gdy za kierownicą siedziała Mary. Mniej więcej trzy mile od domu światła samochodu znikwały na kilka minut w miejscu, gdzie droga chowała się za wzgórze. Tu znajdował się karkołomny zakręt; na odcinku bardziej przypominającym Alpy niż angielską prowincję szosa okalała krawędź skały, gwałtownie opadając o całe sto stóp, by wreszcie wyprostować się w pobliżu domu. Wychodząc z zakrętu samochód bił reflektorami prosto w okna i niejednej nocy z nagłą oślepił siedzącego przy teleskopie Edgara. Na szczęście ten odcinek drogi należał do najmniej uczęszczanych w nocy; w przeciwnym razie obserwacje byłyby zgoła niemożliwe, bo zanim wzrok Edgara wracał do normy, upływało dobrych dziesięć do dwudziestu minut. Z początku traktował chwilowe przerwy jako niewartą uwagi niedogodność, ale gdy częstotliwość wypadków Mary wzrosła do czterech czy pięciu razy w tygodniu, miał już tego serdecznie dość, aż wreszcie postanowił, że Coś Z Tym Trzeba Zrobić.

Nie uszło zapewne waszej uwagi, ciągnął Harry Purvis, że od samego początku tej historii

Edgar Burton nie zachowywał się jak całkiem normalny człowiek. Wszak ktoś, komu lekko przyszło z dnia na dzień przedzierzgnąć się z obrotnego maklera giełdowego w Londynie w, nie przymierzając, pustelnika na wrzosowiskach Yorkshire, musiał od początku być lekko stuknięty. A jednak nie widziałbym w jego usposobieniu nic ponad ekscentryczność do czasu, kiedy nocne powroty Mary na dobre zakłócać poczęły spokój i powagę jego obserwacji, a nawet i później, trzeba przyznać, postępowaniem Edgara rządziła szalona wprawdzie, ale jednak logika.

Co prawda przestał kochać swą żonę już kilka lat wcześniej, niemniej jednak nie życzył sobie, by robiła zeń durnia. Na domiar Rupert de Vere Courtenay robił na nim wrażenie sympatycznego, młodego człowieka; postąpiłby szlachetnie ratując go z objęć Mary.

Rozwiązanie było olśniewające; dosłownie olśniewające, bowiem gdy Edgar po raz kolejny właśnie mrużył oczy porażony światłami nadjeżdżającego samochodu, przyszedł mu do głowy pomysł prawdziwej zbrodni doskonałej, z jaką przyszło mi się zetknąć. Aż dziw bierze, jak pozornie nieistotne czynniki przesądzić mogą o życiu człowieka; choć nie zamierzam bynajmniej dyskredytować najstarszej i najszacowniejszej z nauk, nie da się zaprzeczyć, że gdyby Edgar nie parał się astronomią, nie stałby się też mordercą. Albowiem jego hobby dostarczyło mu tak motywu, jak i w znacznej mierze narzędzia zbrodni...

Sam potrafił skonstruować odpowiednie zwierciadło wszak w tej dziedzinie był już ekspertem - ale astronomiczna dokładność w tym przypadku nie miała istotnego znaczenia i wystarczyło kupić stary reflektor nastawny w sklepie z artykułami wojskowymi, jakich wiele w okolicach londyńskiego Leicester Square. Do zwierciadła o przekroju trzech stóp w ciągu kilku zaledwie godzin udało mu się dorobić statyw i w ognisku umieścić prymitywną, ale skuteczną lampę łukową. Wycelowanie wiązki nie nastęrczyło większego trudu. Nikt nie zwrócił najmniejszej uwagi na te przygotowania, bo i żona, i służba zdążyli już przyzwyczać

się do jego eksperymentów.

Dokonał ostatniej, krótkiej próby w ciemną, pogodną noc i spokojnie czekał na powrót Mary.

Nie mitrzył czasu, rzecz jasna, i powrócił do conocnych obserwacji upatrzonej grupy gwiazd. Wybiła północ, a Mary jak nie było, tak nie było, lecz nie miał jej tego za złe, bo właśnie z satysfakcją namierzył zwartą serię wielkości gwiezdnych, które gładko układały się na jego krzywych. Zadowolony z pomyślnych wyników, nie zastanowił się nawet, dlaczego Mary nie wraca jeszcze o tak wyjątkowo późnej porze.

Wreszcie ujrzał migotające na horyzoncie światła samochodu i, z ociąganiem, przerwał obserwacje. Gdy tylko auto zniknęło za wzgórzem, czekał już z ręką na przełączniku; nie pomylił się ani o ułamek sekundy; ledwie samochód wszedł w zakręt i poraził go światłami, zamknął łuk.

Mijanie się z innym samochodem w nocy nie należy do przyjemności, nawet jeśli człowiek jest na to przygotowany i jedzie po prostej drodze. Co dopiero, kiedy bierze ostry wiraż z przekonaniem, że absolutnie nic nie jedzie z naprzeciwka, a tu nagle wali ci prosto w oczy snop światła pięćdziesiąt razy mocniejszego niż samochodowych reflektorów - szkoda gadać, skutki można sobie wyobrazić.

Były dokładnie takie, na jakie Edgar liczył. Niemal natychmiast wyłączył swój reflektor, ale światła samochodu i tak sygnalizowały mu to, co chciał zobaczyć. Patrzył, jak skręcają raptem ponad dolinę, potem opadają łagodnym łukiem z coraz większą prędkością, aż wreszcie znikają na dobre za grzbietem wzniesienia. Przez kilka sekund widział czerwoną lunę, ale wybuch był ledwie słyszalny, i tym lepiej, bo nie chciał niepokoić służby.

Rozmontował swój skromny reflektor i powrócił do teleskopu; jeszcze nie zdążył dokończyć obserwacji. Po czym, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku w służbie nauki, położył się spać.

Spał mocno, ale krótko, niespełna godzinę później bowiem zadzwonił telefon. Ani chybi ktoś odnalazł wrak, ale mogliby przecież poczekać z tym do rana, wszak astronom musi się porządnie wyspać. Z rozdrażnieniem podniósł słuchawkę i dopiero po kilku sekundach zorientował się, że mówi doń własna żona. Dzwoniła z Courtenay Place i chciała się dowiedzieć, co się stało z Rupertem.

Prawdopodobnie postanowili grać z nim w otwarte karty i Rupert (po zdrowej dawce mocnego trunku dla kurażu) zgodził się być mężczyzną i powiedzieć o wszystkim Edgarowi w cztery oczy. Miał wrócić natychmiast po spełnieniu tej misji i opowiedzieć Mary, jak zachował się jej mąż. Czekala z rosnącym niepokojem, potem już zdjeta panicznym lękiem, aż wreszcie trwoga wzięła górę nad dyskrecją.

Nie muszę chyba mówić, jakiego szoku doznał i tak już rozstrojony system nerwowy Edgara. Po kilkuminutowej rozmowie Mary doszła do wniosku, że jej mąż chyba upadł na głowę. Dopiero następnego dnia rano dostała wiadomość, że upadł również Rupert, co się dlań skończyło znacznie gorzej.

W ostatecznym rozrachunku Mary wyszła z tego obronną ręką. Rupert wcale nie grzeszył zbyt dużą inteligencją i wbrew pozorom nie byłiby aż tak świetnie dobraną parą. Koniec końców, Edgar dostał wariackie papiery, a Mary otrzymała pełnomocnictwo w zarządzaniu posiadłością i niezwłocznie przeprowadziła się do Dartmouth, gdzie kupiła sobie wytworne mieszkanie, obok Akademii Marynarki Królewskiej, i niezmiernie rzadko sama musiała prowadzić swego nowego bentleya.

Ale to tylko dygresja, podsumował Harry. Całą historię opowiedział mi handlarz, który kupił teleskopy Edgara, gdy ten znalazł się w odosobnieniu. Smutne jest to, że nikt nie dawał wiary zeznaniom astronoma; wedle ostatecznych ustaleń Rupert za dużo wypił i z nadmierną prędkością prowadził auto po niebezpiecznej drodze. Może i tak rzeczywiście było, ale ja

wolę wersję Edgara. Wszak można było człowiekowi oszczędzić tak prostackiej przyczyny zgonu. Porażenie promieniem śmierci byłoby znacznie bardziej stosowne dla takiego nazwiska jak de Vere Courtenay - a w przedstawionych wam tu okolicznościach nie widzę, jak można zaprzeczyć, że Edgar posłużył się właśnie promieniem śmierci. Był to promień - i zabił człowieka. Czy wam to nie wystarczy?

Senator i śmierć

Trudno wyobrazić sobie piękniejszą wiosnę w Waszyngtonie; a była to ostatnia wiosna, pomyślał smętnie Steelman, którą dane mu było oglądać. Nawet teraz, kiedy już znał ostateczny werdykt doktora Jordana, nie potrafił się pogodzić z prawdą. Do tej pory zawsze umiał znaleźć wyjście; nie znał ostatecznych porażek. Gdy zdradzali go ludzie, odtrącał ich - zdarzało się, że i rujnował im życie, by w ten sposób ostrzec innych. Ale teraz zdrada tkwiła w nim samym; zdawało mu się, że już wyczuwa ociężałe bicie serca, które wkrótce miało zatrzymać się na zawsze. Plany na wybory prezydenckie w 1976 roku trzeba było wybić sobie z głowy; przecież może nawet nie dożyć nominacji...

Nadszedł kres marzeń i ambicji, a słaba to pociecha, że każdemu kiedyś koniec pisany. Ale dla niego było to zbyt wcześnie. Przypomniawszy sobie, jak Cecil Rhodes, którego zawsze tak podziwiał, skarżył się przed śmiercią, która dopadła go przed pięćdziesiątymi urodzinami: "Tyle zostało do zrobienia, a czasu tak niewiele!" Steelman był już starszy od Rhodesa, a dokonał o wiele mniej.

Limuzyna odwoziła go z Kapitolu, co w jego sytuacji nabierało symbolicznego znaczenia, ale usiłował nie zawracać sobie tym głowy. Miał teraz przed sobą New Smithsonian potężny kompleks muzeów, których nigdy nie miał zwiedzić, choć był świadkiem, jak rozbudowywały się przez te wszystkie lata, które spędził w Waszyngtonie.

Jak wiele stracił, pomyślał z goryczą, w niepowstrzymanej pogoni za władzą. Cały świat

sztuki i kultury pozostał dla niego zamknięty, a był to zaledwie ułamek ceny, jaką zapłacił. Stał się obcy dla rodziny i dla tych, którzy niegdyś byli jego przyjaciółmi. Złożył ofiarę z miłości na ołtarzu ambicji, a ofiara ta okazała się daremna. Czy na całym świecie znajdzie się ktoś, kto uroni łzę, kiedy on odejdzie?

Ależ tak. Poczucie beznadziejnego osamotnienia przyniosło niespodziewaną ulgę. Sięgając po słuchawkę, wyrzucał sobie, że o ten właśnie numer telefonu musi pytać sekretarki w biurze, a pamięć ma zaśmieconą tyloma mniej ważnymi szczegółami.

(A oto Biały Dom, niemal oślepiający w promieniach wiosennego słońca. Po raz pierwszy w życiu nie rzucił w jego stronę drugiego spojrzenia. Należał teraz do innego świata. Świata, który go nie będzie obchodzić).

Limuzyna nie miała wideofonu, ale wizja nie była mu potrzebna, żeby wyczuć u Ireny lekkie zaskoczenie i coś jakby radość.

- Cześć, Irenko - co u was słychać?

- Wszystko po staremu, tato.

- Kiedy się zobaczymy?

Usłyszał tę samą grzecznościową formułkę, którą jego córka miała gotową na te rzadkie okazje, kiedy zdarzyło mu się zadzwonić. Niezmiennie, chyba że zbliżało się Boże Narodzenie lub urodziny, odpowiadał mglistą obietnicą, że wpadnie któregoś bliżej nie określonego dnia w przyszłości.

- Czy zgodzisz się - mówił powoli, niemal przepraszającym tonem - pożyczyć mi dzieciaki na jedno popołudnie? Dawno z nimi nigdzie nie byłem, a chciałbym się na chwilę oderwać od pracy.

- Ależ tak - odpowiedziała Irena z coraz wyraźniejszą radością w głosie. - Bardzo się ucieszę. Kiedy chciałbyś je zabrać? - Może jutro? Wpadłbym koło dwunastej i wybralibyśmy się do

zoo albo do Smithsonian, gdzie będą miały ochotę.

Teraz już była całkiem zaskoczona, bo dobrze wiedziała, że jest jednym z najbardziej zajętych ludzi w Waszyngtonie, z terminarzem wypełnionym szczerze z kilkutygodniowym wyprzedzeniem. Nie omieszka snuć domysłów, co się stało; zależało mu, żeby nie odgadła prawdy. Nie miał powodów do obaw, bo nawet jego sekretarka nic nie wiedziała o nieznośnie kłujących bólach, które wreszcie zaprowadziły go na odkładane od dawna badanie lekarskie.

- Wspaniały pomysł. Właśnie wczoraj dopytywały się o następne spotkanie z tobą.

Oczy mu zwilgotniały i cieszył się, że Irena go nie widzi.

- Będę u was o dwunastej - rzucił pospiesznie, starając się nie ujawnić wzruszenia. - Ściskam was - odłożył słuchawkę, nim zdążyła odpowiedzieć, i z westchnieniem ulgi oparł się wygodnie w fotelu. Niemal instynktownie, bez świadomego postanowienia, zrobił pierwszy krok w przewartościowaniu swojego życia. Chociaż dzieci utracił bezpowrotnie, więzy między pokoleniami nie osłabły. Nawet jeśli mu się już nic innego nie uda, to przynajmniej musi je utrzymać i umocnić przez te kilka miesięcy, które mu pozostały.

Oprowadzanie dwójki żywych, dociekliwych dzieci po budynku muzeum przyrodniczego niezupełnie odpowiadało zaleceniom lekarza, ale właśnie na to miał ochotę. Joey i Susan zdążyli sporo podrosnąć od ich ostatniego spotkania i dotrzymanie im kroku wymagało nie lada wysiłku fizycznego i umysłowego. Ledwie weszli do rotundy, a dzieci nie oglądając się na niego podbiegły do ogromnego słońa, który niepodzielnie panował nad marmurową salą.

- Co to? - wykrzyknął Joey.

- Słoń, tumanie - odparła Susan z przygniatającą wyższością swoich siedmiu lat.

- Przecież wiem, że to słoń - oburzył się Joey. - Ale jak się nazywa?

Senator Steelman śpiesznie przeczytał tabliczkę z opisem, ale nie znalazł na niej odpowiedzi.

Tym razem ryzykowna maksyma "Lepszy błąd niżli niepewność" była bezpieczną

wskazówką.

- Miał na imię, hmm, Jumbo - powiedział niewiele myśląc. - Popatrz na te kły!

- A czy bolały go zęby? - Skądże znowu.

- To jak on sobie mył zęby? Mama mówi, że jak nie będę mył zębów...

Steelman przewidział, dokąd zmierza ten wywód, i szybko postanowił zmienić temat.

- W środku zobaczycie dużo innych ciekawych rzeczy. Co obejrzymy najpierw - ptaki, węże, ryby, ssaki?

- Wężę! - zażądała Susan. - Chciałam hodować węża w pudełku, ale tatuś mi nie pozwolił.

Może zgodzi się, jak ty go poprosisz, co?

- Co to jest ssak? - spytał Joey, zanim Steelman zdołał znaleźć odpowiedź na pytanie wnuczki.

- Chodź, zaraz ci pokażę - powiedział stanowczo. Gdy dzieci przeskakiwały od jednego eksponatu do drugiego, przemierzając sale i galerie, czuł, że jest w kojącej zgodzie ze światem. Muzeum było najlepszym lekarstwem na uspokojenie duszy, nadanie codziennym zmartwieniom właściwej perspektywy. Tutaj, w obliczu nieskończonego bogactwa cudu Natury przypominał sobie dawno zapomniane prawdy. Był zaledwie jednym z milionów stworzeń, które dzieliły się planetą Ziemią. Cała ludzka rasa, ze swymi marzeniami i lękami, triumfami i kapryсами, może być ledwie incydentem w historii świata. Kiedy zatrzymał się przed monstrualnymi kośćmi diplodocusa (dzieci choć na chwilę oniemiały z wrażenia), duszę przeszył mu podmuch wiatru Wieczności. Już nie traktował poważnie ostróg ambicji, wiary, że naród powierzył mu misję. J a k i właściwie n a r ó d, jeśli już o to chodzi? W lecie upłynie zaledwie dwieście lat od podpisania Deklaracji Niepodległości; a ten oto rdzenny Amerykanin leżał w skałach stanu Utah przez sto milionów lat...

Opadał już z sił, kiedy dotarli do działu życia oceanicznego, który dobitnie przypominał, że

na Ziemi wciąż żyją zwierzęta większe od wszelkich istot, jakimi chełpiła się przeszłość.

Plusk zanurzającego się wieloryba błękitnego długości dziewięćdziesięciu stóp wraz z innymi śmigłymi władcami mórz przypominał mu godziny spędzone niegdyś na maleńkim, lśniącym pokładzie z białym, łopoczącym nad głową żaglem. To jeszcze jedna chwila z przeszłości, kiedy zaznał szczęścia, wsłuchując się w szelest rozpruwanych dziobem fal i westchnień szarpanych wiatrem lin. Od trzydziestu lat nie żeglował; jeszcze jedna z uciech tego świata, która poszła w odstawkę.

- Nie lubię ryb - narzekła Susan. - Kiedy wreszcie pójdziemy do węży?

- Za chwilę - odpowiedział. - Ale po co się spieszyć? Zostało jeszcze tyle czasu.

Wypowiedział te słowa bez namysłu. Zwolnił kroku, gdy dzieci pobiegły przodem.

Uśmiechnął się bez żalu. Bo w pewnym sensie miał przecież rację. Rzeczywiście zostało jeszcze dużo czasu. Każdy dzień, każda godzina obiecywała wszechświat doznań, jeśli tylko się ją należycie wykorzystają. W ostatnich tygodniach swego życia zaczną naprawdę żyć.

W biurze nikt nic na razie nie podejrzewał. Nawet jego wycieczka z dziećmi nikogo zbytnio nie zaskoczyła; już wcześniej zdarzało mu się odwoływać nagle wszystkie umówione spotkania i powierzać swoim podwładnym załatwienie najpilniejszych spraw. Nie widać było jeszcze zasadniczych zmian w jego trybie życia, ale już za kilka dni wszyscy współpracownicy zorientują się, że zaszło coś niezwykłego. Poczował się do obowiązku wobec kolegów - i wobec partii - jak najszybciej wyznać prawdę; najpierw jednak chciał podjąć wiele osobistych decyzji, z którymi musiał uporać się sam, zanim puści w ruch całą maszynę urzędową.

Miał jeszcze jeden powód do wahania. W długiej karierze rzadko dawał za wygraną; w ogniu politycznej walki nikomu nie ustąpił ani na krok. A teraz, w obliczu ostatecznej klęski, z obrzydzeniem wyobrażał sobie współczucie i kondolencje, którymi obsypie go niezwłocznie

ciężba wrogów. Zdawał sobie dobrze sprawę z głupoty takiego nastawienia - tłęcej się jeszcze niepohamowanej dumy, która była zbyt mocną cechą jego osobowości, żeby zgasnąć nawet w cieniu śmierci.

Ponad dwa tygodnie nosił w sobie tajemnicę, od sali posiedzeń do Białego Domu, z Białego Domu do Kapitolu, przez labirynty waszyngtońskiej socjety. Dokonał największego wyczynu w swej karierze, ale nie było komu tego docenić. Pod koniec tego okresu miał już gotowy plan działania; trzeba było jeszcze tylko wysłać kilka odręcznie napisanych listów i zadzwonić do żony.

Sekretariat ustalił, nie bez trudności, jej adres w Rzymie. Wciąż jest piękna, pomyślał, kiedy jej twarz pojawiła się na ekranie; świetnie nadawałaby się na Pierwszą Damę, co przynajmniej częściowo wynagrodziłoby jej tyle zmarnowanych lat. Wydawało mu się, że chętnie widziałaby się w tej roli, ale czy naprawdę kiedykolwiek ją rozumiał?

- Co słysząc, Martin? Wiedziałaś, że się w końcu odezwiesz. Zapewne chcesz, żebym wróciła.

- A masz na to ochotę? - spytał cicho. Jego łagodny ton był dla niej wyjątkowym zaskoczeniem.

- Przecież byłabym skończoną idiotką, gdybym nie chciała. Tylko umówmy się, że jeśli cię nie wybiorą, znowu się wyniosę.

- Nie wybiorą mnie. Nawet nie dostanę nominacji. Jesteś pierwszą osobą, która się o tym dowiaduje, Diano. Za sześć miesięcy będę już na tamtym świecie.

Brutalna bezpośredniość tego wyznania miała swój cel. Ten ułamek sekundy, w którym fale radiowe pomknęły do satelitów komunikacyjnych i z powrotem na Ziemię, nigdy dotąd nie trwał tak długo. Po raz pierwszy udało mu się przeniknąć tę piękną maskę. Jej oczy rozwarły się z niedowierzania, a dłoń odruchowo przykryła usta.

- Chyba żartujesz!

- To nie temat do żartów. Mówię poważnie. Serce mi wysiadło. Doktor Jordan powiedział mi to dwa tygodnie temu. Moja w tym zasługa, ale nie ma co o tym mówić.

- To dlatego wzięłaś dzieci na spacer. Zastanawiałam się, co cię napadło.

Powinien był się domyślić, że Irena nie omieszka podzielić się radością z matką. Trudno o lepsze podsumowanie życia rodzinnego Martina Steelmana, skoro najzwyczajniejszy objaw zainteresowania własnymi wnukami wywołał sensację.

- Tak - przyznał bez ogródek. - Szkoda, że dopiero teraz się na to zdobyłem. Próbuję nadrobić stracony czas. Nic innego mnie już nie obchodzi.

W milczeniu patrzyli sobie w oczy poprzez krzywiznę kuli ziemskiej i poprzez jałową pustynię dzielących ich lat. Po chwili Diana odpowiedziała niepewnie: - Natychmiast zabieram się do pakowania.

Kiedy już rozeszła się wiadomość, odczuł wielką ulgę. Nawet współczucie wrogów łatwiej mu było przełknąć, niż przypuszczał. Bo z dnia na dzień wrogowie stali się przyjaciółmi.

Ludzie, którzy całymi laty nie odezwali się do niego słowem, z wyjątkiem inwektyw, stali teraz wyrazy szacunku, w których szczerłość trudno było wątpić. Odwieczne kłótnie wyparowały albo też okazały się wynikiem drobnych nieporozumień. Szkoda, że trzeba stanąć u progu śmierci, żeby się o tym wszystkim dowiedzieć...

Dowiedział się także, że dla człowieka na takim stanowisku umieranie jest ciężką pracą.

Trzeba wyznaczyć następców, rozplątać prawne i finansowe węzły, dograć rozgrzebane sprawy stanowe i w komitecie. Pracy całego energicznego życia nie da się zakończyć w

jednej chwili, tak jak się gasi światło. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, ile obowiązków wziął na siebie i jak ciężko ich się pozbyć. Nigdy łatwo mu nie przychodziło udzielanie

pełnomocnictw (niewybaczalna wada - wypominali mu krytycy - jak na męża stanu z

prezydenckimi ambicjami), ale tym razem musi sobie poradzić, zanim nie będzie już miał czego udzielać.

Zdawało się, że potężny zegar przestaje chodzić i nie ma komu go nakręcić. Gdy rozdawał swoje książki, czytał i wyrzucał stare listy, likwidował bezużyteczne konta i kartoteki, dyktował ostatnie polecenia i pisał noty pożegnalne, ogarniało go czasem poczucie zupełnej nierealności. Bóle ustąpiły; nic nie zdawało się wskazywać na to, że nie ma przed sobą całych lat aktywnego życia. Tylko tych kilka linii elektrokardiogramu przegradzało mu drogę do przyszłości jak powalone drzewa albo jak zakłęcie w nieznanym języku, zrozumiałym wyłącznie dla wtajemniczonych.

Niemal codziennie Diana, Irena lub jej mąż przyprowadzali do niego wnuki. Przedtem nie mógł znaleźć wspólnego języka z Billem, ale wiedział, że nie jest tu bez winy. Nie można przecież wymagać, żeby zięć zastąpił syna, i trudno winić Billa tylko dlatego, że nie powiełał wzoru Martina Steelmana Juniora. Bill ulepiony był z innej gliny; dbał o Irenę, która czuła się przy nim szczęśliwa, był dobrym ojcem jej dzieci. To, że zbywało mu ambicji, było wadą - jeśli to istotnie wada - którą pan senator mógł wreszcie rozgrzeszyć.

Przypominał sobie teraz, bez bólu i goryczy, własnego syna, który wcześniej przetaił ten szlak i spoczywał teraz pod jednym z wielu krzyży, na cmentarzu Narodów Zjednoczonych w Kapsztadzie. Nigdy nie pojechał na grób Martina; wtedy, kiedy miał czas, biali nie cieszyli się sympatią w tym, co zostało z Afryki Południowej. Teraz mógłby jechać, gdyby chciał, ale nie miał pewności, czy wolno mu obarczać Dianę taką misją. Jego samego wspomnienia nie będą już więcej nachodzić, ale ona przecież z nimi zostanie.

A jednak chciał pojechać, czuł zresztą, że to jego święty obowiązek. Poza tym będzie to przecież najwspanialszy ostatni prezent dla dzieci. Dla nich będą to jedynie wspaniałe wakacje w egzotycznym kraju, nie zakłócone żalem po wujku, którego nie zdążyły poznać.

Poczynił już pierwsze przygotowania, gdy raptem, już po raz drugi w ciągu miesiąca, jego świat stanął na głowie.

Wciąż co najmniej kilkunastu gości oczekiwało na niego codziennie rano w biurze. Co prawda mniej niż za dawnych czasów, ale i tak pokaźna grupa. Nie spodziewał się jednak, że wśród nich znajdzie się dr Harkness.

Na widok tej znajomej, wysokiej i pokracznie chudej sylwetki zwolnił kroku. Poczł, jak twarz zalewa mu rumieniec i puls przyspiesza na wspomnienie starych batalii na posiedzeniach komitetu, zajadłych polemik, które rozbrzmiewały echem tysięcy kanałów w eterze. Po chwili odprężył się; przecież ma już to wszystko z głowy.

Harkness niezdarnie podniósł się na powitanie Steelmana. Senator spostrzegł u niego na początku objawy zakłopotania zdążył przywyknąć do tego w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Miał teraz automatycznie przewagę nad wszystkimi rozmówcami, którzy robili wszystko, żeby uniknąć tego jedyne go tematu tabu.

- Witam pana doktora - odezwał się pierwszy. - Cóż za niespodzianka. Nie przypuszczałem, że właśnie pana tu zastanę.

Nie podarował sobie tej szpileczki i z satysfakcją obserwował skutek. Ale nie było w tym powitaniu urazy, co potwierdził uśmiech na twarzy uczonego.

- Panie senatorze - odparł Harkness tak ściszym głosem, że Steelman musiał pochylić się, żeby cokolwiek usłyszeć. - Mam dla pana niesłychanie ważną wiadomość. Czy możemy porozmawiać w cztery oczy? Nie zajmę panu dużo czasu.

Steelman skinął twierdząco; sam najlepiej wiedział, co jest teraz dla niego ważne, ale też zaciekał go do pewnego stopnia powód tej wizyty. Miał wrażenie, że rozmawia z innym człowiekiem niż podczas ich ostatniego spotkania przed siedmioma laty. Harkness stał się bardziej stanowczy i pewny siebie, pozbył się też tego manierycznego roztargnienia, które

powodowało, że jego argumenty rzadko trafiały ludziom do przekonania.

- Panie senatorze - zaczął, kiedy już byli sam na sam w gabinecie Steelmana. - Przychodzę z wiadomością, która może się okazać dla pana szokująca. Otóż wierzę, że można pana wyleczyć.

Steelman osunął się ciężko w fotelu. Tego istotnie się nie spodziewał; od początku nie łudził się płónnymi nadziejami. Tylko głupiec walczy z tym, co nieuniknione, a on pogodził się już z losem.

Przez moment nie potrafił wydobyć z siebie słowa; po chwili podniósł wzrok na swojego dawnego rywala i wykrztusił: Kto panu o tym powiedział? Wszyscy moi lekarze...

- Tak, wiem; to nie ich wina, że pozostali w tyle o dziesięć lat. Proszę spojrzeć.

- Co to znaczy? Nie znam rosyjskiego.

- To ostatni numer wydawanego w ZSRR "Biuletynu Medycyny Kosmicznej". Przyszedł kilka dni temu i jak zwykle kazaliśmy przetłumaczyć jego treść. Ta notatka, którą tu zaznaczyłem, donosi o badaniach przeprowadzonych ostatnio na Stacji Miecznikowa.

- Co to za stacja?

- Pan nie wie? Przecież to ich Szpital Satelitarny, który zbudowali nieco poniżej Wielkiego Pasa Radiacji.

- I co z tego wynika? - spytał Steelman suchym, ledwie wydobywającym się z zaciśniętego gardła głosem. - Zapomniałem, że właśnie tak go nazwali.

Chciał dokonać żywota w spokoju, a tu zjawily się duchy przeszłości, by się nad nim pastwić.

- Sama notatka wiele nam nie mówi, ale sporo można wyczytać między linijkami. To jedna z tych jaskółek, które naukowcy wypuszczają, zanim zdążą napisać artykuł, żeby później nie powstały wątpliwości co do prawa pierwszeństwa. Tytuł brzmi: "Terapeutyczne działanie

gravitacji zerowej na choroby układu krążenia". Do tej pory sztucznie wywoływali choroby serca u królików i chomików i wystrzeliwali chore zwierzęta na stację kosmiczną. Na orbicie, rzecz jasna, wszystko traci ciężar; serce i mięśnie praktycznie nie mają nic do roboty. Wyniki są dokładnie takie, jakie przewidywałem w naszych rozmowach przed laty. Nawet w beznadziejnych przypadkach można w ten sposób zatrzymać postęp choroby, a wiele z nich da się całkowicie wyleczyć.

Ciasny, wyłożony boazerią gabinet, który mu był środkiem świata, miejscem wielu narad, kolebką tak licznych planów, raptem stał się nierzeczywisty. Znacznie wyraźniej rysowały się obrazy z pamięci: znowu brał udział w pamiętnych przesłuchaniach na jesieni 1969 roku, kiedy to NASA rozliczała się z pierwszej dekady swej działalności w krzyżowym ogniu krytyki.

Co prawda nigdy nie przewodniczył Senackiemu Komitetowi do Spraw Astronautyki, ale był jego najaktywniejszym i najbardziej wpływowym członkiem. Właśnie tą działalnością zasłużył na reputację strażnika kieszeni publicznej, nieugiętego realisty, który nie da się otumanić utopiami bujających w obłokach naukowców. Zrobił kawał dobrej roboty; jego nazwisko nie schodziło długo z nagłówek gazet. Nie żywił bynajmniej uprzedzenia do badań w przestrzeni kosmicznej, lecz bezbłędnie dostrzegał sporne kwestie, którymi natychmiast umiał poruszyć opinię publiczną. Pamięć odtwarzała teraz wszystko dokładnie, jak nagranie z taśmy magnetofonowej...

- Doktorze Harkness, jest pan dyrektorem technicznym NASA?

- Zgadza się.

- Mam przed sobą bilans wydatków NASA za lata 1959-69; imponujące to liczby. Na dzień dzisiejszy wydatki te zamykają się kwotą 82.547.450.000 dolarów, a dane szacunkowe na rok finansowy 69-70 wynoszą dziesięć miliardów z nawiązką. Czy zechciałby pan łaskawie

omówić korzyści, jakich można oczekiwać po tych niebagatelnych sumach?

- Z przyjemnością, panie senatorze.

Tak to się wszystko zaczęło, w stanowczym, lecz nie wrogim tonie. Wrogość wsączyła się później. Z tego, że była nieuzasadniona, już wtedy zdawał sobie sprawę; każda wielka organizacja miewa słabe punkty i niechlubne momenty, a co dopiero taka, która dosłownie buja w obłokach i już w założeniu nie może liczyć na pewne powodzenie. Od samego początku wiadomo było, że podbój kosmosu pochłonie co najmniej tyle ofiar ludzkich i pieniędzy, ile podbój powietrza. W ciągu dziesięciu lat zginęło bez mała stu ludzi - na Ziemi, w kosmosie i na jałowej powierzchni Księżyca.

Teraz, kiedy już opadła fala entuzjazmu z wczesnych lat sześćdziesiątych, zewsząd padało "Po co?" Steelman był na tyle przewidujący, by zobaczyć się w roli rzecznika tych sceptycznych głosów. Zabrał się do roboty z chłodnym wyrachowaniem; potrzebny mu był kozioł ofiarny, a nikt się lepiej do tego nie nadawał niż nieszczęsny dr Harkness.

- Zgoda, panie doktorze, nie zamierzam kwestionować ogromnych korzyści płynących z badań przestrzeni kosmicznej, choćby w postaci udoskonalonej łączności i prognoz meteorologicznych, i każdy niewątpliwie docenia te osiągnięcia. Jednakowoż wyniki te osiągnięto niemal w całości za pomocą automatycznych pojazdów bezzałogowych. Jestem poważnie zaniepokojony - a niepokój ten podziela wielu obywateli wzrastającym kosztem programu Człowiek-w-Kosmosie i jego nikłą użytecznością. Począwszy od pierwszych programów Dyna-Soar i Apollo sprzed niemal dziesięciu lat, wystrzeliliśmy w kosmos całe miliardy dolarów. I co nam to dało? Czy to, że marna garstka astronautów może przetrwać kilka uciążliwych godzin poza atmosferą, by dokonać tego, co z powodzeniem zrobiłyby kamery telewizyjne sterowane automatycznie w dodatku lepiej i taniej? A ofiary w ludziach? Nikt z nas nie zapomni tych rozpaczliwych krzyków, które słyszeliśmy przez radio, gdy na X-

Z I nastąpił wybuch podczas powrotu do atmosfery. Jakim prawem posyłamy ludzi na taką śmierć?

Zachował w pamięci głuchą ciszę, jaka zapadła w sali obrad po tym przemówieniu. Jego pytania były rozsądne i zasługiwały na odpowiedź. Nieuczciwy był jedynie patos, z jakim je zadawał, i przede wszystkim fakt, że kierował je do człowieka, który nie potrafił przekonująco na nie odpowiedzieć. Steelman nie pozwoliłby sobie na tę taktykę wobec takiego choćby von Brauna czy Rickovera; odpłaciliby mu pięknym za nadobne. Lecz Harkness nie miał za grosz talentu oratorskiego; jeśli w ogóle żywił głęboko osobiste przekonania, to ich nie ujawniał. Był dobrym naukowcem, sprawnym administratorem - i kiepskim mówcą. Polemika z nim przypominała strzelanie do śledzi w beczce. Ku uciesze dziennikarzy; nigdy nie doszedł do tego, który z nich pierwszy użył przydomka "Harkness Frasobliwy".

- A ten pański plan, panie doktorze, pięćdziesięcioosobowego laboratorium kosmicznego - zechce nam pan przypomnieć, ile ma kosztować całe przedsięwzięcie?

- Tak, jak mówiłem - nieco poniżej półtora miliarda.

- A roczne koszty utrzymania?

- Nie przekroczą 250.000.000 dolarów.

- Wybaczy pan, ale biorąc pod uwagę losy poprzednich szacunków, skłonni jesteśmy traktować podane przez pana sumy z pewną dozą sceptycyzmu. Ale nawet przyjmując, że są prawidłowe, czego możemy oczekiwać za te pieniądze?

- Zdołamy utworzyć w kosmosie naszą pierwszą stację badawczą na wielką skalę.

Dotychczas zmuszeni byliśmy przeprowadzać nasze doświadczenia w ciasnych kabinach nieodpowiednich pojazdów, przeważnie wówczas, gdy wysyłane były w innych celach.

Utworzenie stałego załogowego laboratorium satelitarnego jest koniecznością. Bez tego nie

ma co marzyć o dalszym postępie. Astrobiologia nie ma szans...

- Astro co?

- Astrobiologia - badanie żywych organizmów w przestrzeni kosmicznej. Rosjanie faktycznie zrobili pierwszy krok, kiedy wystrzelili Łajkę w Sputniku II, i wciąż przewodzą w tej

dziedzinie. Dotychczas nikt nie przeprowadził poważnych badań z owadami i bezkręgowcami

- z żadnymi wręcz zwierzętami oprócz psów, myszy i małp.

- Ciekawe. Czy trafnie podsumuję pańskie zamierzenia, jeśli powiem, że ubiega się pan o fundusze na budowę zoo w kosmosie?

Wybuch śmiechu na sali wydatnie przyczynił się do pogrzebania projektu. Przyczynił się również, z czego senator Steelman teraz zdał sobie sprawę, do pogrzebania jego samego.

Sam był sobie winien, dr Harkness usiłował bowiem, jakkolwiek nieporadnie, przedstawić

wszelkie dobrodziejstwa, jakie mogłoby dać laboratorium kosmiczne. Kładł szczególny

nacisk na aspekty medyczne; niczego nie obiecując, wskazywał jedynie na pewne możliwości

w tej dziedzinie. Chirurgia, jak sądził, może wypracować nowe techniki, uwarunkowane

nieważnością organów; ludzie mogliby dłużej żyć, pozbywszy się balastu grawitacji,

poważnie bowiem zmniejszy się obciążenie serca i mięśni. Tak, wspomniał i o sercu; lecz nie

obeszło to wówczas senatora Steelmana - zdrowego, ambitnego, żadnego rozgłosu...

- Po co mi pan to mówi? - spytał tępo. - Czemu nie dacie mi umrzeć w spokoju?

- O to właśnie chodzi - odparł zniecierpliwiony Harkness. - Nie trzeba tracić nadziei.

- Tylko dlatego, że Rosjanom udało się wyleczyć parę chomików i królików?

- Dokonali znacznie więcej. Artykuł, który panu pokazywałem, podaje tylko wstępne wyniki sprzed roku, a zatem nieaktualne. Nie chcą wzbudzać płonnych nadziei, więc nie robią wokół tych badań dużo szumu.

- Widzę, że jest pan znakomicie poinformowany.

Harkness nie ukrył zaskoczenia.

- Owszem, skontaktowałem się z profesorem Stanukowiczem, moim odpowiednikiem.

Okazało się, że sam był na Stacji Miecznikowa, co tylko świadczy, jak ogromną wagę przykładają do tych prac. Jest moim starym przyjacielem, pozwoliłem więc sobie wspomnieć mu o pańskim przypadku.

Zaświtanie promyka nadziei po długiej ciemności może być tak bolesne, jak jego zgaśnięcie. Steelman nie mógł złapać tchu i przez koszmarną chwilę zdawało mu się, że oto nadszedł ostatni atak. Ale było to tylko podniecenie; ucisk w klatce piersiowej zelżał, ustało dzwonięcie w uszach i już z powrotem usłyszał głos doktora Harknessa: "Pytał, czy może pan natychmiast przyjechać do Astrogradu; powiedziałem mu, że sam o to pana zapytam. Jeśli się pan zdecyduje, samolot odlatuje z Nowego Jorku jutro rano o dziesiątej trzydzieści".

Obiecał jutro zabrać dzieci do zoo; po raz pierwszy sprawiłby im zawód. Ta myśl dźgnęła go poczuciem winy i trzeba było niemal wysiłku woli, by odpowiedzieć: "Jadę".

Nie udało mu się obejrzeć ani kawałka Moskwy w ciągu tych kilku minut potężnego opadania interkontynentalnego odrzutowca ze stratosfery. Ekran widokowy wyłączono podczas lądowania, wrażenie pędzącej ku górze ziemi bowiem, gdy odrzutowiec pionowo schodził na silnikach powstrzymujących, było dla pasażerów trudne do zniesienia.

W Moskwie przesiadł się do komfortowego, choć staroświeckiego turbośmigłowca i gdy już leciał na wschód w kierunku północy, wykorzystał pierwszą od dłuższego czasu sposobność na refleksję. Zadał sobie bardzo dziwne pytanie, czy w sumie jest zadowolony z tego, że przyszłość już nie jest całkowicie przesądzona? Jego życie, które jeszcze kilka godzin temu zdawało się takie proste, raptem znowu się skomplikowało, oferując mu powtórnie możliwości, które dopiero co nauczył się ignorować. Świętą rację miał Samuel Johnson twierdząc, iż nic cudowniej nie koi duszy człowieka niż świadomość, że rano zawiśnie na

szubienicy. Odwrotna sytuacja bowiem jest niewątpliwie przygnębiająca - nie ma nic bardziej niepokojącego niż myśl o odroczeniu wyroku.

Spał sobie w najlepsze podczas lądowania w Astrogradzie, kosmicznej stolicy ZSRR. Gdy delikatny wstrząs przy zetknięciu z ziemią obudził go ze snu, przez chwilę nie mógł się zorientować, gdzie jest. Czy śniło mu się, że leci przez pół ziemskiego globu w poszukiwaniu życia? Nie; nie był to co prawda sen, choć jawa mogła okazać się wyprawą po gruszki na wierzbie.

Dwanaście godzin później wciąż oczekiwał na odpowiedź. Odczytano już ostatnie wskazania aparatury diagnostycznej. Świetliki na monitorze kardiografu zakończyły swój złowróżbny taniec. Znajoma rutyna badań lekarskich oraz łagodne, kompetentne głosy lekarzy i pielęgniarek zbawiennie podziały na jego samopoczucie. Siedział teraz, całkiem odprężony, w przytulnie oświetlonej poczekalni, gdzie na prośbę specjalistów miał poczekać na wynik konsylium. Jedyne rosyjskie czasopisma i portrety bujnie zarośniętych pionierów radzieckiej medycyny przypominały mu, że nie jest już u siebie w kraju.

Nie był jedynym pacjentem. Kilkunastu mężczyzn i parę kobiet w różnym wieku siedziało pod ścianą, przeglądając czasopisma i skrzętnie ukrywając wszelkie oznaki zaniepokojenia. Nikt nie próbował nawiązać rozmowy ani szukać wzroku innych. Każda duszyczka w tej poczekalni tkwiła pogrążona w swej osobistej otchłani, zawieszona między życiem i śmiercią. Choć łączyła je wspólna niedola, związek ów nie utwierdzał się potrzebą wzajemnego porozumienia. Każdy zdawał się być tak dalece oddzielony od reszty ludzkiej rasy, jakby już gnał w bezmiar kosmosu, gdzie tliła się iskierka nadziei.

Wyjątek stanowiła młoda para - nie dałby im więcej niż po dwadzieścia pięć lat - w przeciwległym rogu poczekalni. Tulili się do siebie w tak beznadziejnej rozpacz, że ich widok zrazu Steelmana rozdrażnił. Nawet w najcięższej niedoli, surowo wyrokował w

myślach, nie wolno lekceważyć bliźnich. Powinni być bardziej powściągliwi w okazywaniu uczuć - zwłaszcza w takim miejscu jak to, gdzie łatwo przygnębić innych.

Jego irytacja szybko jednak ustąpiła miejsca współczuciu, niczyje serce bowiem nie pozostanie na długo niewzruszone w obliczu prostej, bezinteresownej miłości poddanej ciężkiej próbie. Wraz z upływem minut w ciszy, którą mącił tylko szelest papieru i skrzypienie krzesel, współczucie przeradzało się już u niego niemal w obsesję.

Próbował odgadnąć dzieje tych dwojga. Chłopiec miał subtelne, inteligentne rysy; mógł być plastykiem, naukowcem, muzykiem - trudno określić. Dziewczyna była w ciąży. Miała pospolitą, wiejską twarz, niczym nie wyróżniającą się spośród tłumu innych Rosjanek. Nie grzeszyła urodą, ale rozpacz i miłość przydały jej rysom promiennego wdzięku. Steelman nie mógł oderwać od niej oczu - gdyż było w niej coś, co mimo braku najmniejszego fizycznego podobieństwa przypominało mu Dianę. Przed trzydziestu laty, gdy wychodzili razem z kościoła, widział ten sam blask w oczach swojej żony. Mało brakowało, a zupełnie by o nim zapomniał. Czy to jego, czy może jej wina, że tak prędko zgasł?

Raptem, bez żadnego ostrzeżenia, poczuł, jak zadrżał pod nim fotel. Gwałtowny wstrząs przemknął nagle przez cały budynek, jakby gdzieś w oddali gigantyczny młot z ogromną siłą uderzył w ziemię. Trzęsienie ziemi? Chyba nie; wreszcie przypomniał sobie, gdzie jest, i jął odliczać sekundy.

Dał sobie spokój, kiedy doszedł do sześćdziesięciu; widocznie dźwiękoszczelność budynku była tak doskonała, że powolniejszy, przenoszony powietrzem hałas już do niego nie docierał, tylko fala uderzeniowa przez ziemię dawała znać, że tysiąc ton właśnie podskoczyło ku niebu.

Po upływie minuty usłyszał daleki, lecz wyraźny grzmot, jakby pod samym sklepieniem ziemi szalała burza z piorunami, o wiele mil dalej, niż sięgała jego wyobraźnia; nie do pojęcia musiał być hałas przy samej wyrzutni.

Ale wiedział, że odgłosy te nie dadzą mu się we znaki, gdy już wzniesie się w przestworza; pędząca rakietą pozostawi je daleko za sobą. Potężne przyspieszenie nie targnie jego ciałem, beztrosko zanurzonym w wannie z ciepłą wodą, gdzie będzie mu nawet wygodniej niż w tym miękkim, głębokim fotelu.

Dalekie pomruki z krańca kosmosu jeszcze nie przebrzmiały, gdy drzwi poczekalni otworzyły się i pielęgniarka skinęła na niego. Chociaż czuł, że odprowadzają go spojrzenia wielu oczu, nie obejrzał się za siebie, gdy wychodził, by usłyszeć wyrok.

Dziennikarze starali się połączyć z nim całą drogę powrotną z Moskwy, ale nie godził się na rozmowy.

- Proszę mówić, że śpię i nie wolno mi przeszkadzać pouczył stewardessę. Zastanawiał się, kto ich uprzedził, rozdrażniony, że jego osobiste sprawy nabierają rozgłosu. A przecież przez całe lata poświęcał życie osobiste na rzecz rozgłosu, i zaledwie od kilku tygodni nauczył się je cenić. Trudno przeto winić dziennikarzy i komentatorów, jeśli wyszli z założenia, że wrócił do normy.

Osaczyli go, jak tylko odrzutowiec wylądował w Waszyngtonie. Znał nazwiska większości z nich, niektórzy byli jego starymi przyjaciółmi, szczerze uradowanymi nowiną, która wyprzedziła jego przylot.

- Panie senatorze - zaczął Macauley z "Timesa". - Jak się pan czuje z powrotem w siodle?

Ufam, że to prawda Rosjanie mogą pana wyleczyć?

- Nie w y k l u c z a j ą takiej możliwości - odparł powściągliwie. - To zupełnie nowa dziedzina medycyny i na obietnice jeszcze za wcześnie.

- Kiedy leci pan w kosmos?

- Jeszcze w tym tygodniu, jak tylko uporam się z paroma pilnymi sprawami.

- A kiedy pan wraca - jeśli wszystko się uda?

- Trudno powiedzieć. Nawet jeśli wszystko pójdzie gładko, posiedzę tam w górze co najmniej pół roku.

Odruchowo spojrział w niebo. O świcie czy zmierzchu nawet w ciągu dnia, trzeba tylko wiedzieć, gdzie patrzeć. Stacja Miecznikowa przedstawiała wspaniały widok, świecąc jaśniej niż wszystkie gwiazdy. Ale to samo odnosiło się do tylu innych satelitów, że tylko znawca potrafił je rozróżnić.

- Pół roku - mówił zatroskany dziennikarz. - To oznacza, że nie stanie pan na starcie w siedemdziesiątym szóstym.

- Ale za to z większymi szansami w 1980 - wtrącił inny. - A co dopiero w 1984! - dodał trzeci, co przyjęto wybuchem śmiechu. Krążyło już wiele dowcipów o roku 1984, który jeszcze nie tak dawno wydawał się daleką przyszłością, a już wkrótce miał być rokiem jak każdy inny... pocieszano się.

Uszy i mikrofony czekały na jego odpowiedź. Gdy tak stał przy schodkach do samolotu, skupiając na sobie uwagę i ciekawość, poczuł, jak dawny zapal rozpała mu krew w żyłach. Cóż to będzie za wspaniały powrót; zstąpi z kosmosu jako nowy człowiek! To okryje go splendorem, któremu nie dorówna żaden inny kandydat; było w tej wizji coś olimpijskiego, niemalże boskiego. Już obmyślał odpowiednie hasła do kampanii wyborczej...

- Dajcie mi jeszcze trochę czasu na decyzję - odpowiedział. - Na razie muszę oswoić się z nową sytuacją. Ale przyrzekam, że wypowiem się na ten temat, nim opuszczę Ziemię.

Nim o p u s z c z ę Z i e m i ę. Kapitalne, dramatyczne sformułowanie. Jeszcze delectował się jego rytmem, gdy dojrzał nadchodzącą od strony budynków lotniska Dianę.

Zdążyła się już zmienić, dotrzymując kroku przemianom, których sam doświadczał. Jej oczy zdradzały nieufność i chłodną rozagę, których nie dostrzegął ledwie dwa dni temu. Mówiły, tak wyraźnie, jak wszelkie słowa: "I wszystko zacznie się od nowa?" Choć dzień był ciepły,

zrobiło mu się nagle zimno, jakby przeziębził się na dalekich syberyjskich równinach.

Za to Joey i Susan, biegnący mu na spotkanie, nie zmienili się wcale. Porwał wnuki na ręce i ukrył twarz w ich włosach, żeby kamery nie odnotowały łez, cisnących mu się do oczu. Gdy tak tuliły się do niego w swej nieklamanej, niewinnej, dziecięcej miłości, już wiedział, jaką podejmie decyzję. Tylko one znały go z tych rzadkich chwil wytchnienia w pogoni za władzą; i właśnie takim muszą go zapamiętać, jeśli chce, żeby w ogóle o nim pamiętały.

- Panie senatorze, ma pan rozmowę panelową - powiedziała sekretarka. - Przełączam na ekran w pańskim gabinecie.

Obrócił fotel w stronę ściany z szarą tablicą. Po chwili ekran rozdzielił się na dwie pionowe części. Na prawej połowie pojawił się widok gabinetu, do złudzenia przypominającego jego własny, oddalonego zaledwie o kilka mil. Ale na lewej...

Profesor Stanukowicz, odziany tylko w szorty i sportowy podkoszulek, unosił się w powietrzu, dobrą stopę powyżej swojego fotela. Kiedy tylko zorientował się, że ma towarzystwo, uchwycił się mocno poręczy, przyciągnął do fotela i przypiął doń pajęczyną pasów. Za plecami miał cały zestaw urządzeń telekomunikacyjnych, a tuż za nimi, Steelman nie miał już co do tego żadnych wątpliwości, ziała otchłan kosmosu.

Pierwszy odezwał się dr Harkness z prawego ekranu.

- Oczekiwaliśmy wiadomości od pana, panie senatorze. Profesor Stanukowicz dał mi znać, że wszystko gotowe.

- Najbliższy statek dostawczy - wtrącił Rosjanin - wylatuje do nas za dwa dni. Wrócę nim na Ziemię, ale mam nadzieję, że się zobaczymy, zanim odleczę ze Stacji.

Mówił nienaturalnie wysokim głosem, co tłumaczyło się rozrzedzoną mieszanką helowotlenową, którą oddychał. Poza tym nie dało się wyczuć żadnego dystansu, jakichkolwiek zakłóceń w odbiorze. Choć Stanukowicz oddalony był o tysiące mil i pędził z szybkością

czterech mil na sekundę, rozmawiali tak, jakby siedzieli w jednym gabinecie. Steelman słyszał nawet cichy furkot silników elektrycznych, dobywający się z rozlokowanych za profesorem stelaży z wyposażeniem.

- Panie profesorze - odparł Steelman - pozwolę sobie zadać panu kilka pytań, zanim się do pana wybiorę.

- Proszę bardzo.

Teraz nie było żadnych wątpliwości, że Stanukowicz jest niezmiernie daleko. Uderzająca różnica czasu dzieliła pytanie od reakcji rozmówcy; stacja niechybnie znajdowała się ponad odwrotną stroną Ziemi.

- Podczas mojej wizyty w Astrogradzie zauważyłem w klinice wielu innych pacjentów.

Ciekaw jestem, co ostatecznie przesądza o tym, którzy z nich polecą na leczenie.

Tym razem przerwa trwała znacznie dłużej, niż wymagało tego ślimacze tempo fal radiowych. Wreszcie Stanukowicz odpowiedział: - Wybieramy tych, rzecz jasna, u których nasza kuracja ma największe szanse powodzenia.

- Ale przecież możecie tylko przyjąć bardzo ograniczoną liczbę pacjentów. Oprócz mnie jest zapewne wielu innych odpowiednich kandydatów.

- Nie bardzo rozumiem, do czego pan zmierza... - przerwał dr Harkness z nieco przesadnym niepokojem.

Steelman utkwiał wzrok w prawym ekranie. Z trudem rozpoznawał w człowieku, który patrzył teraz na niego, tego samego mężczyznę, co wił się, przyszpilony jego pytaniami, zaledwie kilka lat temu. Doświadczenie go zahartowało, udzieliło chrztu ogniowego w politycznej sztuce. Wiele nauczył się od samego Steelmana i nie omieszkął zastosować tej mozolnie zdobytej wiedzy.

Motywy jego postępowania były przejrzyste od samego początku. Harkness nie byłby

człowiekiem, gdyby nie upajał się tą najśłodszą zemstą, tym najdobitniejszym potwierdzeniem słuszności swej wiary. A jako dyrektor Narodowego Zarządu Kosmicznego świetnie zdawał sobie sprawę, że będzie miał z głowy połowę debat budżetowych, kiedy świat obiegnie wieść, że potencjalny prezydent Stanów Zjednoczonych kurował się w radzieckim szpitalu kosmicznym... bo jego własny kraj nie zafundował sobie podobnego.

- Panie doktorze - powiedział spokojnie Steelman - to moja osobista sprawa. Nadal czekam na pańską odpowiedź, profesorze.

Mimo powagi sytuacji był w świetnym humorze. Obaj ~uczeni niewątpliwie grali o te same stawki. Stanukowiczowi też nie brakowało kłopotów; Steelman domyślał się, o czym dyskutowano w Astrogradzie i Moskwie, i z jaką gorliwością radzieccy astronauta chwycili się tej wybornej sposobności - na którą, trzeba przyznać, uczciwie sobie zasłużyli.

Wytworzył się zaiste osobliwy układ, nie do pomyślenia jeszcze kilkanaście lat temu. Oto NASA i Komisja Astronautyki ZSRR współdziałały ręką w rękę, posługując się nim jako pionkiem dla obopólnych korzyści. Nie miał im tego za złe, bo na ich miejscu robiłby dokładnie to samo. Ale też nie miał ochoty być pionkiem w ich grze. Był wolnym człowiekiem, który nie utracił jeszcze panowania nad swym własnym losem.

- Ma pan zupełną rację - rzekł Stanukowicz, wyraźnie zbity z tropu. - Istotnie, możemy przyjąć tu na Miecznikowie niewielu pacjentów. Stacja jest wszakże naszym laboratorium badawczym, a nie szpitalem.

- Ilu? - naciskał Steelman.

- Powiedzmy... mniej niż dziesięciu - przyznał Stanukowicz, jeszcze bardziej zmieszany.

Znał ten problem od dawna, rzecz jasna, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, że dotknie jego samego. Z zakamarków pamięci wydobyl wiadomość z gazety, na którą natknął się przed laty. Gdy odkryto penicylinę, było jej tak niewiele, że gdyby zarówno Churchill, jak i

Roosevelt mieli umrzeć z jej braku, tylko jednemu można było pomóc...

Mniej niż dziesięciu. Wszak widział dwunastu oczekujących w Astrogradzie, a ilu ich było na całym świecie? Jak wielokroć w ciągu ostatnich kilku dni, w pamięci stanął mu natarczywy obraz zrozpaczonej pary zakochanych w poczekalni. Być może na nic im się nie zda jego poświęcenie; i tak nigdy się nie dowie.

Ale jedno wiedział na pewno. Dźwigał na sobie odpowiedzialność, z której nic nie mogło go zwolnić. Owszem, nie ma człowieka zdolnego przewidzieć przyszłość i niezliczone konsekwencje swych poczynań. Lecz gdyby nie on, jego kraj posiadałby teraz własny, krążący poza atmosferą szpital kosmiczny. Ilu przedwcześnie zmarłych Amerykanów miał na sumieniu? Czy wolno mu przyjąć pomoc, której innych pozbawił? Kiedyś może tak by postąpił - ale nie teraz.

- Panowie - zaczął - będę z wami szczery, bo wiem, że jednoczy was wspólna troska.

(Dostrzegł, że ta subtelna ironia została zauważona.) - W pełni doceniam waszą pomoc i podjęte wysiłki; tym bardziej mi przykro, że wasz trud poszedł na marne. Nie, nie - wiem, co mówię; to nie chwilowy przypływ donkiszoterii. Gdybym był o dziesięć lat młodszy, może postąpiłbym inaczej. Dzisiaj sędzę, że tę szansę należy dać komuś innemu, zwłaszcza po tym, jak przysłużyłem się sprawie w przeszłości. - Spojrzał na Harknessa, który odpowiedział niepewnym uśmiechem. - Mam także inne, osobiste powody i nic mnie już nie skłoni do zmiany decyzji. Nie bierzcie mi tego za złe, panowie, ale to wszystko, co mam do powiedzenia. Jeszcze raz serdecznie dziękuję; żegnam panów.

Przerwał połączenie. Gdy zanikał obraz dwóch osłupiałych naukowców, błogi spokój zagościł ponownie w jego sercu.

Niepostrzeżenie wiosna przeszła w lato. Z niecierpliwością oczekiwane obchody dwóchsetlecia przeminęły jak z bicia trząś; po raz pierwszy od niepamiętnych czasów miał

okazję święcić Dzień Niepodległości jako prywatna osoba. Mógł beztrudno siedzieć na widowni i obserwować popisy jednych, a bagatelizować innych, wedle własnego widzimisię. Ulegając nawykowi całego życia, a także dlatego, że nadarzała się nie lada sposobność ujrzenia wielu starych przyjaciół, godzinami oglądał wystąpienia obu partii i słuchał komentarzy. Teraz, kiedy wszystko na tym świecie widział poprzez pryzmat wieczności, odbierał to bez żadnych emocji; owszem, rozumiał poruszane kwestie, potrafił docenić argumenty, ale już zachowywał dystans, niczym obserwator z innej planety. Drobne, rozkrzyczane ludziki na ekranie były zabawnymi marionetkami, odgrywającymi role w sztuce, choćby nawet zajmującej, to jednak błażej - przynajmniej dla niego.

Ale nie była ona bynajmniej błaża dla jego wnuków, które pewnego dnia wkroczą na tę samą scenę. O tym nie zapomniał; były jego udziałem w przyszłości, choćby przybrała najosobliwszą formę. A żeby zrozumieć przyszłość, należy znać przeszłość.

Właśnie wybrał się z nimi na wycieczkę w przeszłość. Jechali samochodem przez Memorial Drive - Diana za kierownicą, przy niej Irena, a on razem z dziećmi na tylnym siedzeniu, jako ich przewodnik po znanych zabytkach. Znanych jemu, ale nie im; nawet jeśli nie dorosły, by zrozumieć wszystko, co widzą, miał nadzieję, że będą pamiętały.

Minąwszy marmurowy spokój Arlingtonu (znów wspominał Martina, spoczywającego po drugiej stronie świata), samochód bez wysiłku piął się pod górę. Daleko w tyle, jak miasto z pustynnego mirażu, drżał i płąsał w rozpalonym letnim powietrzu Waszyngton, póki nie zniknął im z oczu za zakrętem szosy.

Cisza panowała też w Mount Vernon. Niewielu turystów przyjeżdżało tu z początkiem tygodnia. Kiedy wysiedli z auta i podchodzili do tego historycznego domu, Steelman zastanawiał się, co też pomyślałby sobie pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych, gdyby mógł dziś ujrzeć swoją siedzibę. Pewnie nie przypuszczał w najśmielszych marzeniach, że

dom wejdzie w swój drugi wiek wspaniale zachowany, jak niezniszczalna wyspa w rwącej rzece czasu.

Niespiesznie przechadzali się po pokojach o doskonałych proporcjach, nie szczczędając wysiłku, by odpowiedzieć na niezliczone pytania dzieci, i starając się wczuć w klimat niepomernie prostszego, niepomernie spokojniejszego trybu życia. (Ale czy zdawało się równie proste i spokojne tym, którzy wówczas żyli?) Trudno wyobrazić sobie życie bez elektryczności, bez radia, bez żadnych źródeł energii prócz mięśni, wiatru i wody. Świat, gdzie nic nie poruszało się szybciej od pędzącego konia i gdzie większość ludzi umierała w promieniu kilku mil od miejsca urodzenia.

Spiekota, chodzenie i nieprzerwany potok pytań zmęczyły Steelmana bardziej, niż przypuszczał. Gdy dotarli do Pokoju Muzyki, postanowił odpocząć. Na werandzie było parę kuszących ławek, gdzie mógł posiedzieć i nacieszyć wzrok pyszną zielenią trawnika.

- Poczekam na zewnątrz - wyjaśnił Dianie - a wy idźcie jeszcze zwiedzić kuchnię i stajnię. Chciałbym usiąść na chwilę.

- Na pewno nic ci nie jest? - spytała zaniepokojona.

- Nigdy nie czułem się lepiej, ale nie chcę przesadzić. Poza tym dzieciaki już wycisnęły ze mnie wszystko. Więcej odpowiedzi już nie wymyślę. Teraz ty masz pole do popisu; zresztą kuchnia to przecież twój departament.

Diana uśmiechnęła się.

- Nie powiesz chyba, że mam wielkie zasługi w tej dziedzinie. Ale zrobię, co się da - sędzę, że uwiniemy się w pół godziny.

Kiedy został sam, wyszedł na trawnik. Tu niechybnie stał przed dwoma wiekami

Waszyngton i patrzył, jak Potomak toczy swe wody ku morzu, rozmyślając o zakończonych wojnach i przyszłych problemach. I tu również za kilka miesięcy mógłby stać Martin

Steelman, trzydziesty ósmy prezydent Stanów Zjednoczonych, gdyby los nie zdecydował inaczej.

Nie udawał przed sobą, że nie doznaje poczucia krzywdy, ale zdążył już pogodzić się z losem. Niektórzy potrafili zdobyć i władzę, i szczęście, lecz jemu to nie było sądzone. Prędzej czy później zżarłaby go własna ambicja. Ostatnie tygodnie przyniosły mu ukojenie, a za to żadna cena nie jest zbyt wygórowana.

Dumał nad dobrodziejstwami swej odważnej ucieczki, gdy przyszedł na niego czas i śmierć miękko opadła z letniego nieba.

Wpadka

- Nie notujemy na Marsie wielu przestępstw - powiedział nie bez żalu inspektor Rawlings. - Szczerze mówiąc, głównie dlatego wracam do Scotland Yardu. Gdybym tu posiedział dłużej, wyszedłbym zupełnie z wprawy.

Siedzieliśmy w głównym hallu obserwacyjnym Kosmoportu Phobos, z którego rozciągał się widok na poszarpane, spieczone słońcem skały tego maleńkiego księżyca. Prom raketowy, którym przylecieliśmy tutaj z Marsa przed dziesięcioma minutami, już opadał powoli w powrotnym kursie na zawieszony w dali na tle gwiazd glob w odcieniu ochry. Za pół godziny mieliśmy wejść na pokład transplanetowca odlatującego na Ziemię - świat, którego większość pasażerów nie widziała na oczy, ale który mimo to nazywała "domem".

- A jednak - ciągnął inspektor - od czasu do czasu zdarzy się parę spraw, dla których warto żyć. Pan jest handlarzem dziełami sztuki, panie Maccar; zapewne więc znany jest panu ten głośny przypadek w mieście Południk sprzed dwóch miesięcy.

- Nie przypominam sobie - odrzekł niski, pulchny jegomość o śniadej cerze, którego wziąłem za jednego z powracających turystów. Widać inspektor nie omieszkał sprawdzić listy pasażerów; ciekaw byłem, czego zdążył się dowiedzieć o mnie, i próbowałem pocieszyć się, że mam czyste - powiedzmy, prawie czyste - sumienie. Każdy przecież przemycił jakiś drobiazg przez marsjańską kontrolę celną....

- Sprawę dość umiejętnie zatuszowano - wyjaśniał inspektor - ale prędzej czy później i tak wszystko wychodzi na jaw. Otóż pewien złodziejaszek z Ziemi połakomił się na najcenniejszy skarb muzeum Południka - Boginkę Syrenę.

- Ależ to czyste wariactwo! - wtrąciłem z niedowierzaniem. - Jest bezcenna, zgoda - ale przecież to tylko kawałek piaskowca. A nikt się nie odważy jej sprzedać w całości równie dobrze można by ukraść Monę Lisę.

Inspektor uśmiechnął się pobłaźliwie. - I to się już raz zdarzyło. Być może motyw był ten sam. Są kolekcjonerzy, którzy gotowi są dać fortunę za taki okaz, choćby do końca życia nie mogli pochwalić się swym nabytkiem. Czy zgodzi się pan ze mną, panie Maccar?

- Święta prawda. W moim zawodzie człowiek ma do czynienia z maniakami wszelkiej maści.

- Właśnie ten facet - nazywa się Danny Weaver dostał zdrową dolę od jednego z takich maniaków. I gdyby nie nadzwyczaj niepomyślny dlań zbieg okoliczności, uszedłby z łupem.

Megafony przeproszały za dalsze nieznaczne opóźnienie spowodowane kontrolą paliwa i prosiły niektórych pasażerów o zgłoszenie się do informacji. Gdy oczekiwaliśmy na zakończenie ogłoszeń, usiłowałem pozbierać w pamięci mój nader skąpy zasób wiadomości o Bogince Syrenie. Choć nie widziałem oryginału, w bagażu miałem, podobnie jak większość powracających turystów, dokładną kopię opatrzoną certyfikatem Marsjańskiego Urzędu Sztuki, gwarantującym, że "ta naturalnej wielkości reprodukcja jest wierną kopią tak zwanej Boginki Syreny, odkrytej w Mare Sirenium przez Trzecią Ekspedycję, A.D. 2012 (A.M. 23)".

Aż dziw, że taki drobiazg był powodem tylu kontrowersji. Marnych osiem czy dziewięć cali wysokości - w muzeum na Ziemi nikt by na to dwa razy nie spojrział. Głowa młodej kobiety o nieco orientalnych rysach, wyciągniętych płatkach uszu, włosach skręconych w gęste, drobne loczki przylegające do czaszki, na wpół rozchylonych ustach wyrażających ni to rozkosz, ni to zdumienie - i to wszystko. Jednakże tajemnica pochodzenia posążka pozostaje na tyle niejasna, by natchnąć sto sekt religijnych i zapędzić grono szacownych archeologów do domu wariatów. Nieomylnie ludzka głowa nie miała racji bytu na Marsie, którego jedynymi inteligentnymi mieszkańcami były skorupiaki - "uczone homary", jak z lubością nazywa je prasa. Rdzennym Marsjanom daleko było jeszcze do rozpoczęcia lotów kosmicznych, a zresztą cywilizacja ich wymarła, nim na Ziemi pojawił się człowiek. Toteż nic dziwnego, że Boginka jest zagadką numer jeden układu słonecznego; nie sądzę, by udało nam się rozwiązać

ją za mojego żywota - jeśli nie pozostanie tajemnicą po wsze czasy.

- Danny obmyślił cudownie prosty plan działania - kontynuował inspektor. - Panowie wiedzą, jak doszczętnie zamiera życie marsjańskiego miasta w niedzielę, kiedy wszystko się zamyka na dziesięć spustów, a koloniści siedzą w domach i oglądają program telewizyjny z Ziemi. Właśnie na to liczył nasz Danny, gdy w piątek późnym popołudniem zameldował się w hotelu w Południku Zachodnim. Miał całą sobotę na rozpoznanie Muzeum, bezludną niedzielę na samą robotę, a w poniedziałek rano dołączyłby do tłumu innych turystów opuszczających miasto...

W sobotę rano przeszedł spokojnie przez niewielki park i wkroczył na teren Południka Wschodniego, gdzie znajduje się Muzeum. Nie wiem, czy panowie się orientują, że miasto zawdzięcza swą nazwę dokładnemu położeniu na sto osiemdziesiątym stopniu długości geograficznej. W parku leży potężny kamień z wyrytym południkiem zerowym, żeby turyści mogli fotografować się stojąc jednocześnie na dwóch półkulach. Zdumiewające, jakie błahe rzeczy ludzi cieszą.

Danny poświęcił dzień na zwiedzanie Muzeum, dokładnie tak jak pierwszy lepszy turysta, zdecydowany skorzystać jak najwięcej za cenę biletu. Ale gdy zamykano Muzeum, pozostał w środku; skrył się w jednej z galerii zamkniętych dla zwiedzających, gdzie przygotowywano rekonstrukcję Późnej Epoki Kanałowej, ale z braku funduszy prac nie ukończono. W ukryciu pozostał do północy, na wypadek gdyby w budynku zasiedzieli się do późna jacyś gorliwi naukowcy. Po północy wyszedł z kryjówki i zabrał się do dzieła.

- Chwileczkę - wtrąciłem. - A gdzie był nocny stróż? Pytanie moje rozbawiło inspektora.

- Mój drogi! Takie zbytki są na Marsie całkowicie zbędne. Nie zainstalowano nawet systemu alarmowego, komuż bowiem przyszłoby do głowy kraść kawałki piaskowca? Owszem, '

Boginka była starannie zabezpieczona w mocnej gablocie z metalu i szkła przed

niefrasobliwymi zbieraczami pamiątek, ale nawet gdyby została skradziona, złodziej nie miałby gdzie się skryć, a ponadto rewidowano by wszystkich odjeżdżających podróżnych od chwili zniknięcia statuetki.

Inspektor miał rację. Myślałem kategoriami ziemskimi i na śmierć zapomniałem, że każde miasto na Marsie stanowi odrębny światek ograniczony sztucznie wzbudzonym polem, chroniącym go przed mrozem niemal doskonałej próżni. Poza tymi elektronicznymi osłonami zieje bezwzględnie wroga pustka Marsjańskiego Interioru, gdzie człowiek nie przeżyje kilku sekund bez zabezpieczenia. Dzięki temu utrzymanie ładu i porządku nie stanowi poważnego problemu; nic dziwnego, że Mars szczyli się niską przestępczością...

- Danny miał przy sobie wspinały zestaw narzędzi, nie ustępujących precyzją zegarmistrzowskim. Najistotniejszą jego częścią była mikropiła, nie większa niż lutownica; miała cienkie jak bibuła ostrze, poruszane z prędkością miliona obrotów na sekundę przez zasilacz ultradźwiękowy. Cięła szkło lub metal jak masło - i pozostawiała rysę nie szerszą niż włoski. Co miało niebagatelne znaczenie, Danny bowiem nie chciał pozostawić najmniejszych śladów po swej koronkowej robocie.

Domyślają się panowie zapewne, jaki miał plan działania. Chciał przeciąć podstawę gabloty, by podmienić jedną z owych pamiątkowych replik na oryginalną Boginkę. Niewykluczone, że dopiero po paru latach jakiś nader dociekliwy ekspert dokonałby przerażającego odkrycia; dużo wcześniej jednak oryginał powędrowałby na Ziemię, doskonale zamaskowany jako swoja własna kopia, i do tego z oficjalnym potwierdzeniem autentyczności. Majstersztyk, panowie, szkoda gadać.

Czuł się biedaczyna trochę nieswojo, pracując w tej mrocznej galerii pośród liczących miliony lat rzeźb i wszelkich innych tworów nie wyjaśnionego pochodzenia. Muzea na Ziemi też nie należą do najprzytulniejszych miejsc w nocy, ale przynajmniej są - ludzkie. A w

Trzeciej Galerii, która jest przybytkiem Boginki, ogarnia człowieka szczególnie niepokój. Pełno tam płaskorzeźb ukazujących zmagające się ze sobą niesamowite zwierzęta; przypominają potężne chrząszcze, i większość paleontologów wyklucza, by kiedykolwiek żyły naprawdę. Wybryk natury czy też wyobraźni, należały wszak do tego świata i mniej niepokoiły Danny'ego niż Boginka, która patrzyła nań z perspektywy wieków, rzucając mu wyzwanie, by wyjaśnił nieprzeniknioną tajemnicę jej istnienia. Przejmowała go dreszczem. Skąd wiem? Sam mi powiedział.

Danny zabrał się do cięcia gablotki z ostrożnością szlifierza diamentów szykującego się do przecięcia drogiego kamienia. Wycięcie drzwiczek gabloty trwało bez mała całą noc. Zaczynało świtać, gdy wreszcie wytchnął i odłożył piłę. Zostało jeszcze dużo do zrobienia, ale najcięższe miał już za sobą. Włożenie kopii do gabloty, sprawdzenie jej wyglądu w porównaniu ze zdjęciami, które przezornie zabrał ze sobą, i wreszcie zatarcie śladów mogło potrwać niemal całą niedzielę, ale nie widział najmniejszych powodów do obaw. Miał przed sobą pełne dwadzieścia cztery godziny, by w poniedziałek z radością powitać pierwszych zwiedzających, zmieszać się z nimi i wyjść jakby nigdy nic.

Wyobraźcie sobie zatem, panowie, jaki przeżył wstrząs, gdy oto główne drzwi otworzyły się z hałasem o ósmej trzydzieści i cała, licząca sześć osób, obsługa muzeum rozpoczęła przygotowania do przyjęcia pierwszych turystów. Danny rzucił się do awaryjnego wyjścia, pozostawiając wszystko na miejscu zbrodni - narzędzia, Boginkę, cały majdan. Kolejna niespodzianka czekała go na ulicy; przecież miała być do cna wyludniona, a mieszkańcy winni o tej porze siedzieć w domu i czytać niedzielne gazety. Tymczasem wybiegł prosto na tłum obywateli Południka Wschodniego, spieszących do fabryk i biur jak w każdy powszedni dzień tygodnia.

Gdy biedak dotarł do hotelu, już tam na niego czekaliśmy. Nie poczytujemy sobie tego za

nadzwyczajne osiągnięcie; trudno nie wydedukować, iż tylko przybysz z Ziemi - i to całkiem świeży - mógł przeoczyć główny tytuł do sławy miasta Południk. Nie wątpię, iż panowie wiedzą, o co mi chodzi.

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia - odparłem. - Nie da się zwiedzić całego Marsa w ciągu sześciu zaledwie miesięcy, a ja nie dotarłem dalej niż do Syrtis Major.

- Sprawa jest doprawdy dziecinnie prosta, ale bądźmy wyrozumiali dla Danny'ego; sami mieszkańcy miasta niekiedy wpadają w tę pułapkę. Na Ziemi pozbyliśmy się raz na zawsze kłopotu, utopiwszy południk po prostu w Pacyfiku. Ale na Marsie, jak wiadomo, wody nie uświadczysz, co oznacza, że ktoś przecież musi mieszkać na Międzynarodowej Linii Podziału Czasu...

Danny miał bazę wypadową w Południku Zachodnim. Tam, owszem, trwała w najlepsze niedziela - w tę feralną niedzielę też powrócił Danny do swego hotelu, by wpaść w nasze ręce. Lecz w Południku Wschodnim, ledwie pół mili dalej, była jeszcze sobota. Ten niewinny spacerek przez park pomieszał mu szyki. Jak pech, to pech.

Po chwili milczącego współczucia spytałem:

- Ile dostał?

- Trzy lata - odpowiedział inspektor Rawlings.

- Dość łagodny wyrok.

- Trzy lata marsowe; to prawie tyle co sześć naszych. I dosłownie astronomiczną grzywnę, która równa jest - cóż za dziwny zbieg okoliczności! - kosztom nie wykorzystanego biletu na Ziemię. Nie poszedł, rzecz jasna, do więzienia. Marsa nie stać na taki nieproduktywny luksus.

Danny musi pracować na życie, pod dyskretną kuratelą. Jak wspomniałem, Muzeum Południka nie mogło sobie pozwolić na zatrudnienie nocnego stróża. Otóż teraz już go mają.

Zagadka dla panów: kto nim jest?

- Wszyscy pasażerowie proszeni są o przygotowanie się do wejścia na pokład za dziesięć minut i odebranie bagażu podręcznego - zapowiedziały megafony.

Gdy przechodziliśmy do służby powietrznej, zadałem z ciekawości jeszcze jedno pytanie inspektorowi.

- A co się stało z ludźmi, dla których Danny zrobił ten skok? W grę wchodziła przecież gruba forsa. Złapaliście ich? - Jeszcze nie. Skrętnie zatarli za sobą wszelkie ślady i mam wrażenie, iż Danny nie kłamał, zaklinając się na wszystkie świętości, że nie potrafi nam pomóc. Tak czy owak, to już nie moja sprawa; jak panom mówiłem, wracam na stare śmieci do Yardu. Ale policjant ma zawsze oczy otwarte - jak handlarz dziełami sztuki, nieprawdaż, panie Maccar? Cóż to? Widzę po pańskiej twarzy, że niezbyt dobrze znosi pan podróż. Służę tabletką na chorobę kosmiczną.

- Nie, dziękuję - odpowiedział pan Maccar. - Nic mi nie jest.

Jego ton był wyraźnie nieprzyjazny; temperatura towarzyska w ciągu ostatnich kilku minut spadła poniżej zera. Spojrzałem na pana Maccara, potem na inspektora. I wtem zrozumiałem, że czeka nas nader interesująca podróż.

Niedoszły raj

- Mam wrażenie - powiedział Jerry Garfield wyłączając silniki - że to już koniec przejażdżki.

- Z cichym westchnieniem zamilkły umieszczone pod kadłubem silniki odrzutowe.

Pozbawiony poduszki powietrznej łazik Don Gruchot osiadł na pofałdowanych skałach Płaskowyżu Wenusjańskiego.

O dalszej drodze naprzód nie było mowy; ani na gąsienicach, ani na odrzutowych silnikach nie zdołałby S5 - bo tak oficjalnie zwał się Don Gruchot - wspiąć się na pionową skarpe, która piętrzyła się przed nimi. Ledwie trzydzieści mil dzieliło ich od bieguna południowego Wenus, lecz w tej sytuacji cel wyprawy przeniósł się jakby na inną planetę. Nie mieli wyboru,

czekał ich powrót tą samą czterystumilową trasą przez krajobraz z sennego koszmaru.

Pogoda była wspaniała, widoczność na bez mała tysiąc jardów. Poradzą sobie bez radaru ostrzegającego przed skalnymi przeszkodami; choć raz wystarczała obserwacja gołym okiem.

Zielonkawe, jutrenkowe światło, prześwitujące przez chmury, które kłębiły się bezustannie od miliona lat, sprawiało wrażenie, że przebywają w podwodnym świecie. Łatwo było chwilami ulec złudzeniu, że jadać po dnie płytkiego morza, a Jerry'emu przywidziały się kilka razy przepływające mu nad głową rybki.

- Mam połączyć się ze statkiem i zameldować, że wracamy? - spytał.

- Jeszcze nie - powiedział dr Hutchins. - Muszę się zastanowić.

Jerry spojrzał wyczekująco na trzeciego członka załogi, ale nie dostrzegł oznak moralnego wsparcia. Coleman był tyle wart co Hutchins; choć kłócili się z byle powodu do upadłego, obaj byli naukowcami, a wobec tego, w ocenie trzeźwo myślącego inżyniera nawigatora, nie całkiem odpowiedzialnymi obywatelami. Jeżeli Cole i Hutch obmyślą genialne sposoby brnięcia naprzód, Jerry nic już nie wskóra, najwyżej wyrazi swój sprzeciw.

Hutchins chodził tam i z powrotem po ciasnej kabinie, przeglądając mapy i aparaturę.

Raptem skierował światło reflektora na skały i jął bacznie się im przyglądać przez lornetę.

Jeszcze tylko tego brakowało, pomyślał Jerry, żeby mi kazał tam wjechać! S5 to poduszkowiec na gąsienicach, a nie kozica górską...

Wtem Hutchins coś dostrzegł. Wstrzymał oddech, potem z hałasem wypuścił powietrze z płuc i zwrócił się do Colemana.

- Popatrz! - powiedział głosem drżącym z podniecenia. - Ciut na lewo od tej czarnej kropki.

Mów, co tam widzisz.

Przekazał lornetę koledze. Teraz z kolei Coleman wyteżył wzrok.

- Niech mnie diabli! - wycedził po dłuższej chwili. Miałeś rację. Na Wenus rzeczywiście są

rzeki. To wyschnięty wodospad.

- Stawiasz mi obiad w Bel Gourmet, jak tylko wrócimy do Cambridge. Z szampanem.

- Nie trzeba mi przypominać. Zresztą nawet tanio liczą sobie za dobre żarcie. Ale i tak nadal uważam, że twoje pozostałe teorie są płodem chorej wyobraźni.

- Chwileczkę - wtrącił się Jerry. - Jakie znowu rzeki i wodospady. Każde dziecko wie, że nie mogą istnieć na Wenus. Przecież ta planeta to jedna wielka łaźnia parowa, gdzie nigdy się na tyle nie oziębia, żeby chmury się skropliły.

- Kiedy ostatni raz spojrzaleś na termometr? - spytał Hutchins ze zwodniczym spokojem.

- Byłem zbyt pochłonięty prowadzeniem naszego krążownika.

- Toteż mam dla ciebie nowinę. Temperatura spadła do dwustu trzydziestu i dalej się obniża.

Pamiętaj - jesteśmy prawie na biegunie, w środku zimy, sześćdziesiąt tysięcy stóp ponad niziną. Wszystko to przyczynia się do wyraźnego ochłodzenia powietrza. Jeśli temperatura obniży się jeszcze o parę stopni, spadnie deszcz. Co prawda woda będzie się gotowała, ale wrzątek to też woda. I chociaż George nie jest jeszcze do końca przekonany, stawia to Wenus w całkowicie innym świetle.

- Dlaczego? - spytał Jerry, mimo że już zdążył się domyślić.

- Tam, gdzie jest woda, może istnieć życie. Zbyt pochopnie zakładaliśmy, że Wenus jest jałową planetą tylko dlatego, że przeciętna temperatura przekracza pięćset stopni. Tutaj jest o wiele chłodniej, i dlatego właśnie tak mi zależało na dotarciu do bieguna. Tam na górze są jeziora, do których muszę dotrzeć.

- Ale jeziora z kipiącą wodą! - upierał się Coleman. Nic tam nie przeżyje!

- Na Ziemi są algi, które znoszą takie warunki. Poza tym historia podboju planet nauczyła nas przynajmniej jednego: gdzie tylko życie ma choć najmniejszą szansę przetrwania, tam je odnajdziesz. A to właśnie jedyna szansa, jaką miało na Wenus.

- Oby ci się udało potwierdzić swoją teorię. Ale sam widzisz - nie pokonamy tej stromizny.

- Może nie autem. Ale chyba uda się nam pieszo wspiąć po tych skałach, nawet w ciężkich termokombinezonach. Wystarczy podejść jeszcze kilka mil w kierunku bieguna; według map radarowych za tym urwiskiem powinien być w miarę równy teren. Wyprawa nie potrwa dłużej niż - no, powiedzmy, dwanaście godzin. Każdy z nas wychodził na dłuższe spacery, i to w znacznie gorszych warunkach.

Nie można było odmówić mu racji. Kombinezony ochronne, które zaprojektowano z myślą o utrzymaniu człowieka przy życiu na wenusjańskich nizinach, będą miały ułatwione zadanie w temperaturze zaledwie o sto stopni przewyższającej żar Doliny Śmierci w pełni lata.

- No cóż - odezwał się Coleman. - Znasz regulamin. Nie wolno ci iść samemu, a jeden z nas musi tu zostać i utrzymywać łączność ze statkiem. Jak załatwimy sprawę tym razem? Szachy czy karty?

- Szachy za długo trwają - odpowiedział Hutchins zwłaszcza kiedy wy dwaj rozgrywacie partię.

Spod stosu map wyciągnął zniszczoną talię kart. - Ciągnij, Jerry.

- Dziesiątka pik. Błagam cię, przebij mnie, George.

- O niczym innym nie marzę. A niech to szlag trafi piątka trefl. Trudno, pozdrówcie ode mnie Wenusjan.

Wbrew zapewnieniom Hutchinsa, wspinaczka okazała się nader uciążliwa. Podejście nie było nawet bardzo strome, ale butle z tlenem, chłodzone kombinezony i aparatura pomiarowa ważyły razem więcej niż po sto funtów. I to na głowę. Niższa grawitacja - o trzynastie procent słabsza niż ziemską - była ledwie odczuwalnym ułatwieniem, gdy mozolnie pięli się po usypiskach, odpoczywali chwilę na skalnych występach, by zaczerpnąć tchu i zaraz brnąć dalej w podwodnym półmroku. Oblewająca ich szmaragdowa poświata jaśniejsza była niż

blask pełni księżycy na Ziemi. Księżyc nie miałby nic do roboty na Wenus, powiedział do siebie Jerry; pozostawałby wiecznie niewidoczny z powierzchni planety, nie władałby wodami oceanów - a nie gasnąca jutrzenka jest i tak znacznie pewniejszym źródłem światła.

Dopiero po przejściu ponad dwóch tysięcy stóp dotarli do miejsca, gdzie stromizna przechodziła w łagodny stok, tu i ówdzie poprzecinany rowkami, najwyraźniej wyłobionymi przez spływającą wodę. Po krótkich poszukiwaniach natrafili na wąwóz, dostatecznie szeroki i głęboki, by zasługiwał na miano koryta rzeki, i ruszyli w dalszą drogę jego brzegiem.

- O jednym chyba nie pomyśleliśmy - odezwał się Jerry, gdy już przeszli kilkaset jardów. -

Co zrobimy, jeżeli z południa nadciągnie nawałnica? Nie mam wielkiej ochoty spływać z falą ukropu.

- Jeżeli zerwie się burza - odpowiedział nieco zniecierpliwiony Hutchins - usłyszymy na czas. Zdamy spokojnie uciec na wyższy teren.

Miał świętą rację, ale Jerry bez większego przekonania szedł dalej łagodnie wznoszącym się korytem. Niepokój jego rósł w miarę oddalania się od krawędzi skalnej skarpy, gdzie stracili łączność radiową z łazikiem. W tych czasach utrata kontaktu ze współplemieńcami była wyjątkowym i przykrym doświadczeniem, którego los mu dotąd oszczędził; nawet na pokładzie Gwiazdy Porannej, gdy znajdowali się w odległości stu milionów mil od Ziemi, mógł w każdej chwili nadać wiadomość do rodziny i za kilka minut dostać odpowiedź. A teraz marnych parę jardów skały odcięło go od reszty ludzkości; gdyby przypadkiem coś im się tu przytrafiło, nikt by się o tym nigdy nie dowiedział, chyba że późniejsza ekspedycja odnalazłaby ich ciała. George będzie czekał do umówionej godziny; potem wróci na statek - sam. Chyba nie nadaję się na pioniera, powiedział sobie w duchu Jerry. Lubię pracować przy skomplikowanych maszynach i dlatego wciągnęły mnie loty kosmiczne. Ale nie zastanawiałem się, dokąd to mnie doprowadzi, a teraz już za późno na zmianę decyzji...

Przeszli około trzech mil w kierunku bieguna meandrami rzecznej koryta, tutaj Hutchins zatrzymał się, by dokonać pomiarów i zebrać próbki. - Dalej się oziębia - zauważył.

Dziewięćdziesiąt dziewięć stopni. To zdecydowanie najniższa temperatura, jaką dotychczas zarejestrowano na Wenus. Jaka szkoda, że nie możemy zawiadomić o tym George'a.

Jerry próbował wszystkich pasm; usiłował nawet nawiązać kontakt ze statkiem - kapryśne wahania w jonosferze planety umożliwiały niekiedy odbiór z dużej odległości - lecz nie wyłowił nawet szeptu fali nośnej z trzasków i huków wenusjańskich wyładowań atmosferycznych.

- Jeszcze lepiej! - oznajmił Hutchins z nie skrywaną radością. - Stężenie tlenu podskoczyło na całego - piętnaście na milion. Przy aucie było tylko pięć, a na nizinie ledwie wykrywalny ułamek.

- Dobrze, ale piętnaście na milion! - upierał się Jerry. Nic nie może tym oddychać!

- Chwyciłeś za zły koniec tego kija - wyjaśniał Hutchins. - Nic tym tlenem nie oddycha. Co go za to wytwarza? A skąd się bierze, mój drogi, tlen na Ziemi? Jest w całości wytworem życia - życia roślinnego. Nim na Ziemi pojawiły się rośliny, nasza atmosfera była dokładnie taka jak tutaj mieszanina dwutlenku węgla, amoniaku i metanu. Potem nastąpił rozkwit życia roślinnego, które przemieniło atmosferę w coś, czym mogły oddychać zwierzęta.

- Rozumiem - powiedział Jerry - i sądzisz, że ten sam proces właśnie się tutaj rozpoczął?

- Na to wygląda. Coś niedaleko stąd wytwarza tlen życie roślinne jest najprostszym wyjaśnieniem.

- A tam, gdzie są rośliny - podjął z zadumą Jerry prędej czy później pojawią się zwierzęta.

- Tak - powiedział Hutchins, pakując sprzęt, by ruszyć dalej w górę wąwozu - choć potrwa to kilkaset milionów lat. Może dotarliśmy tu za wcześnie - oby nie.

- Wszystko pięknie ładnie - odparł Jerry. - Ale co my zrobimy, jeśli natrafimy na coś, co nie

zapalała do nas sympatią? Nie mamy broni.

Hutchins parsknął z pogardą.

- Broń jest zbyteczna. Zastanów się, człowieku, jak my wyglądamy. Każdy zwierz rzuci się do panicznej ucieczki na sam widok.

Trudno było nie zgodzić się z tym argumentem. Lustrzana folia metalowa termokombinezonów pokrywała ich od stóp do głów niczym elastyczna, lśniąca zbroja. Żaden znany owad nie straszył bardziej skomplikowanymi czułkami od anten wyrastających im z hełmów i plecaków, a szerokie soczewki, przez które oglądali świat, sprawiały wrażenie zimnych, złowrogich oczu. Istotnie, niewiele zwierząt na Ziemi odważyłoby się stawić czoło takim zjawiskom; ale kto wie, czy Wenusjanie są tego samego zdania.

Jerry wciąż roztrząsał tego rodzaju wątpliwości, gdy ujrzeni przed sobą jezioro. Już na pierwszy rzut oka skojarzył je nie z życiem, którego poszukiwali, lecz ze śmiercią. Niczym czarne zwierciadło, odbijało okalające kotlinę wzgórze; przeciwległy brzeg jeziora krył się w wiecznej mgle, a na wodnej tafli wirowały w szalonym tańcu upiorne tumany pary. Brakuje tylko łodzi Charona, pomyślał Jerry, oczekującej, by przewieźć ich na drugi brzeg - lub Łabędzia z Tuoneli, pływającego majestatycznie tam i z powrotem na straży Podziemnego Świata...

Mimo posępnych skojarzeń był to istny cud - po raz pierwszy człowiek znalazł na Wenus wodę w czystej postaci. Hutchins już padł na kolana jak do modlitwy. Ale na razie zbierał tylko próbki drogocennej cieczy i natychmiast badał je pod mikroskopem.

- Jest coś? - spytał niecierpliwie Jerry.

Hutchins potrząsnął głową.

- Jeśli jest, to za małe na ten mikroskop. Dowiesz się więcej, kiedy wrócimy na statek.

Zatkał szczelnie próbkę i włożył do torby z takim namaszczeniem jak poszukiwacz, który

znalazł samorodek złota. Niewykluczone, a nawet bardzo prawdopodobne, że w próbówce nie było nic prócz czystej wody. Ale może zawierała świat nieznanych żywych istot w zaraniu swej trwającej miliardy lat podróży do inteligencji.

Hutchins nie uszedł nawet kilkunastu jardów brzegiem jeziora, gdy znów przystanął tak gwałtownie, że Garfield omal nie wpadł na niego.

- Co się dzieje? Zobaczyłeś coś?

- Tam, ten ciemny kawał skały. Zauważyłem go, nim dotarliśmy do jeziora.

- Cóż w nim dziwnego? Wygląda całkiem zwyczajnie.

- Mam wrażenie, że się powiększył.

Ta chwila miała utkwić w pamięci Jerry'ego na całe życie. Z czasem nauczył się ufać opinii Hutchinsa; teraz już potrafił uwierzyć we wszystko, nawet w to, że skały rosną. Poczucie osamotnienia i niesamowitości, widok tego ciemnego, posępnego jeziora, nieustanny łoskot odległych burz i zielonkawy poblask jutrzeńki - wszystko razem wycisnęło niezatarte piętno na jego umyśle i przygotowało na spotkanie z niewiarygodnym. Mimo to nie bał się; strach miał nadejść później.

Popatrzył na skałę. Oddalona była na oko o pięćset stóp od miejsca, gdzie stali. Przyćmione szmaragdowe światło utrudniało ocenę odległości i rozmiarów. Skałę - lub cokolwiek to było - widział jako poziomą płytę z niemal czarnego tworzywa, leżącą w pobliżu wierzchołka niskiego wzniesienia. Nie opodal znajdowała się druga, nieco mniejsza płaszczyzna podobnej barwy; Jerry próbował gołym okiem wymierzyć i zapamiętać przerwę między nimi, by wysledzić ewentualne zmiany.

Nawet wówczas, gdy spostrzegł, że przerwa powoli się zmniejsza, nie poczuł trwogi - tylko dreszcz podniecenia w obliczu nie wyjaśnionej zagadki. Dopiero gdy przerwa zupełnie znikła i Jerry zorientował się, że uległ złudzeniu, śmiertelne przerażenie chwyciło go za serce.

Nie było żadnych rosnących czy ruchomych skał. To, w czym utkwili wzrok, było ciemną falą, pełznącym dywanem, który powoli, acz nieubłaganie toczył się w ich stronę poprzez skalną grań.

Poczucie beznadziejnej, ślepej trwogi trwało, na szczęście, ledwie parę sekund. Garfield ochłonął z przerażenia w chwili, gdy sięgając do swej pamięci rozpoznał jego przyczynę.

Spływająca ku nim fala przypominała mu aż nazbyt wyraziście artykuł, który przeczytał wiele lat temu, o armii mrówek znad Amazonki, doszczętnie niszczącej wszystko, co stało jej na drodze...

Czymkolwiek zresztą była ta fala, zbliżała się zbyt wolno, by stanowić większe zagrożenie, chyba że odcięłaby im odwrót. Hutchins bacznie obserwował ją przez ich jedyną lornetkę.

Jako biolog z prawdziwego zdarzenia, zachował zimną krew. Nie ma po co robić z siebie durnia i uciekać jak oparzony kot, skoro nic nam na razie nie grozi, pomyślał Jerry.

- Do diabła - wydusił wreszcie, gdy ruchomy dywan podpełzł do nich na odległość stu jardów, a Hutchins ani drgnął i nie odezwał się słowem. - Co to jest?

Hutchins z wolna odtajał, jak ożywający posąg.

- Wybacz - powiedział. - Zupełnie o tobie zapomniałem. Roślina, rzecz jasna. Póki co, trzeba się zadowolić tym terminem.

- Ale to się rusza!

- I cóż w tym widzisz niezwykłego? Ziemskie rośliny też się ruszają. Nigdy w życiu nie widziałeś filmu w przyspieszonym tempie z bluszczem w akcji?

- Dobrze, ale bluszcz tkwi korzeniami w jednym miejscu - nie łązi po górach.

- A co robi plankton w morzach? Pływa, gdzie mu się żywnie podoba.

Jerry dał za wygraną; choćby dlatego, że zbliżający się cud odebrał mu mowę.

Nie wyzbył się wciąż wrażenia, że ma do czynienia z dywanem - miękkim i puszystym,

obramowanym frędzlami. Przesuwając się, zmieniał swą grubość; w niektórych miejscach stawał się cieniutki jak błona, w innych wybrzuszał się na całą stopę lub więcej. Gdy podpełził jeszcze bliżej, tak że można było dojrzeć jego fakturę, nieodparcie przywodził na myśl czarny aksamit. Jerry ciekaw był, jaki jest w dotyku, ale rychło opamiętał się - poparzyłby sobie palce, o ile tylko na tym by się skończyło. Przychodziły mu do głowy dziwaczne myśli w beztroskiej, nerwowej reakcji, jaka często następuje po ciężkim szoku: - Jeśli okaże się, że Wenusjanie istnieją, nigdy nie będziemy mogli im podać ręki. Oni by nas poparzyli, a my im odmrozilibyśmy palce.

Dotychczas stwór nie dał po sobie poznać, że świadomy jest ich obecności. Sunął przed siebie jak bezwolna fala, bo i zapewne niczym innym w istocie nie był. Gdyby nie to, że bez trudu pokonywał niewielkie wzniesienia, mógłby ujść za spływającą szerokim strumieniem wodę.

Raptem, podpłynąwszy na odległość ledwie dziesięciu stóp, aksamitna fala zatrzymała się. Jej prawa i lewa strona podsuwała się jeszcze, ale najbardziej do przodu wysunięty środek znieruchomiał.

- Okrąża nas - powiedział z niepokojem Jerry. - Lepiej cofnijmy się, aż będziemy mieli pewność, że nic nam nie grozi. Odetchnął z ulgą, gdy Hutchins usłuchał i zrobił krok w tył.

Po chwili wahania masa wznowiła swe powolne natarcie, a wklęsłość z przodu wyrównała się.

Wówczas Hutchins znów postąpił krok naprzód - masa leniwie się wycofała. Kilka razy na przemian biolog robił krok do przodu i do tyłu, a żywa fala to przyplýwała, to odpływała w zgodzie z jego ruchami. Nie przypuszczałem, pomyślał Jerry, że dane będzie mi oglądać człowieka tańczącego w takt walca z rośliną...

- Termofobia - orzekł Hutchins. - Czysto automatyczny odruch. Nie znosi naszego gorąca.

- Naszego gorąca! - wykrzyknął zdumiony Jerry. Przecież my w porównaniu z tym

świństwem musimy być żywymi sopłami lodu.

- My owszem, ale nie nasze kombinezony, co dla tej roślinki ma decydujące znaczenie.

Głupiec ze mnie, pomyślał Jerry. W przytulnym, chłodnym kokonie termokombinezonu łatwo człowiekowi zapomnieć, że umieszczone na plecach urządzenie chłodzące nieustannie wydmuchuje do otoczenia strumień gorącego powietrza. Nic dziwnego przeto, że wenusjańska roślina się cofała...

- Zobaczymy, jak reaguje na światło - powiedział Hutchins. Zaświecił przywieszoną na piersi latarkę i zielona, jutrenkowa poświata w mgnieniu oka pierzchła przed zalewem czysto białego blasku. Póki na tę planetę nie zawitał człowiek, białe światło nie skalało Wenus, nawet w jasny dzień. Jak w morzach na Ziemi, panował tu zielony półmrok, stopniowo gęstniejący, aż do nieprzeniknionej ciemności.

Przemiana była tak niesamowita, że obaj aż krzyknęli z wrażenia. Jak za dotknięciem różdżki, zniknęła ponura czerń puszystego, aksamitnego dywanu, a na jej miejscu, w zasięgu światła latarki, pojawił się olśniewający deseń z pysznych, soczystych czerwieni przetykanych pasemkami złota. Żaden perski książę nie śmiał żądać od swych tkaczy wykwinniejszego kobierca, a przecież był to przypadkowy twór sił biologicznych. Ba, póki nie zaświecili latarek, te wspaniałe barwy w ogóle nie istniały i wraz ze zgaśnięciem obcego światła z Ziemi, które je wyczarowało, miały znów zniknąć.

- Tichow miał rację - mrucał pod nosem Hutchins. Szkoda, że nie może tego zobaczyć.

- A co twierdził ten cały Tichow? - spytał Jerry, choć odzywianie się w obliczu takiego cudu zakrawało na świętokradztwo.

- Gdzieś w Rosji, pięćdziesiąt lat temu, odkrył, że u roślin żyjących w bardzo chłodnym klimacie przeważają barwy niebieskie i fioleto, a w gorącym klimacie czerwień i pomarańcz.

Przewidział, że roślinność Marsa ubarwiona będzie fioletowo, i wysnuł hipotezę, wedle której, jeśli na Wenus są rośliny, to czerwonego koloru. W obu wypadkach miał słuszność.

No ale nie możemy tak stać i gapić się cały dzień mamy masę roboty.

- Jesteś pewien, że nic nam z jej strony nie grozi? zapytał Jerry, w którym po chwili olśnienia odżyły obawy.

- Sto procent gwarancji - nie może dotknąć naszych kombinezonów, nawet jeśli bardzo zechce. A zresztą idzie sobie dalej.

I rzeczywiście. Zobaczyli teraz, że cała ta istota - jeśli był to jeden osobnik, a nie kolonia - ma mniej więcej kształt koła o średnicy stu jardów. Sunęła po ziemi jak cień chmury pędzonej przez wiatr - a w miejscu, gdzie się zatrzymała, skały naznaczone były niezliczoną ilością maleńkich wgłębień, jakby wyżartych kwasem.

- Tak - powiedział Hutchins, gdy Jerry zwrócił na to uwagę. - Właśnie w ten sposób odżywiają się niektóre porosty; wydzielają nie zbadane do tej pory kwasy, które trawią skalne podłoże. Ale dość już pytań - pogadamy po powrocie na statek. Mam tu robotę, której starczyłoby na kilka żywotów ludzkich, a muszę się uwinąć w parę godzin.

Oglądali botanikę w akcji... Wrażliwy kraniec tego ogromnego roślinopodobnego stworzenia poruszał się ze zdumiewającą prędkością, usiłując wyminąć ich w bezpiecznej odległości.

Mieli do czynienia jakby z ożywionym naleśnikiem o powierzchni jednego akra. Nie spostrzegli żadnej reakcji - prócz automatycznego unikania wydmuchiwanego przez termokombinezony gorącego powietrza - gdy Hutchins zapuszczał sondy i pobierał próbki.

Stworzenie sunęło ślepo naprzód, po wzniesieniach i zagłębieniach terenu, wiedzione niepojętym, roślinnym instynktem. Być może marszrutę wyznaczała mu życiodajna żyła mineralna; o tym mieli przesądzić geolodzy po zbadaniu próbek skały, które Hutchins zebrał przed i po przejściu żywego dywanu.

Nie mieli czasu na spekulacje, a nawet na sformułowanie niezliczonych pytań, jakie zrodziło ich odkrycie. Prawdopodobnie stworzenia te występowały dość powszechnie, skoro natknęli się tak szybko na jedno z nich. Jak się rozmnażały? Przez zarodniki, podział, pędy czy jeszcze inaczej? Skąd czerpały energię? Jakich miały krewniaków, wrogów, jakie pasożyty?

Niepodobna, żeby były jedyną formą życia na Wenus - rzecz nie do pomyślenia; wszak jeśli znajdziesz jeden gatunek, muszą być ich tysiące...

Głód i zmęczenie zmusiły ich wreszcie do przerywania pracy. Niechby nawet stworzenie, które badali, zerowało na okrągło po skałach całej planety - choć Hutchins uważał, że nigdy nie oddala się zbyt daleko od jeziora, bo co pewien czas podpełzało do wody i zanurzało w niej długą, rurkowatą wic - to zwierzęta z Ziemi potrzebowały wytchnienia.

Z ogromną ulgą rozbili namiot ciśnieniowy, weszli doń przez służbę powietrzną i zrzucili termokombinezony. Teraz dopiero, gdy odpoczywali w zaciszu swej maleńkiej, plastikowej półkuli, w pełni uprzytomnili sobie prawdziwy cud i doniosłość swego odkrycia. Świat, który ich otaczał, już nie był ten sam; Wenus nie była już martwą planetą - dołączyła do Ziemi i Marsa.

Bowiem życie Ignęło do życia, poprzez otchłanie kosmosu. Wszystko, co rosło czy ruszało się na obliczu tej czy innej planety, było zwiastunem, obietnicą, że Człowiek nie jest samotny we wszechświecie płonących słońc i wirujących mgławic. To, że jeszcze nie znalazł towarzystwa, z którym mógłby się porozumieć, wcale nie przekreślało nadziei; wszak lata świetlne i całe wieki rozciągały się przed nim, kusząc tajemnicą nowych odkryć. Tymczasem musiał strzec tych przejawów życia, które udało mu się poznać i czcić je, czy to na Ziemi, czy na Marsie, czy wreszcie na Wenus.

Takie właśnie postanowienie powziął w duchu Graham Hutchins, najszcześliwszy z biologów w układzie słonecznym, gdy pomagał Garfieldowi pozbierać odpadki do szczelnego

celofanowego worka. Kiedy zwinęli namiot i ruszyli w drogę powrotną, nie widać było ani śladu stworzenia, które badali. Tym lepiej - mogliby ulec pokusie i grzebać się przy dalszych eksperymentach, gdy tymczasem niebezpiecznie zbliżał się ostateczny termin powrotu.

Nic straconego; za kilka miesięcy wrócą tu z całą ekipą, o niebo lepiej wyposażeni, na oczach całego świata. Ewolucja pracowała miliard lat, by doprowadzić do tego spotkania; nic się nie stanie, jeśli poczeka się z tym jeszcze trochę dłużej.

Przez chwilę nic nie drgnęło w lśniącym zielonkawym, spowitym mgłą krajobrazie; zniknął człowiek i zniknął szkarłatny dywan. Po czym, wypływając zza rzeźbionych wiatrem pagórków, stworzenie znowu się pojawiło. A może był to tym razem inny egzemplarz tego osobliwego gatunku; nikt już tego nie zbada.

Przepląnęło obok kopczyka kamieni, gdzie Hutchins i Garfield zakopali obozowe odpadki. Raptem zatrzymało się.

Nie zdziwiło się, bo też nie było stworzeniem myślącym. Ten sam chemiczny impuls, który wiódł je nieprzerwanie poprzez płaskowyż polarny, krzychał teraz: Tu, tu! Gdzieś w pobliżu jest najcenniejszy z pokarmów potrzebnych do przetrwania - fosfor, pierwiastek, bez którego nie zapłonie iskra życia. Przywierało do skalnego podłoża, wsączało się w szczeliny i pęknięcia, badało każdy skrawek swymi niecierpliwymi mackami. Nie dokonało nic takiego, co przekracza możliwości pierwszego lepszego kwiatka czy drzewa na Ziemi - jednak poruszało się tysiąc razy szybciej, by w ciągu ledwie kilku minut osiągnąć cel i przebić plastikową torbę ze śmieciami.

Pochłaniało już łapczywie pokarm bardziej skoncentrowany niż wszystko, z czym się dotąd zetknęło. Pożerało węglowodany, białka, fosfory, nikotynę z niedopałków papierosów i celulozę z kartonowych kubków i łyżeczek. Rozdrabniało skrzętnie wszystkie te przedmioty i przyswajało swemu dziwnemu ciału bez trudu i bez złych objawów.

Wchłonęło także cały mikrokosmos żywych organizmów bakterie i wirusy, które na starej planecie ewoluowały w tysiąc śmiertelnych szczepów. Choć tylko bardzo niewielka ich liczba zdołała przetrwać w tej temperaturze, liczba okazała się wystarczająca. Sunąc z powrotem ku brzegowi jeziora, dywan niósł zarazę całemu swemu światu.

Już w momencie gdy Gwiazda Poranna obrała kurs na swój odległy dom, Wenus umierała.

Filmy, fotografie i próbki, które Hutchins triumfalnie wiózł na Ziemię, były nawet cenniejsze, niż on sam przypuszczał. Były jedynym po wsze czasy namacalnym dowodem trzeciej próby, jaką podjęło życie, by rozkwitnąć w układzie słonecznym.

Pod chmurnym niebem Wenus historia Stworzenia dobiegła końca.

Lekki przypadek udaru

Tę historię powinien opowiedzieć ktoś inny - ktoś, komu bliska jest dziwaczna odmiana futbolu, uprawiana w Ameryce Południowej... W mojej rodzinnej Moskwie, w stanie Idaho, po prostu łapiemy piłkę i biegniemy z nią przez boisko. W niewielkiej, lecz zasobnej republice, którą nazwę tu Periwia, kopią bezlitośnie piłkę nogami, co daje tylko blade pojęcie o tym, jak obchodzą się z sędziami.

Hasta la Vista, stolica Periwii, jest ładnym nowoczesnym miastem położonym wśród andyjskich szczytów bez mała dwie mile nad poziomem morza. Tytułem do chwały miasta jest wspaniały stadion piłkarski na sto tysięcy miejsc. Nawet ta liczba ledwie wystarcza, by pomieścić wszystkich kibiców, którzy nie opuszczą żadnego ważnego meczu, jak chociażby corocznego spotkania z drużyną Panagury, sąsiedniej republiki.

Jedną z pierwszych wiadomości, jakie dosięgły mnie, gdy przyjechałem do Periwii po licznych niemiłych przygodach w mniej demokratycznych zakątkach Ameryki Południowej, było to, że Periwia przegrała zeszłoroczny mecz z powodu haniebnej nieuczciwości sędziego. Podobno zdyskwalifikował większość piłkarzy z drużyny gospodarzy, nie uznał jednej bramki, słowem, uczynił wszystko, by zdecydowanie lepsza na boisku drużyna nie wygrała meczu. Ta diatryba wywołała u mnie nostalgiczne wspomnienie rodzinnych stron, lecz szybko otrząsnąłem się i skwitowałem: - Trzeba mu było więcej zapłacić. - Daliśmy mu kupę forsy - brzmiała odpowiedź ale Panaguryjczycy dorwali go później. - Parszywa sprawa odparłem. - Ciężko dziś znaleźć uczciwego człowieka, który się daje przekupić tylko jednej stronie.

Celnik, który dosłownie przed chwilą przyjął ode mnie ostatni studolarowy banknot, zdobył się na ledwie widoczny spod szczeciny zarostu rumieniec, gdy skinieniem zezwolił mi na przekroczenie granicy.

Kilka następnych tygodni dało mi się dobrze we znaki, ale nie tylko dlatego wolałbym o nich nie wspominać. W każdym razie powróciłem do swych normalnych zajęć jako przedstawiciel firmy produkującej maszyny rolnicze - choć żadnej z importowanych przeze mnie maszyn dotychczas nie widziano w pobliżu gospodarstw wiejskich, a trzeba było teraz dać grubo powyżej stu dolarów przy każdym transporcie przez granicę, żeby jakiemuś łapiduchowi nie chciało się zaglądać do skrzynek. Ostatnią rzeczą, którą mogłem zawracać sobie głowę, była piłka nożna; wiedziałem, że lada moment z mojego kosztownego importu zostanie zrobiony użytek, a bardzo mi zależało, żeby tym razem uczciwie zarobione pieniądze wyjechały z tego kraju wraz ze mną.

Mimo wszystko nie dało się zupełnie zignorować podniecenia, narastającego wraz ze zbliżającym się dniem meczu rewanżowego. Choćby dlatego, że opanowało także moich partnerów handlowych. Idzie człowiek na konferencję, którą aranżuje nie szczędząc wysiłków i kosztów w bezpiecznym hotelu lub w rezydencji zaufanego sympatyka, a tu pół cennego czasu trwonią na gadkę o piłce. Rozpacz mnie ogarniała i zastanawiałem się, czy aby Periwiańczycy traktują swą politykę równie serio jak sport. - Panowie! - błagałem. - Jutro rozładują naszą następną przesyłkę świdrów rotacyjnych i jeśli nie otrzymamy tego zezwolenia od ministra rolnictwa, ktoś może otworzyć skrzynki i sprawa...

- Spokojna głowa, chłopcze - beztrąsko odpowiada mi na to generał Sierra lub pułkownik Pedro. - Wszystko załatwione. Zostaw to armii.

Wolałem już nie pytać "której armii?" i przez następnych dziesięć minut musiałem wysłuchiwać żartowej dyskusji na temat futbolowej taktyki i najlepszych sposobów na nieposłusznych arbitrów. Nie przyszło mi do głowy - jak i chyba nikomu innemu - że temat ten jest ściśle związany z przedmiotem naszej narady.

Odtąd miałem dość czasu, by zorientować się, co naprawdę zaszło, choć na początku trudno

było się połapać. Centralną postacią tego niewiarygodnego dramatu był niewątpliwie don Hernando Dias - milioner o reputacji playboya, zagorzały miłośnik piłki nożnej, dyletant o rozległych zainteresowaniach naukowych i, głowę dając, przyszły prezydent Periwii. Jako że pasjonowały go samochody wyścigowe tudzież hollywoodzkie piękności, co zresztą sprawiło, że był jednym z najbardziej znanych towarów eksportowych swego kraju, znakomita większość ludzi sądziła, że określenie "playboy" wyczerpująco charakteryzuje don Hernanda. Nic, ale to nic, nie było dalsze od prawdy.

Wiedziałem doskonale, że don Hernando jest jednym z nas, niemniej jednak nie cieszył się szczególnymi względami u prezydenta Ruiza, co zapewniało mu mocną, acz niezwykle delikatną pozycję. Rzecz jasna, nie miałem okazji go poznać; z uzasadnioną wszak ostrożnością dobierał sobie przyjaciół, a z drugiej strony mało było takich, którym zależało na spotkaniu ze mną, chyba że ich życie do tego zmusiło. O jego zainteresowaniach naukowych dowiedziałem się znacznie później; podobno miał prywatne obserwatorium, z którego często korzystał w pogodne noce, choć, jak chcą złośliwi, w celach nie tylko astronomicznych. Don Hernando spożytkował niechybnie cały swój czar i siłę perswazji, by dostać zgodę prezydenta; gdyby stary sam nie był zagorzałym kibicem, rozpamiętującym zeszłoroczną klęskę jak każdy inny periwiański patriota, nigdy nie dałby się namówić. Już sama oryginalność planu zapewne nastawiła go doń przychylnie, nawet jeśli nie szalał z radości, godząc się na wycofanie z koszar połowy swych oddziałów na całe niemalże popołudnie. Cóż wszakże, jak na pewno nie omieszkał przypomnieć mu don Hernando, lepiej zagwarantuje lojalność armii niż prezent w postaci pięćdziesięciu tysięcy biletów na mecz roku?

Nie miałem jeszcze o tym zielonego pojęcia, gdy tego pamiętnego dnia zasiadłem na trybunach. Jeśli sądzicie, że wcale nie miałem ochoty tam się znaleźć, macie świętą rację. Jednakowoż pułkownik Pedro podarował mi bilet, i nie wyszłoby mi na zdrowie, gdybym

zranił jego uczucia, nie wykorzystując podarunku. Zasiadłem więc już sobie pod lejącym się z nieba żarem i wachlując się programem słuchałem komentarza ze swego radyjka w oczekiwaniu na rozpoczęcie meczu.

Stadion wypełnił się do ostatniego miejsca, potężna owalna miska po brzegi zalana morzem ludzkich twarzy. Wpuszczanie widzów opóźniło się nieznacznie; policja dała z siebie wszystko, lecz sprawdzenie stu tysięcy ludzi, czy nie przemycają broni palnej na trybuny, zajmuje trochę czasu. Zażądała tego drużyna gości, ku zrozumiąlemu oburzeniu lokalnych kibiców. Protesty jednak zgasły jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej wraz z pojawieniem się artylerii przy wejściach.

Łatwo dało się ustalić moment, gdy swym kuloodpornym cadillakiem zajechał główny sędzia meczu; na ślepo można było poznać trasę jego przemarszu na stadion po gwizdach tłumu.

Przecież - zagadnąłem mojego sąsiada, młodziutkiego porucznika, z szarżą więc na tyle niską, że nic mu nie groziło, gdyby został ujawniony kontakt z moją osobą - mogliście żądać zmiany sędziego, jeśli tak go oceniacie.

Wzruszył ramionami z rezygnacją. - Wybór przysługuje gościom. Nie ma na to rady.

- W takim razie powinniście przynajmniej wygrywać wszystkie mecze w Panagurze.

- Tak jest - odparł. - Ale ostatnim razem byliśmy zbyt pewni swego. Nasi grali tak fatalnie, że nawet sędzia nic nie wskórał.

Nie zdołałem wykrzesać z siebie sympatii do żadnej z drużyn i nastawiłem się na dwie godziny hałaśliwej nudy. Niewiele razy w życiu przyszło mi się tak bardzo pomylić.

Owszem, początek meczu się nieco odwlekał. Najpierw złana potem orkiestra odegrała oba hymny narodowe, później prezentację drużyn odbierał El Presidente z małżonką, jeszcze później kardynał udzielił wszystkim błogosławieństwa, potem nastąpiła chwila przerwy, podczas której doszło do ostrej wymiany zdań pomiędzy kapitanami na temat, jeśli dobrze

zrozumiałem, rozmiaru czy kształtu piłki. Zdążyłem zatem spokojnie przeczytać program - kosztowne i wspaniale wydane cacko, podarowane mi przez porucznika. Był rozmiarów popołudniowej gazety, drukowany na pierwszorzędnym papierze, bogato ilustrowany, do tego wyglądał, jakby był oprawiony w srebro. Niepodobna, żeby wydawcom zwróciły się koszty druku, ale przecież liczył się tu prestiż, a nie buchalteria. Wątpliwości rozwiewała imponująca lista subskrybentów tego "Specjalnego Wydania na Pamiątkę Zwycięstwa", którą otwierał sam prezydent. Nie zabrakło na niej większości moich przyjaciół; z rozbawieniem też spostrzegłem, że rachunek za prezent w postaci pięćdziesięciu tysięcy darmowych egzemplarzy dla naszych dzielnych żołnierzy pokrywał w całości don Hernando. Zdawałoby się, że to nieco naiwny sposób na popularność, wątpiłem też, czy ten akt dobrej woli wart był aż tak kolosalnych kosztów. Słowo "zwycięstwo" raziło mnie jako odrobinę przedwcześnie, by nie powiedzieć nietaktowne.

Rozważania te przerwał ryk wielotysięcznego tłumu zwiastujący rozpoczęcie gry. Piłka błyskawicznie ruszyła do akcji, ale ledwie zdążyła przebyć zygzakiem pół drogi do bramki, a już odziany w niebieski strój Periwiańczyk podstawił nogę jednemu z występujących w czarnych pasach Panaguryjczyków. Nie tracąc czasu, mruknąłem do siebie; co na to sędzia? Ku memu zaskoczeniu sędzia nie zareagował w ogóle, może więc tym razem udało się nam skłonić go do transakcji na zasadzie gotówka za doręczony towar.

- Czy to aby nie był faul, czy jak to nazywacie? - spytałem mego towarzysza.

- E tam - odparł nie odrywając oczu od gry. - Kto by się przejmował takimi bzdurami?

Zresztą ten kojot niczego nie zauważył.

I rzeczywiście. Sędzia znajdował się z dala od akcji i wydawało się, że ma kłopoty z dotrzymaniem kroku zawodnikom. Ruchy jego były nader ociężałe, co mnie ogromnie zdziwiło, aż wreszcie zrozumiałem, w czym rzecz. Czy zdarzyło się wam widzieć kogoś, kto

usiłuje biec w kamizelce kuloodpornej? Biedaczysko, pomyślałem sobie z powściągliwym współczuciem, jakie jeden kanciarz okazuje drugiemu; ciężko pracuje na swoją dolę. Ja ledwie wytrzymałem upał nie ruszając się z miejsca.

Przez pierwszych dziesięć minut gra była w miarę otwarta i nie doliczyłem się więcej niż trzech bójek na murawie. Periwia o mały włos nie straciła bramki; piłka została tak zręcznie wybita głową na aut, że szалу radości kibiców z Panagury (którzy mieli specjalną obstawę policyjną i opancerzony sektor stadionu do własnej dyspozycji) nie zdołały zagłuszyć nawet gwizdy. Smutno mi się zrobiło. Wszak wystarczyło tylko zmienić kształt piłki, a przeniósłbym się na pierwszy lepszy mecz w rodzinnym miasteczku.

Trzeba przyznać, że Czerwony Krzyż nie miał nic ciekawego do roboty aż do ostatnich minut przed końcem pierwszej połowy, kiedy to trzech Periwiańczyków i dwóch Panaguryjczyków (a może na odwrót) starło się w doskonałym młynku, z którego tylko jeden uczestnik wyszedł o własnych siłach. Ofiary wyniesiono z pola walki wśród ogólnego zamieszania i tu nastąpiła krótka przerwa, wykorzystana na wprowadzenie do gry zawodników rezerwowych. To dało początek pierwszemu poważniejszemu incydentowi: Periwiańczycy skarżyli się, że ranni po stronie przeciwnika udają, żeby tylko można było dokonać zmian. Ale sędzia pozostał nieugięty, zmian dokonano i ryk na trybunach przycichł do poziomu nieco poniżej granicy bólu, gdy wreszcie gra została wznowiona.

Panaguryjczycy zaraz strzelili bramkę i choć żaden z moich sąsiadów nie popełnił samobójstwa, niektórym naszym kibicom niewiele chyba brakowało. Transfuzja nowej krwi wyraźnie dodała skrzydeł gościom i sytuacja drużyny gospodarzy nie wyglądała różowo.

Przeciwnicy podawali sobie piłkę z taką zręcznością, że z periwiańskiej obrony zrobiło się rzadkie sito. Jeśli tak dalej pójdzie, pomyślałem, sędzia może pozwolić sobie na bezstronność; jego strona i tak wygra. Gwoli uczciwości, nie dopatrzyłem się u niego na razie oczywistych

falszerstw.

Nie czekałem jednak długo. Desperackim zrywem drużyna gospodarzy zastopowała groźny atak przeciwnika, a potężny wykop jednego z obrońców posłał piłkę podniebnym łobem w kierunku drugiej bramki. Nim osiągnęła maksymalną wysokość, przenikliwy dźwięk sędziowskiego gwizdka zatrzymał grę. Odbyla się krótka dyskusja arbitra z kapitanami drużyn, która niemal natychmiast doprowadziła do potwornego zamieszania. W dole, na boisku, wszyscy gwałtownie gestykulowali, a tłumy na trybunach rykiem dawały wyraz swemu niezadowoleniu. - O co chodzi tym razem? - spytałem bezradnie.

- Sędzia twierdzi, że nasz był na spalonym.

- Jakim cudem? Przecież stał przy własnej bramce!

- Cicho! - syknął porucznik, nie kwapiąc się tracić czasu na oświecenie mej ignorancji.

Niełatwo mnie uciszyć, ale tym razem dałem spokój i próbowałem sam pojąć, co się stało.

Sędzia chyba przyznał Panaguryjczykom rzut wolny na naszą bramkę, rozumiałem więc, co ludzie musieli przeżywać. Piłka poszybowała piękną parabolą, otarła się o słupek - i wpadła do bramki mimo akrobatycznej parady bramkarza. Z trybun wzniósł się potężny ryk bólu, by wnet przemienić się w jeszcze bardziej przerażającą ciszę. Zdawało się, że wielki zwierz został zraniony - i przyczaił się, aby wyrzucić zemstę na swym ciemiężcy. Mimo żaru stojącego niemal w zenicie słońca, zrobiło mi się nagle chłodno, jakby powiał tuż obok mnie zimny wiatr. Nawet za wszystkie skarby Inków nie zamieniłbym się miejscami z tym zlanym potem facetem w kuloodpornej kamizelce na boisku.

Przegrywaliśmy dwa do zera, ale sytuacja nie była przecież beznadziejna - nie skończyła się jeszcze pierwsza połowa i do końca wszystko się mogło zdarzyć. W Periwiańczyków wstąpił nowy duch i nacierali z demonicznym wprost uporem, jak mężczyźni, którzy podjęli wyzwanie i chcą pokazać, że godni są przeciwników.

Skutek był natychmiastowy. Gospodarze strzelili jedną nieskazitelną czystą bramkę w ciągu ledwie dwóch minut, wywołując tym szal radości na trybunach. Teraz już krzychałem wraz z innymi i upominałem sędziego, posługując się hiszpańskim słownictwem, o którego znajomość wcześniej się nie podejrzewałem. Już jeden do dwóch, i sto tysięcy ludzi modli się i zaklina na wszystkie świętości, by uzyskać tę wyrównującą bramkę.

Przyszła w samej końcówce pierwszej połowy. Tę sprawę, która miała tak poważne konsekwencje, chciałbym przedstawić z chłodnym obiektywizmem. Jeden z naszych napastników przyjął celne podanie, przebiegł z piłką około pięćdziesięciu stóp, wykiwał zręcznym dryblingiem dwóch obrońców i czyściutko zdobył bramkę. Piłka ledwie zdążyła opaść z siatki na ziemię, a tu znów ten gwizdek sędziego.

O co mu chodzi tym razem, pytałem w myślach. Przecież nie może nie uznać tej bramki. Ale właśnie nie uznał. Dopatrzył się ręki. Mam całkiem dobry wzrok, a żadnej ręki nie widziałem. Nie mogę więc uczciwie winić Periwiańczyków za to, co nastąpiło niebawem.

Policja zdołała nie wpuścić tłumy kibiców na boisko, choć przez dobrą minutę zdawało się, że kordon nie wytrzyma już nawet najłżejszego pchnięcia. Drużyny rozeszły się na swoje połowy, pozostawiając na środku boiska jedynie nieprzejednaną postać sędziego. Zastanawiał się pewnie, którądy zwiać z boiska, i pocieszał się myślą, że po tym meczu przejdzie już na wygodną emeryturę.

Ostry, wysoki sygnał trąbki był dla wszystkich absolutnym zaskoczeniem. Dla wszystkich, gwoli ścisłości, oprócz pięćdziesięciu tysięcy doskonale wyszkolonych żołnierzy, którzy oczekiwali na ten znak z rosnącym niepokojem. Na trybunach zapanowała głęboka cisza, słychać było nawet odgłosy ruchu ulicznego spoza stadionu. Sygnał trąbki odezwał się po raz drugi-i oto mrowie ludzkich twarzy po przeciwnej stronie znikło w oślepiającym morzu ognia.

Krzyknąłem i przysłoniłem oczy. Przez jedną koszmarną chwilę myślałem o bombie atomowej i sprężyłem się daremnie w oczekiwaniu na wybuch. Ale żadna eksplozja nie nastąpiła nic, prócz tej migotającej zasłony z płomieni, która raziła nawet przez zaciśnięte powieki jeszcze przez długie sekundy, by wtem zniknąć tak nagle i niespodziewanie, jak się pojawiła, gdy zabrzmiał trzeci i ostatni sygnał trąbki.

Wszystko było po staremu, prócz jednego drobnego szczegółu. Tam, gdzie przedtem stał sędzia, tlił się teraz kopczyk, z którego wznosiła się w nieruchome powietrze wąska smuga dymu.

Co się na Boga stało? Zwróciłem się do mego sąsiada, który był nie mniej wstrząśnięty. - Madre de Dios - szeptał. - Nie wiedziałem, że to aż tak podziła.

Wpatrywał się nie tyle w dogasający na boisku stos, co w elegancki pamiątkowy program rozłożony na kolanach. I wówczas, w przeblysku nieufnej inteligencji, zrozumiałem.

Ale nawet teraz, kiedy mi już wszystko dokładnie wyjaśniono, wciąż trudno mi uwierzyć w to, co przecież ujrzałem na własne oczy. Było to takie proste, takie logiczne-i takie niewiarygodne.

Czy zdarzyło się wam dokuczać komuś, świecąc mu w oczy kieszonkowym lusterkiem?

Chyba każde dziecko zakosztowało tej zabawy; przypominam sobie, jak przed laty oślepiłem w ten sposób nauczyciela i doigrałem się porządnego lania. Lecz nigdy nie przyszło mi do głowy, co by się stało, gdyby pięćdziesiąt tysięcy dobrze wykształconych ludzi jednocześnie zrobiło ten sam kawał za pomocą tyluż foliowych lusterek formatu gazety.

Jeden z mych ściśle myślących znajomych wszystko mi wyliczył - nie dlatego, żebym potrzebował jeszcze mocniejszego dowodu, lecz lubię dotrzeć do sedna każdej sprawy.

Dopiero wtedy uzmysłowiłem sobie, ile energii jest w świetle słonecznym; otóż na każdy jard kwadratowy ustawiony prostopadle do słońca przypada koń mechaniczny z nawiązką.

Większość ciepła padającego na jedną stronę owego potężnego stadionu została skierowana na ten mały skrawek murawy, gdzie podówczas znajdował się nieboszczyk sędzia. Nawet biorąc poprawkę na te wszystkie programy, które nie zostały dokładnie wycelowane, musiał i tak znaleźć się pod ostrzałem co najmniej tysiąca koni mechanicznych czystego ciepła. Nie zdążył pewnie nic poczuć: tak jakby wrzucili go do pieca martenowskiego.

Głowę daję, że nikt, prócz don Hernanda, nie przewidział takiego finału; jego dobrze ułożonym wielbicielom powiedziano, że sędzia zostanie zaledwie oślepiiony i w ten sposób wyłączony z gry do końca meczu. Jestem równie głęboko przekonany, że nikt nie rozpaczał. W Periwii gra się w piłkę cały czas.

W politykę też. Kiedy mecz został wznowiony i zmierzał do z góry wiadomego już końca, pod troskliwą opieką nowego i ze zrozumiałych względów potulnego sędziego, moi przyjaciele nie mitrężyli cennego czasu. Gdy nasza zwycięska drużyna zeszła z boiska (wygrawszy mecz czternaście do dwóch), było już po wszystkim. Obyło się praktycznie bez strzelaniny, a wychodzącego ze stadionu prezydenta uprzejmie poinformowano, że ma zarezerwowany lot poranny do Mexico City.

Jak wyjaśnił mi generał Sierra, gdy wsiadłem do tego samego samolotu, co jego były szef: "Daliśmy armii wygrać mecz piłkarski, a kiedy zajęta była grą w piłkę, my wygraliśmy władzę w kraju. W ten sposób każdy ma coś dla siebie".

Choć nie wypadało mi na głos wypowiadać swych wątpliwości, w moim mniemaniu była to polityka krótkowzroczna. Bowiem kilka milionów Panaguryjczyków jest w nie najlepszym nastroju, a prędzej czy później nadejdzie dzień zapłaty.

Podejrzewam, że już niedługo. W zeszłym tygodniu jeden z mych przyjaciół, który jest w gronie najwyżej cenionych na świecie specjalistów w swej wąskiej dziedzinie, lecz woli pracować tylko na zlecenia i pod przybranym nazwiskiem, zwierzył mi się w chwili słabości z

jednego ze swych problemów.

- Joe - powiedział - po kiego diabła ktoś zamawia u mnie samosterującą raketę, która ma się zmieścić w piłce nożnej?

Psia gwiazda

Gdy usłyszałem przeraźliwe szczekanie Łajki, zacisnąłem pięści ze złości. Przewróciłem się na drugi bok w koi i w półśnie wymamrotałem: "Stul pysk, głupia suko". To senne interludium trwało zaledwie ułamek sekundy; potem wróciła świadomość - a wraz z nią strach. Strach przed samotnością i strach przed postradaniem zmysłów.

Przez chwilę wzdragałem się otworzyć oczy; obawiałem się tego, co mógłbym ujrzeć.

Rozum tłumaczył mi, że żaden pies nie postawił nogi na tym świecie, że Łajkę dzieli ode mnie ćwierć miliona mil przestrzeni - oraz, daleko bardziej nieodwracalnie, pięć lat czasu.

- To tylko sen - wbijałem sobie wściekle do głowy. Nie rób z siebie durnia, otwórz oczy! Nie zobaczysz nic prócz połysku farby na ścianie.

I rzeczywiście, wszystko się zgadzało. Mała kabina była pusta, drzwi szczelnie zamknięte. Byłem sam na sam ze swymi wspomnieniami, przybity transcendentalnym smutkiem, który często nachodzi człowieka, kiedy przyjemny sen ulatuje w szarą rzeczywistość. Po przebudzeniu doznałem tak dotkliwego uczucia pustki, że czym prędzej pragnąłem pograć się z powrotem we śnie. Dobrze, że mi się to nie udało, bo w tym momencie sen znaczyłby dla mnie śmierć. Ale przez następnych pięć sekund jeszcze o tym nie wiedziałem, i wieczność tę spędzałem na Ziemi, pocieszając się okruchami wspomnień z przeszłości.

Nikomu nie udało się ustalić pochodzenia Łajki, choć załoga Obserwatorium poczyniła pewne starania w tym kierunku, a ja sam dałem kilka ogłoszeń do gazet w Pasadenie.

Znalazłem ją, samotną i bezradną kuleczkę puchu, przycupniętą na skraju szosy, gdy pewnego letniego dnia jechałem do Palomar. Choć nigdy nie przepadałem za psami ani też innymi zwierzakami, nie miałem serca zostawić tego bezbronnego stworzenia na pastwę przejeżdżających samochodów. Nie bez oporów, rozglądając się daremnie za parą

rękawiczek, podniosłem je i wrzuciłem do bagażnika. Jeszcze tego brakowało, żeby psina ochrzciła tapicerkę mojego nowego vika, rocznik 1992. Sądziłem, że bagażnik najmniej ucierpi, ale przekonanie to okazało się nie całkiem trafne.

Gdy tylko zaparkowałem wóz pod Klasztorem - specjalnym hotelem dla astronomów, w którym miałem mieszkać przez następny tydzień - przyjrzałem się memu znalezisku bez większego entuzjazmu. Zamierzałem wtenczas oddać szczeniaka portierowi; a tu mój pasażer zaskomlał i otworzył oczy, w których malowało się tak bezgraniczne zaufanie, że chcąc nie chcąc zmieniłem zamiar.

Niekiedy żałowałem tej decyzji, ale nigdy na długo. Nie miałem pojęcia, ile kłopotów może sprawić chowany w domu pies. Rachunki za sprzątanie i naprawy skoczyły w górę; nigdy nie byłem pewien, czy znajdę parę nie potarganych skarpetek lub nie przeżuty numer "Biuletynu Astrofizycznego". Ale nadszedł wreszcie czas, gdy Łajka nabrała stosownych nawyków w domu i w Obserwatorium; bez wątpienia była jedynym psem, któremu zezwolono na wstęp na teren pięciometrowej kopuły. Leżała sobie całymi godzinami w cieniu, podczas gdy ja tkwiłem w klatce z aparaturą pod sklepieniem, a do pełni szczęścia starczało jej, że od czasu do czasu słyszała mój głos. Inni astronomowie również darzyli ją sympatią (przecież to właśnie stary dr Anderson zaproponował, jakie jej nadać imię), ale od samego początku była moim psem i nie chciała słuchać nikogo innego. Co nie znaczy, że mnie zawsze słuchała.

Wyrosła na piękny okaz dziewięćdziesięciopięcioprocentowego owczarka alzackiego. To właśnie owe brakujące pięć procent, jak mniemam, sprawiło, że została porzucona. (Wciąż wzbiera we mnie złość, ilekroć o tym pomyślę, ale skoro i tak nie dowiem się, jak było naprawdę, domysły te są być może krzywdzące). Prócz dwóch ciemnych łatek nad oczami, jej sierść na całym niemal ciele miała popielatoszary odcień i była miękka jak jedwab. Gdy nastawiła uszy, wyglądała nad wyraz czujnie i inteligentnie; czasami rozprawiałem z

kolegami na temat rodzajów widma lub ewolucji gwiazd i aż trudno było uwierzyć, że nie rozumie, o czym mowa.

Do tej pory nie pojmuję, czemu tak do mnie przyłgnęła, miałem bowiem bardzo nielicznych przyjaciół wśród ludzi. Lecz gdy wracałem do Obserwatorium po dłuższej nieobecności, w szale radości tańczyła na tylnych łapach, kładąc przednie na mych ramionach - co przychodziło jej z łatwością - przy akompaniamencie krótkich pisków, które nie zdawały się stosowne dla tak ogromnego psiska. Z ciężkim sercem zostawiałem ją na dłużej niż kilka dni, i choć nie mogłem jej brać ze sobą w podróż za granicę, towarzyszyła mi w większości bliskich wyjazdów. Pojechała ze mną też autem na owo feralne seminarium do Berkeley. Zamieszkaliśmy u mych uniwersyteckich znajomych; przyjęli nas nader uprzejmie, acz dało się wyczuć, że niespodziewane pojawienie się potwora w mieszkaniu nie było im na rękę. Zapewniłem ich jednak, że Łajka nie sprawi najmniejszych kłopotów, i pozwolili jej, bez nadmiernego entuzjazmu, spać w salonie.

- Macie przynajmniej z głowy włamywaczy tej nocy powiedziałem. - W Berkeley nie ma włamywaczy - odparli chłodno.

Noc jednak nie była spokojna. Ze snu wyrwało mnie wysokie, histeryczne szczekanie Łajki, jakie słyszałem wcześniej tylko raz - gdy po raz pierwszy ujrzała krowę i nie bardzo wiedziała, co z tym fantem zrobić. Odrzuciłem pościel i niepewnym krokiem brnąłem w ciemnościach nieznanego domu. Zrazu chciałem tylko uciszyć Łajkę, nim obudzi gospodarzy zakładając, że nie jest już na to za późno. Jeśli pod domem pojawił się intruz, to i tak dawno już wziął nogi za pas. W każdym razie miałem nadzieję, że tak się stało.

Przez chwilę stałem przy wyłączniku światła na schodach i zastanawiałem się, czy zaświecić. Wreszcie warknąłem: - Spokój, Łajka! - i zalałem dom strumieniem światła.

Rozpaczliwie drapała w drzwi, przerywając tylko po to, by histerycznie skowyczeć.

- Jeżeli chcesz wyjść - powiedziałem wytrącony z równowagi - to po co robisz aż tyle hałasu?

Zszedłem na dół i pchnąłem zasuwę - Łajka wystrzeliła w mrok jak rakieta.

Noc była cicha i spokojna, z ledwie widocznym księżycem, który daremnie próbował przebić spowijającą San Francisco mgłę. Stałem w bladej poświacie i patrzyłem na światła miasta na przeciwległym brzegu zatoki, aż wróci Łajka, bym ją odpowiednio mógł przeświecić.

Czekałem cierpliwie, gdy raptem Uskok San Andreas po raz drugi w dwudziestym wieku otrząsnął się ze snu.

Dziwne, ale nie przestraszyłem się - z początku. Pamiętam, że dwie myśli chodziły mi po głowie, nim uświadomiłem sobie całą grozę sytuacji. Przecież, mówiłem do siebie, geofizycy mogli nas przynajmniej ostrzec. A potem pomyślałem ze zdumieniem: - Że też te trzęsienia ziemi robią aż tyle hałasu!

Chyba właśnie wtedy spostrzegłem, że nie były to zwyczajne wstrząsy; to, co stało się później, chciałbym jak najprędzej zapomnieć. Ludzie z Czerwonego Krzyża zabrali mnie dopiero późnym rankiem następnego dnia, nie chciałem bowiem nigdzie ruszyć się bez Łajki.

Wystarczyło spojrzeć na ruiny domu, gdzie pogrzebane były ciała moich przyjaciół, by mieć pewność, że zawdzięczam jej życie; lecz trudno oczekiwać, żeby piloci helikoptera przejmowali się tym zbyt, i wcale im nie mam za złe, że wzięli mnie za obłąkanego, podobnie jak wielu innych, których znaleźli błądzących wśród pożarów i rumowisk.

Nie sądzę, byśmy kiedyś rozstali się po tym wszystkim dłużej niż na kilka godzin. Ludzie mi mówili - i zapewne mieli rację, że coraz bardziej stroniłem od ludzi, choć przecież nie zachowywałem się jak mruk czy mizantrop. Niczego poza gwiazdami i Łajką nie potrzebowałem do szczęścia. Brałem ją na długie spacery w góry; był to najwspanialszy okres w moim życiu. Miał tylko jedną wadę; wiedziałem już, choć Łajka nic nie przeczuwała, jak

szybko dobiegnie kresu.

Przygotowywaliśmy całą operację przeszło dziesięć lat. Wiadomo było już w latach sześćdziesiątych, że Ziemia nie jest najlepszym miejscem na obserwatorium astronomiczne. Nawet niewielkie próbne instrumenty na Księżycu okazały się o niebo skuteczniejsze od wszystkich teleskopów przedzierających się przez mglistą zasłonę ziemskiej atmosfery. Dni Mount Wilson, Palomar, Greenwich i innych zasłużonych obserwatoriów były policzone; mogły jeszcze służyć jako zaplecze szkoleniowe, ale front badań musiał przenieść się w kosmos.

Znalazłem się w pierwszej linii tego frontu; zaproponowano mi stanowisko zastępcy dyrektora naczelnego obserwatorium Farside na Księżycu. Oto nadarzała się sposobność, bym w ciągu kilku miesięcy rozwiązał problemy, nad którymi pracowałem całymi latami. Czułem, że poza atmosferą będę jak ślepiec, któremu nagle niebiosa zesłały dar wzroku.

Nie było oczywiście mowy, bym mógł zabrać ze sobą Łajkę. Na Księżycu lądowały jedynie te zwierzęta, których używano w celach doświadczalnych; może dopiero w przyszłym pokoleniu wolno będzie ludziom latać w towarzystwie swych piesków czy kotków, ale nawet wtedy sama podróż ulubieńców pochłonie fortunę, nie mówiąc już o kosztach utrzymania ich przy życiu na miejscu. Obliczyłem, że gdybym dawał Łajce jej zwykłą porcję - kilogram mięsa dziennie, koszt wyżywienia psa przekraczałaby kilkakrotnie moją całkiem przyzwoitą pensję.

Stałem przed prostym i oczywistym wyborem. Zostanę na Ziemi i porzucę karierę astronoma. Albo polecę na Księżyc - i porzucę Łajkę.

Przecież była tylko psem. Za kilkanaście lat zakończy żywot, podczas gdy ja będę u szczytu kariery. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wahałby się ani przez chwilę; lecz mnie decyzja nie przychodziła łatwo, i jeśli jeszcze zastanawiacie się dlaczego, dalsze wyjaśnienia nie mają

sensu.

W końcu zdałem się na okoliczności. Jeszcze tydzień przed planowanym startem nie przesądziłem o losie Łajki. Gdy dr Anderson sam zaproponował, że się nią zaopiekuje, zgodziłem się obojętnie, zbywając go marnym słowem podziękowania. Stary fizyk i jego żona zawsze lubili Łajkę, a mnie niestety mieli za człowieka gruboskórnego i bez serca - gdy naprawdę było na odwrót. Poszliśmy w góry na ostatni wspólny spacer; po czym oddałem ją bez słowa Andersonom i już więcej jej nie ujrzałem.

Start opóźnił się o prawie całą dobę, aż na orbicie ziemskiej ustała burza słoneczna; nadal jednak pasy Van Allena były na tyle aktywne, że musieliśmy wydostać się przez lukę Bieguna Północnego. Lot nie należał do najprzyjemniejszych; do zwyczajnych skutków nieważkości doszła otumaniająca dawka środków antyradiacyjnych. Dopiero gdy statek znalazł się ponad Farside, zainteresowałem się tym, co działo się naokoło, toteż przegapiłem widok niknącej pod horyzontem Ziemi. Nie miałem czego żałować; nie chciałem dręczyć się wspomnieniami, interesowała mnie tylko przyszłość. Jednak nie potrafiłem otrząsnąć się z poczucia winy; porzuciłem kogoś, kto mnie kochał i zaufał mi, nie okazałem się więc lepszy od tych, którzy zostawili Łajkę na pastwę losu przy autostradzie do Palomar, gdy była szczenięciem.

Wiadomość o jej śmierci dotarła do mnie po miesiącu. Właściwie nie było po temu szczególnego powodu; Andersonowie starali się jak mogli i byli bardzo przygnębieni.

Najprawdopodobniej po prostu straciła zainteresowanie życiem. Przez pewien czas zdawało mi się, że idę w jej ślady; ale praca jest cudownym narkotykiem, a mój program właśnie nabierał rozmachu. Wprawdzie nie zapominałem o Łajce, lecz wspomnienia przestały mi sprawiać ból.

Dlaczego więc nawiedziły mnie znów pięć lat później, na odwrotnej stronie Księżyca?

Zachodziłem w głowę szukając przyczyny, gdy nagle metalowy budynek, w którym się

znajdowałem, zadrżał, jakby coś ciężkiego weń uderzyło. Zareagowałem automatycznie, i ledwie zdążyłem zamknąć hełm swego kombinezonu awaryjnego, a już fundamenty obsunęły się, a ściana rozwarła z łoskotem uciekającego powietrza. Ponieważ instynktownie włączyłem przycisk ogólnego alarmu, straciliśmy tylko dwóch ludzi, mimo że od wstrząsów - najsilniejszych, jakie zarejestrowano dotąd na odwrotnej stronie Księżyca popełkały doszczętnie wszystkie trzy ciśnieniowe kopuły Obserwatorium.

Nie muszę chyba wyznawać, że nie wierzę w siły nadprzyrodzone; to, co się wydarzyło, ma zgoła racjonalne uzasadnienie, oczywiste dla każdego, kto się choćby otarł o psychologię.

Podczas drugiego trzęsienia ziemi w San Francisco Łajka nie była jedynym psem, który przeczuł nadchodzący kataklizm; zanotowano wiele podobnych przypadków. Na Farside zaś własne wspomnienia wzmogły u mnie czujność, gdy nie zasypiająca nigdy podświadomość zarejestrowała pierwsze słabe drgania w głębi Księżyca.

Umysł ludzki zadziwiającymi i pogmatwanymi drogami dociera do celu; zapamiętał sygnał, który w lot uprzytomnił mi zbliżające się niebezpieczeństwo. Nic nadzwyczajnego; wprawdzie można powiedzieć, że w pewnym sensie to Łajka zbudziła mnie w obu wypadkach, próżno dopatrywać się tu jednak cudu czy też tajemniczej przestrogi z otchłani, której ani człowiek, ani pies nigdy nie pokona.

Tego jestem pewien, jeśli jestem pewien czegokolwiek. A przecież czasami budzę się w księżycowej ciszy z żalem, że ten pamiętny sen nie potrwał choć kilka sekund dłużej - bym jeszcze raz mógł spojrzeć w te lśniące brązowe oczy, przepelnione bezinteresowną, niekapryśną miłością, jakiej nie spotkałem już nigdzie na tym i na innych światach.